SEBESTYAN KLONOWICZ

KLEMENS JANICKI.

DWAJ LUTNIŚCI.

OBRAZKI Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

WE LWOWIE,

NAKŁADEM WOJCIECHA MANIECKIEGO.

1857.

DWAJ
LUTNIŚCI,

OBRAZKI Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI.

PRZEZ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

WE LWOWIE,

W DRUKARNI ZAKŁADU NAROD. IM. OSSOLIŃSKICH.

NAKŁADEM WOJCIECHA MANIECKIEGO.

1857.

TEOFILOWI LENARTOWICZOWI

NA PAMIĄTKĘ

poświęca

AUTOR.

Ziomku!

W dawnych czasach był u nas zwyczaj, że zamożny gospodarz, oprowadzając gościa po zbiorach i skarbach swoich, zwykł mu to darować, co się temuż najbardziej podobało. Z dalekich stron, z nad brzegów Tybru spojrzałeś w ubogie obejście moje i pochwaliłeś skromny mój dobytek. Ubodzy, ubogim tylko darem siebie uraczyć możemy. Niechże Ci więc za taki dar służy ta książka, w której znajdziesz, co się Tobie podobało.

Lwów, 15. maja 1857.

Jan Zachariasiewicz.

KLEMENS JANICKI.

I.

Chata wieśniaka.

> Za Znińskiem bagnem jest wieś przejezdna,
> Co się Janusza imieniem zowie,
> Tamtędy niegdyś polscy królowie,
> Jeździli w pruską ziemię od Gniezna,
> I tam mój ojciec, mieszkaniec wioski
> Orał poczciwie grunt pradziadowski!
>
> *Elegia VII. Janicki.*

Było to dawno, bardzo dawno. Na tronie polskim siedział Zygmunt Stary, a w Polsce było jakoś swobodno i niegłodno. Ziemia rodziła jak dzisiaj, łąki i błonia zieleniły się tak samo, i ludzie tak samo żyli i cierpieli, jak dzisiaj żyją i cierpią. To samo serce co dzisiaj, biło w ich piersiach, bo cóż jest nowego pod słońcem?...

Było to jakoś w lecie, a miało się już ku wieczorowi. Drogą od Gniezna szedł jakiś młody, blady

chłopczyna. Droga była równa jak po stole, a lada zagroda zasłaniała dalszy widokrąg. Chłopczyna przykładał rękę do oczu, i wytężał wzrok czy nie obaczy krzyża znajomego mu kościółka. Lecz kościółek gdzieś jeszcze schowany poza drzewiną, a słońce zniża się co raz więcej, co raz tęskniej spogląda na młodego wędrowca.

Wreszcie rozdzieliły się drzewa zagrody, szerokie, nieprzejrzane bagnisko rozwinęło się przed jego okiem, jak stary spłowiały pergamin, a na ostatnim jego krańcu zamigotał złocony krzyżyk kościółka.

— Witaj mi złota gwiazdo moja, rzekł do siebie młodzieniec, w ciebie wpatrywałem się dzieckiem, gdy mi gwiazd na niebie zabrakło, i dzisiaj świecisz mi wesoło, witając pielgrzyma w cichem swojem ustroniu. Cóż ci ten pielgrzym dzisiaj przynosi?... O! serce czyste, czyste jak ten blask twój złoty, tylko pragnienia jego więcej się wzmogły....

Tak mówiąc do siebie blady młodzieniec, zbliżał się do rodzinnej zagrody, gdzie nań czekała kochająca go rodzina.

Zmrok już wieczorny zapadał, żeńce spiewając wesoło powracali do wioski, po nad brzegi Warty rozlegały się głosy fujarki pastuszej.

Na samym końcu wioski czerniała się uboga chatka zagrodnika. Na przygródce pod oknem siedział wieśniak, a założywszy ręce coś się zadumał.

Na progu sieni usiadła niewiasta i poczęła sieć robić po ciemku. Koło nich stało kilku wieśniaków, snać się zatrzymali, powracając z pola.

— Tak, tak sąsiedzie, ozwał się najstarszy do nich w krótkiej, płóciennej kapocie, zróbcie tak, jak ja wam radzę, a zapijemy jeszcze dzisiaj tę sprawę.

— Kiedy bo Katarzyna, odparł siedzący na przygrodzie, koniecznie przytem obstaje, a ja sobie znowu myślę: Bóg zesłał na mnie wielkie karanie, morowe powietrze zabrało mi dziatwę z tego świata, tylko Klemens i ot Wicek pozostali. Toż radzibyśmy strzedz tego jak oka w głowie. A Klemens to chłopczyna jak nitka. Gdzież to jemu sochę do ręki, albo sierp lub kosę. Sam pleban powiedział: Z tego nie będzie parobczak, do książki go. I jakże teraz od książki wziąć go za poganiacza?...

— Uchowaj św. Barbaro, rzekła niewiasta siedząca na progu, a gdzież temu bicz do ręki, ta to mizerne jak paniątko jakie.

— Wam się w głowie przewróciło Mateuszowa, odpowiedział stary Jędrzej, śni się wam o rewerendzie i ornatach, ale z tego nic nie będzie. Książki dużo kosztują, a zkąd na to grosza? Ot zrobić tak, jak ja wam radzę. Zośka Boryszowa ładna i pracowita dziewka. Od św. Jędrzeja do Wielkiejnocy naprzędła sama przędzy na półsetek płótna. A jakie cienkie i równe! I Szlązak lepszego płótna nie przy-

niesie. Jest trzy krów, dwa wołki, pół chałupy, kilka stajanek dobrej ziemi, i na cóż więcej? Ja to wiem, że takiemu pieszczonemu paniczowi już płótnianka nie w smak, już chce sukna na kapotę, już chce kamizelki i czapki z barankiem, ale kiedy się urwało i grosza niestało, to trudna rada!

— Co się urwało, to się urwało, ozwał się z westchnieniem stary Janicki, ściągaliśmy się z ostatniego, aby Klemens mógł się czegoś nauczyć, myśleliśmy, że potem weźmie ojca i matkę do siebie, bo to widzicie, organista z Gniezna cuda opowiadał mi, jaki ma rozum nasz Klemens. Ale cóż robić, żniwo omyliło, na polu mietlica i wyka, na bantach wisi skóra z ostatniej krowy, wóz kuty sprzedany, u Jakóba w zastawie kapota granatowa, a korale już dawno poszły! Mój boże, jakaż to ciężka będzie dzisiaj dola jego. Bo to widzicie, bielutki jak krew z mlekiem, a cienki jak trzcina. Ręka mała i gładka jak u panicza, cepa nie podniesie. Ale za to jak zacznie przewracać po książce, jak zacznie czytać i coś gadać, to aż miło słuchać, choć człek tego nie rozumie. Wszak i księdza się nie rozumie przy mszy, a przecież jakoś nabożnie się słucha.

Chwil kilka trwało milczenie. Wieśniacy ubolewali nad uporem sąsiada, a mieli czego ubolewać, bo ich swadźba omyliła. Zośka Boryszowa czeka ich niecierpliwie, nawarzyła klusek z serem, postawiła na

stole dzban miodu, aby starostów godnie uczcić. A tymczasem przyjdą starostowie z gołemi rękami, zjedzą i wypiją, a biedna Zośka dowie się w końcu, że stary Janicki kazał im nawarzyć arbuza.

Biedna Zośka, ona tak gładko i cienko przędzie, ona tak rano do roboty wstaje!

Ale starostowie jeszcze nie tracą nadziei. Stary Jędrzej jeszcze coś mówi, wychwala krówki i wołki, klnie na szkoły i książki, a stary Janicki co raz częściej spogląda na żonę, która się nic nie odzywa, tylko sieć robi.

Wreszcie ozwała się Janicka:

— Już to nic z waszej mowy nie będzie, kumie Jędrzeju. Zośka jest pracowita dziewka, nie można nic na nią powiedzieć, ale Klemens nie dla niej! Już jego ręka nie do sochy ani do kosy. Jak bóg zarządzi tak będzie, a mam w nim nadzieję, że Klemens wróci z dobrą nowiną.

— A gdzież to Klemens poszedł, zapytali wszyscy.

— Do Gniezna, odpowiedział Janicki, do arcybiskupa. Ale nie zważajcie na to, co moja żona mówi, może być, że tak trzeba będzie zrobić, jak radzicie. Dzisiaj wieczór ma nadejść z Gniezna, pójdźmy do izby, a zaczekamy na niego. Usłyszym z czem przyszedł.

Sąsiedzi pozdejmowali kapelusze i weszli do chałupy. Tymczasem, Wicek, młodszy brat Klemensa,

nałomał chrustu i zapalił na kominku. Wieśniacy zasiedli na ławie pod oknem, i gwarzyli to o żniwach, to o pogodzie, a stary Jędrzej począł nawet coś przebąkiwać o wojnie z sąsiadami, jak mu to organista z Gniezna na jarmarku do ucha naszeptał.

Stary Janicki kilka razy spojrzał na żonę. Janicka zrozumiała wzrok jego, i ruszyła ramionami. Chciał on gości czemsiś utraktować, ale w chałupie była nędza i ubóstwo. Biedny stary westchnął i zadumał się.

— Karanie boskie przyszło na nas, rzekł po chwili, nie ma rąk do pracy. Mór zabrał mi starszą dziatwę, a za nią i chudoba odeszła!

Starostowie poczęli znowu wymyślać na to, że Klemensa do szkół oddał, żeby lepiej było wprawić go do sochy i kosy. Biedny ojciec czuł słuszność ich wyrzutów i bolał sercem. Złote jego nadzieje leżały dzisiaj przed nim jak sucha trawa. Klemens nie miał o czem szkół kończyć i od łaciny musiał z płaczem wracać do roli, i do siermięgi. Zawiedziona w snach swoich matka najwięcej bolała. Ona widziała go już nie raz we śnie, w długiej, czarnej szacie, z monstrancją w ręku, on święcił jej rutę i paskę, i miewał po odpustach długie, prześliczne kazania... a dzisiaj wracał do rodzinnej chatki w ubogiej, wytartej odzieży, blady i wycieńczony nauką,

wracał, by tem pozostał czem był jego ojciec, ubogim zagrodnikiem.

Śród tego otwarły się drzwi a do izby wszedł oczekiwany Klemens.

Był to młody chłopczyna, o jasno-błękitnych oczach, bladej twarzy. Nie miał więcej jak lat szesnaście, ale na ściągłej jego twarzy było już wiele wyrazu. Mianowicie w oczach malowało się jakieś bolesne rozczulenie, zdawało się, że jakaś wieczna łza ćmiła ich światło. W koło pięknych, różowych ust obiegł lekki rys melancholijny, a kontrastując z śmiałem, otwartem czołem, okazywał na przyszłość, że kiedyś na tem wyniosłem czole spocznie cierniowa korona poety!

— Klemens, Klemens! zawołali ojciec i matka, tuląc do piersi ukochanego syna.

— Klemens, Klemens, wołał stary Jędrzej, jego chrzestny ojciec, i płakał z radości.

Klemens ucałował ręce starszym wieśniakom, a siadłszy między matką i ojcem, począł rozmawiać.

Wszyscy słuchali go ciekawie, bo wszystkim o to chodziło. Ciekawi byli, czy Klemens na grunt ojca powróci, czy też ich na zawsze opuści, a może nawet kiedyś i o nich zapomni.

Klemens opowiadał im z wielką prostotą dotychczasowe koleje zawodu szkolnego. A choć z prostotą mówił i do ich pojęcia starał się zastosować,

ubodzy na duchu wieśniacy niezrozumieli go jednak, prócz matki, która tyle z tego wszystkiego pojęła, że Klemensa czekają jakieś wyższe zaszczyty, że nie potrzebuje swej białej ręki do sochy przykładać, ani swego białego liczka na słońcu opalić!

Młodzieniec bowiem opowiadał szeroko, jak wyszedłszy z szkół gnieźnieńskich był w Poznaniu, w sławnem kolegium Lubrańskiego, jak tam jakiś bakalarz Apolinary, co to każdą razą umiał gadać łacińskiemi wierszami, nauczył go sam tej sztuki, a co teraz tak polubił, żeby umarł, gdyby mu nie dano dalej się uczyć, aby się stać sławnym i dla kraju użytecznym człowiekiem. Opowiadał dalej, że raz na popisie odczytał swój własny wiersz, napisany po łacinie na cześć Lubrańskiego, i że ten wiersz wiele oklasków przyniósł. Odtąd przodkował nad trzodką uczniów, skarbił sobie serce mistrza, rósł w chlubę, a jak to słodko, kiedy bywało chwalić kto go zacznie! Dalej mówił, że ubóstwo miało przeciąć wielkie jego nadzieje, od łaciny miał wrócić do sochy. Goraco modlił się do Boga, a Bóg go wysłuchał. Wielki mąż, Krzycki, arcybiskup gnieźnieński, otworzył mu wrota swego pałacu, i przyrzekł mu pomoc w naukach.

— O dzięki ci boże! krzyknął stary Janicki, podnosząc suche ręce do góry, już spokojnie umrę, bo Klemens o mojej duszy pamiętać będzie.

— Nie tylko o duszy będzie pamiętać, rzekł stary Jędrzej, ale i o kapocie, i korale kupi matce. Przy takich panach wyjdzie i sam na pana, a może i sam król powoła go na dworzanina. Ha cóż robić, to nic z naszej swadźby.

Starostowie powstali a pożegnawsy starego Janickiego i żonę jego, odeszli do Borysza, gdzie na nich czekał dzban miodu. A szli skwapliwie, bo i napitki się chciało, i język świerzbiał, aby jak najprędzej te wszystkie cuda powtórzyć, o których opowiadał im młody Janicki.

A w chacie Janickiego paliło się do późna smolne łuczywo. Matka, syn i ojciec mieli wiele sobie do powiedzenia. Klemens przyniósł z sobą białego chleba i owoców, a biednej rodzinie pożądany był taki gościniec. Janicka nie mogła się napatrzeć na syna, muskała mu włosy, i gładziła po twarzy. Zapłakała sobie, gdy Klemens wspomniał, że za kilka dni chatkę rodzicielską opuści, lecz stary Janicki ani łzy nie uronił, tylko syna w głowę ucałował, dając mu ojcowskie swoje błogosławieństwo.

Za dni kilka cała wioska wyprowadzała młodego Janickiego, a wszyscy jego krewni przypominali się jemu, aby o nich nie zapomniał, gdy będzie prałatem lub starostą!

Z poza chatki wyglądała młoda dziewczyna o czarnych oczach i ocierała łzy przypaską. Była to Zosia Borysza.

2

— Nie tylko o duszy będzie pamiętać, rzekł stary Jędrzej, ale i o kapocie, i korale kupi matce. Przy takich panach wyjdzie i sam na pana, a może i sam król powoła go na dworzanina. Ha cóż robić, to nic z naszej swadźby.

Starostowie powstali a pożegnawszy starego Janickiego i żonę jego, odeszli do Boryszy, gdzie na nich czekał dzban miodu. A szli skwapliwie, bo i napitki się chcieli, i język świerzbiał, aby jak najprędzej te wszystkie cuda powtórzyć, o których opowiadał im młody Janicki.

A w chacie Janickiego paliło się do późna smolne łuczywo. Matka, syn i ojciec mieli wiele sobie do powiedzenia. Klemens przyniósł z sobą białego chleba i owoców, a biednej rodzinie pożądany był taki gościniec. Janicka nie mogła się napatrzeć na syna, muskała mu włosy, i gładziła po twarzy. Zapłakała sobie, gdy Klemens wspomniał, że za kilka dni chatkę rodzicielską opuści, lecz stary Janicki ani łzy nie uronił, tylko syna w głowę ucałował, dając mu ojcowskie swoje błogosławieństwo.

Za dni kilka cała wioska wyprowadzała młodego Janickiego, a wszyscy jego krewni przypominali się jemu, aby o nich nie zapomniał, gdy będzie prałatem lub starostą!

Z poza chatki wyglądała młoda dziewczyna o czarnych oczach i ocierała łzy przypaską. Była to Zosia Borysza-

II.

Śmierć Dygnitaża.

Zorana rola, gdzie Krzycki w opiece,
Dawał nam kłosy pobierać na niwie,
Idźmy gdzieindziej, bodajby szczęśliwie!...

Z epigramatów Janickiego.

Kilka lat przemknęło po nad chatką biednego zagrodnika. Mieszkańce tej chatki gawędzili sobie po długich wieczorach o tem, czego w życiu doznali, a czego się jeszcze na starość spodziewali. A spodziewali się wielkiej pociechy, bo o Klemensie raz wraz dochodziły ich radośne wieści. Na każdym targu w miasteczku Żninie dowiedzieli się o nim coś od organisty, którego siostrzeniec, także rodem z Janiszek, był organistą przy archikatedrze gnieźnieńskiej. Janiccy pod każdą figurą dziękowali bogu, że im dał tak mądrego syna, który w starości będzie dla nich podporą.

Nie tak szczęśliwie jak po nad chatką zagrodnika przemknęły te lata po horyzoncie polskim. Tu i owdzie pozostawiały po za sobą czarne, burzą grożące chmury. W kraju było jakoś co raz gorzej. Gnusność z jednej, a poswarki z drugiej strony brały górę. Biedny król oszukał się na drugiej swojej żonie, i poznał po niewczasie, że to była istna furja. Cierpiał więc w duszy, a patrząc na kraj, zalewał się łzami. Nie Zygmunt, ale Bona rządziła w Polsce. Kto jej schlebiał, kto się jej wysługiwał, ten był górą. A przecież była to ta sama Bona, córka Sforcji, którą posłowie: Stanisław Ostroróg, kasztelan Kaliski, i archidjakon, Jan Konarski, tak w liście do Zygmunta przed dwudziestu laty opisali: „Ma najpiękniejsze jasne włosy, a co rzadkiego, rzęsy i brwi czarne, oczy bardziej anielskie jak ludzkie, czoło gładkie i pogodne, nos prosty, lice wrodzonym wstydem zarumienione, usta podobne najżywszemu koralowi, zęby równe i białe, nadobne ramiona, ręka, jakiej piękniejszej widzieć nie można. Słowem, czyli się patrząc na całą kibić osoby, czyli na część jej z osobna, nic piękniejszego i bardziej zachwycającego widzieć nie można. Wdzięk zaś w każdem ruszeniu, dźwięk mowy najprzyjemniejsze.... Nic nie wyrzekła coby nie było gładkiem, wybornem, poetycznem nawet!... Lepiej tańcującej pani nie widzieliśmy nigdy!....“

Poczciwi posłowie! Oni patrzyli na ciało, a duszy nie widzieli. A dusza ta była przebiegła, chytra, chciwa, samolubna, dumna, gotowa na wszelkie zbrodnie!... Poczciwy król uwierzył posłom, a po niewczasie było żałować, gdy z owego aniołka zrobiło się coś pod polskiem niebem tak strasznego, o czem ani Ostroróg, ani archidjakon Konarski nawet wyobrażenia nie mieli.

Ale cóż robić, stało się, a w Polsce było bardzo smutno. Szlachta sarkała, magnaci werbowali sobie obozy i walczyli, we wszystkiem brała górę prywata i zawiść. Zborowscy i Kmita sprzeciwili się w Piotrkowie wszelkiej poprawie ustaw, a sejm rozszedł się, uznawszy własne swoje dzieło za nieudolne.

We dwa lata potem zwołał Zygmunt walny sejm do Krakowa. Było to r. 1536. Z wszystkich stron Polski zjeżdżali się dygnitarze, panowie i szlachta. Ciasno było po gospodach, rozkwaterowano się więc u mieszczan. Jaki taki szukał znajomych i prosił o kącik. Całe miasto przybrało szaty świąteczne. Idąc o każdym czasie po ulicach, rzekłbyś że to dzień świąteczny, że mieszczanie świętują. Przy oknach widać było mieszczanki w czystej, jakby niedzielnej bieliźnie, postrojone w czerwone chustki lub duże czepce z białemi szlarkami. Po ulicach migały się złote kaptury i jedwabne szuby, lisami podbite,

a oczka ładnych krakowianek tak jakoś tego roku dziwnie błyszczały, tak czarująco się uśmiechały, że nie jeden szlachcic, muskając czarny wąsik, stał się już myślą wiarołomnym swojej Małgosi. A cóż dopiero, jeśli się jakie słówko przymówiło, jeśli się te koralowe usta otworzyły, a rząd białych pereł zajaśniał!.... Szlachcic zapominał o herbownym klejnocie, a jeśli o nim sobie przypomniał, to naklął pierwszemu lepszemu, co mu drogę zaszedł, a na obradach sejmowych hałasował więcej niżeli wczoraj.

Ale w obradach sejmowych nie było jedności. Jedni chcieli to, drudzy owo. I tak mijał miesiąc po miesiącu, a w sprawie rzeczypospolitej nic się nie uradziło.

Wreszcie począł śnieg tajać, a coraz mniej futer widziano po ulicach. Białe, srebrem haftowane robrony lekkie, cynamonowego koloru żupany pojawiały się coraz więcej na ulicy. Drzewa zaczęły pękać, a ogrody nadwiślańskie zabieliły się, jakby je kto mlekiem oblał.

Było to w miesiącu maju. W kamienicy o dwóch oknach, niedaleko bramy Florjańskiej, działo się coś niezwykłego. Kolaski zajeżdżały i odjeżdżały. Czarno ubrani mężczyzni wysiadywali i spieszyli do kamienicy, z której wychodził gwar mówiących. Przy drzwiach komnaty pierwszo-piątrowej stał olbrzymie-

go wzrostu oddźwierny, a po zamaszystych jego ruchach poznałbyś Kujawiaka.

W tej chwili zajechała przed kamienicę żółta kolaska. Stojąca na rogu ulicy szlachta zwróciła na nią oczy.

— Patrzcie, w kolasie królowej jedzie! zawołał sążnisty szlachcic w sukni słomianego koloru.

— Jużto adherentom Kmity żaden z Tarnowskich nie przepuści, ozwał się jego sąsiad.

— A jakże to zgryzie poczciwy szlachcic, jeśli taki wiercipięta chce narodowi dyktować i króla za nos wodzić? odpowiedział Tarnowski.

— Prawda, prawda, wtrącił siwy staruszek, mój boże, cóżby się to z metryką stało, jeśliby taki plebejusz, jak ksiądz Gamrat, który ledwo po matce jest trochę szlachcicem, przyszedł do kanclerstwa! I tak wstyd, że nami baba rządzi, a cóżby wtedy było, gdyby Gamrat był kanclerzem?

— Prawda, prawda, zawołała chórem szlachta, dziękujemy bogu, że to nieszczęście od nas odwrócił. Przecież ma Zygmunt jeszcze głowę na karku, widać, że i tę jędzę w pole wyprowadził.

I rozjaśniły się oblicza stojących, bo poczciwe ich serca uwierzyły, że dla dobra kraju jeszcze królowi nie brak dobrej woli.

Tymczasem z żółtej kolasy wylazł słusznego wzrostu mężczyzna. Był dobrej tuszy i miał na so-

bie szaty długie. Patrząc na niego, trudno było odgadnąć, jakiego on był w samej rzeczy stanu. Wiele miał światowego poloru, a idąc po stopniach kamienicy, przymuskiwał włosy i wyciągał z rękawów białą, cieniutką koszulę. Ubrany był nadzwyczaj wytwornie i kosztownie. Na palcach widać było mnóstwo bogatych sygnetów. Był twarzy okrągłej, białej, w oczach miał wiele humoru i ironji.

Oddźwierny uchylił czoła, a wchodząc do komnaty, rzekł do stojącego tamże dworzanina:

— Illustrissimus przemyski.

Dworzanin skłonił się nisko, a zamknąwszy drzwi, szedł cicho za gościem.

— Aha, zawołał Gamrat; obracając się do dworzanina, waszmość Janicki piszesz piękne elegje, czy nie mógłbyś w satyrze się spróbować?

— Łaskawe żarty waszej przewielebnej mości, odpowiedział blady, z błękitnem okiem młodzieniec, a gdzież mnie do satyry? Mamci śmiać się, gdy mi łzy w oczach stają?...

— Cóż to, czy zawsze taka czuła harfa twoja?

— Moje pienia są to łzy moje, a życie dostarcza mi ich wiele. One są dla mnie źródłem hipokreny.

— Więc nic z tego nie będzie, mój ty czuły elegisto, a ja myślałem, że na moje kanclerstwo satyrę waść napiszesz!

To rzekłszy, wykręcił się zwinnie jakby młodzieniaszek jaki, mimo, że miał już czterdzieści lat górą.

Młody dworzanin, którym był nasz Klemens Janicki, otworzył drzwi drugiej komnaty, a skłoniwszy się w pokorze, powrócił na dawne swoje stanowisko.

Usiadłszy na krześle, wziął jakiś rękopism do ręki, i począł w nim przewracać. Przeczytawszy kilka kartek, położył go nabok, a podparłszy ręką głowę, zadumał się.

Znowu otworzyły się drzwi, a czarno ubrany mężczyzna wyszedł z drugiej komnaty.

Janicki spojrzał na niego, a miał łzy w oczach.

Czarno ubrany mężczyzna stanął przed nim, i z rozczuleniem wpatrywał się w bladą twarz młodzieńca.

— Cóż waszmość Żegrowski mówisz na tę powtórną słabość arcybiskupa?

Lekarz zamiast odpowiedzi ruszył ramionami. Po chwili rzekł do Janickiego:

— Gdy Krzycki chory, smutno dla Polaka,
Z tąd i w królewskim, zasmuconym dworze,
Nie takie życie i świetność nie taka!
Wesele nasze gdzieżeś to nam znikło?
Gdzie zalecanki, puhar, krotochwile,
Ucho do luteń, do pieśni przywykło,
A czemuż dzisiaj smutno jak w mogile?...

— Dosyć Żegrowski, zawołał Janicki, wtedy, gdym dla ciebie tę pieśń składał, miałem nadzieję i ufność w twej sztuce, a dzisiaj widzę, że już nie ma ratunku!...

— *Tollere nodosam nescit medicina podagram*, odpowiedział Żegrowski, do tego Jego przewielebna mość nie szanuje się, więc i ja salwować go nie mogę. Zamiast ciepło leżeć pod pierzyną, wstaje co chwila to do Kmity, to do Gamrata, wyprowadza ich aż do sieni, to na krużganek, a w kwietniu zaziębienie to najgorsze.

Mensis Aprilis.
Insanus et nubilis.

— Więc nie można go już salwować?

— Bardzo trudno. Do tego nasłał mu król i królowa cerulików krakowskich, co to niby są mocno uczeni, a nic nie umieją. Oni nie wiedzą że człowiek jest to jak lira, do której się gracz musi wprawić. Na lada bądź lirze i mistrz dobrze nie zagra. Na swojej gra każdy najlepiej. Otóż i z Jego przewielebną mością tak się rzecz ma. Ja wiem co mu jest, ale cóż, gdy są mędrsi odemnie?.

— O ratuj go, ratuj, zawołał ze łzami poeta: o, gorzkie są żale stroskanego dziecka, gdy drogi rodzic zaniemoże, a cóż mnie, patrzącemu na swego dobroczyńcy łoże! Jabym życie dał za jego życie!..

Ratuj lekarzu! a pewno obficie,
Kraj ci Lechitów wdzięcznością odpłaci,
Wiekowa chwała spotka cię w tej ziemi,
Ja pieśń ci złożę ze szczerego łona,
Wsławię cię w świecie pieśniami mojemi,
Wyżej Melampa, wyżej Machaona!...

Żegrowski wziął Janickiego za rękę i z rozczuleniem wpatrywał się w łzawe oczy poety. Potem rzekł do niego:

— Bądź dobrej myśli! Krzycki jako człowiek śmiertelny musi umrzeć, ale cnoty polskie nie umierają, bo są wieczne, jak same *principia naturae.* Talent twój nie zginie marnie, jak ginie rosa na słońcu, bo znajdzie się taki, co ci da *victum* i *amictum*, i twoich słodkich wierszy rad słuchać będzie. A za Krzyckiego zmówisz Anioł pański i Zdrowaś Marja....

— O ty nie wiesz, ty nie pojmujesz, czem mi był Krzycki!... Jam ubogi syn wieśniaka z Janiszek, a ledwom wymodlił sobie od Apolina, że mi w swoim chórze śpiewać pozwolił, ledwo chrypliwym głosem pierwszą pieśń wynuciłem, porwały się struny na mojej lirze. Nie było za co dalej się uczyć, miałemci więc wrócić na rolę rodzica, i ją ciężko potem moim skrapiać. Zapłakałem głośno, a płacz mój usłyszał Krzycki. Otworzył mi ramiona i pałac swój, a bywało, żeśmy wspólnie we wtór sobie śpiewali! Boże, cóż się teraz z niewprawną moją gęślą stanie?

Chciałem opiewać to wszystko, co tak mocno pokochałem, tę ziemię, tych ludzi wielkich, co za kraj giną, chciałem ich pieśnią moją wynieść do nieśmiertelności!.. Jeszcze strón dobrze nie nastroiłem, a już niewidoma ręka położyła palce swoje na nich, jakby się już ozwać nie miały!...

W tem otwarły się drzwi do drugiej komnaty, z kąd słychać było wesołą i dowcipną rozmowę Gamrata.

Zawołano Janickiego.

W skromnej postawie lecz z szlachetną dumą na czole stanął poeta na środku komnaty.

W komnacie było wielu zgromadzonych. Na łóżku, zasutem kotarami, leżał chory arcybiskup gnieźnieński. Był to człowiek niskiego wzrostu, twarzy śniadej lecz pełnej powagi. Głowę miał wysoko położoną, ręce trzymał na piersi złożone. Koło niego na krześle siedział mąż dumnej, sarmackiej postawy i co chwila poprawiał pasa. Oczy jego czarne i pełne ognia, biegały po całej komnacie i znamionowały niespokojnego ducha i wyniosłą ambicją. O nim to powiedział *Mikołaj Rej*:

Kmitę Sobieńkiego kto znał, był dziwny w swych postawach,
A jako żubr porostem, potrząsał w swych sprawach!..

Niedaleko niego siedzieli obaj Zborowscy, Piotr i Jan, znani z sejmu w Piotrkowie. Po komnacie przechadzał się Gamrat, biskup przemyski, przypatru-

jąc się z upodobaniem srebrnym sprzączkom u swego obuwia, które w samej rzeczy nadzwyczaj misternej były roboty.

Chodząc po komnacie rzekł biskup zwrócony do Kmity:

— Już to prawda mości Wojewodo Sędomirski, że nie w porę wybiera nam się Jego przewielebna Mość na drugi świat!

— Przecież kanclerstwa się nie lękasz, *illustrissime*, odezwał się słynny z dowcipu Dantyszek, biskup Warmiński, siedzący pod oknem.

Gamrat spojrzał na mówiącego i rzekł:

— Odkąd to augurowie patrzą na siebie nie zaśmiawszy się?...

I zaśmiali się obaj prałaci, rzuciwszy sobie wzajemne spojrzenia. Słabość arcypasterza nie wydawała się tak niebezpieczną, a chcąc chorego rozweselić biskup Warmiński, cytował wiersze Nasona i swoje własne, a wreszcie zawracając do sprawy Gamrata, odezwał się żartobliwie:

— Dajmy na to *illustrissime*, żebyś otrzymał kanclerstwo, cóżbyś dzisiaj bez arcypasterza gnieźnieńskiego był robił. Któżby pisał za ciebie?.. Czy nie widzisz w tem palca opatrzności, która nie chciała barki obciążać urzędem, nad twoje siły.

— Jestem niegodny sługa i znam ułomności moje, odparł z pokorą Gamrat.

— Przecież nie spodziewałem się mości wojewodo, rzekł Dantyszek do Kmity, żebyś sobie na taki żart z Gamratem pozwolił.

Na co Kmita zbliżając się do łóżka chorego:

— Jakem żyw, żem nie myślał o żartach, zemnie to, że mnie król zażartował.

— Powtórz no mości wojewodo, jak to było? Jego przewielebna Mość, arcypasterz, tem się rozweseli.

— Oto tak się rzecz miała, zabrał głos Kmita. Królowa powiedziała mi, że już kanclerstwo dla Gamrata u króla wyrobiła. Nawet sam król dał mi coś podobnego do zrozumienia. Więc gdy na mnie przyszło królowi dank za to powiedzieć i do Gamrata także coś przemówić, stanąwszy obok tronu, jako wielki marszałek, tak się ozwałem:

„Jego królewska mość pan nasz najmiłościwszy wiedząc o zwyczaju od przodków, poprzedników swoich przyjętym, że pieczęcie państwa nie inaczej, jak w zgromadzeniu stanów oddawane były, nie chciała Jego królewska Mość w niniejszem rozdaniu kanclerskich urzędów postąpić w niczem przeciwko dawnemu zwyczajowi.... Znając zaś Jego królewska mość naukę, świadomość prawa, biegłość w sprawowaniu interesów, łacną i obfitą wymowę, wierność i prawość Waszej przewielebnej mości...“ Na te słowa powstał Gamrat, rozumiejąc, że mowa do niego jest skiero-

waną, ale król rzekł do niego: Usiądź Wmość, nie do was się mówi! i wskazał na Chojnickiego.

— Chojnicki kanclerzem! wyjęknął Krzycki, a usta jego zafarbowały się.

— Mówiono, że Gamrat płakał jak bóbr za pieczęcią, rzekł Dantyszek.

Na co Gamrat zmarszczywszy brwi odpowiedział:

— Waszmość masz wielki talent satyryczny, a com nie uzyskał od Janickiego, to uzyskam od Waszmości. A za twoje żarty, *illustrissime*, odpowiem ci epigramatem Janickiego:

U ciebie wszystko żartem, rzeczono, pisano,
Stawisz na stół potrawę jakąś krotochwilną,
Godzieneś by ci żartem jaki urząd dano!...

A Dantyszek:

— *Sera gratulatio reprehendi non solet...*

Głębokie westchnienie chorego przerwało rozmowę. Wszyscy zwrócili się ku niemu, a jakieś nie dobre przeczucie ogarnęło ich serca. W komnacie panowało chwil kilka głębokie milczenie, a nawet wesołego humoru biskup Warmiński sposępniał i zadumał się.

Janicki stał na środku komnaty, a łzy padały jak groch z ócz jego. Zdawało się, że po komnacie przeleciał anioł śmierci.

Biedny poeta przebiegał myślą upłynione chwile życia swego, a tam wiele róż i wiele cierni. Dobro-

czyńca jego i przyjaciel leżał dzisiaj na łożu boleści, a lada chwila mogła zagasić to drogie życie, lada chwila mogła go znowu osierocić. Patrząc w bladą twarz chorego, przebywał poeta z nim wszelkie boleści, śledząc każde jego poruszenie. Obraz Krzyckiego odbijał się w jego tkliwej duszy, a wzrok jego zdawał się mówić:

Oto nasz Krzycki, co mu tyle życzę,
Drzy zimnem febry rzucon na wezgłowie,
Wyschło mu, zżółkło, zbielało oblicze,
Uciekł rumieniec, gdy uciekło zdrowie,
Pierś wycieńczona bezsilna i drząca,
Członki osłabłe, wytężone płuca,
Serce by lawa zalała gorąca,
Kipi gwałtownie i w piersi się rzuca....

Krzycki skinął na Janickiego, aby bliżej przystąpił.

— I czemu płaczesz, rzecze do niego, czy ci zabraknie śpiewaka do wtóru?... Harfa twoja bogata w struny, nie zabraknie ci dźwięku, choć ja zamilknę. Może ci kiedy echo pieśni moich zabrzmi do wtóru, a wtedy przypomnisz sobie, że mnie już nie masz w chórze Apolina!

— Czemuż tak smutne myśli Jego przewielebna Mość bierzesz sobie do głowy, odpowiedział ze łzami Janicki, ty żyć musisz dla kraju i dla nas, my ci umrzeć nie damy!

— Ja umrę Janicki! umrę, a harfa twoja osierocieje!...

Poeta zalał się łzami. Co widząc Krzycki podał rękę młodzieńcowi i rzekł:

— A przecież tak mi niebo sprzyjało, gdym na ten sejm jechał. Byłem zdrów i dobrej myśli, a jak pięknie wróżyła mi twoja muza, opiewając to szczególne zdarzenie. Jakto było?

— Mamże w tak bolesnej dla mnie godzinie, pamiętać o chrypliwych tonach mojej niewprawnej harfy?..

— Przyjdę ci w pamięć rzekł Dantyszek, bo któż w Polsce słodkich twoich wierszy na pamięć nie umie?

A zwróciwszy się do łóżka, począł wygłaszać:

Gdy Krzycki w miasto przyjeżdżał nasze,
Zima dłań nawet zelżała mrozem,
Kozy rzuciwszy wrzosistą paszę,
Brodatem stadem szły za powozem;
Przesądni kmiecie bieżąc gromadą,
Nie śmieli nazad swej trzody ruszyć,
Bo jakże dobrej wróżby nie tuszyć,
Gdy komu sprzyja niebo i stado?...

W tem otworzyły się drzwi a do komnaty wszedł X. Hozjusz...

Podawszy rękę Krzyckiemu, i zapytawszy się w imieniu króla o zdrowie, rzekł do zgromadzonych:

— *Sagum ponite milites* Jego król. mość ogłasza obyczajem przodków, przez potrójne wici pospolite ruszenie przeciw Wołoszy. W dzień nawidzenia najświętszej Panny stanie obóz pod Trembowlą, a z tamtąd pójdą dalej.

Kilka chwil trwało milczenie. Słowa Hozjusza były wielkiej wagi. Kmita uderzywszy o szablę zawołał pierwszy:

— Toż przeciw wojnie nigdy nie byłem, ale wojna teraz, gdy kraj wewnątrz potrzebuje ratunku, gdy w metryce nie ma porządku, gdy szlachta w księgach ustaw zagrzebana, teraz zawołać: *ad arma milites*! to nic dobrego nie wróży *).

Na to zawoła Krzycki słabym głosem:

— Nowina ta przysparza mi boleści. Nie dobrać to wróżba dla gospodarza, co mając u siebie niesfornych gości z domu wychodzi. Niech wprzódy z niemi zasiądzie i obraduje nad tem, co doma zrobić potrzeba.

Rzekłszy to odwrócił twarz od zgromadzonych i długi czas milczał. Żegrowski przystąpił do łóżka a gości prosił, aby się uciszyli. Nachylił się nad łóżkiem chorego i liczył jego oddech przyspieszony.

Wszystkich twarze posmutniały, bo wszyscy wie-

*) Wyprawa ta w samej rzeczy nie powiodła się. Znana pod nazwą *wojny kokoszej*.

dzieli, czem dla ich sprawy był arcybiskup gnieźnieński, wyuczony w szkole Tomickiego.

Po chwili zawołał Żegrowski:

— Już to moja pomoc daremna, trzeba spowiednika. Jego przewielebna mość nie wytrzyma do nocy. Serce bucha w piersi jak młotem, aż się cały korpus trzęsie.

— To serce kochało nas wszystkich, rzekł X. Hozjusz, a teraz...

— Jeszcze mocniej was kocha, ozwał się Krzycki, i boleje, że was w tak ciężkim czasie opuścić muszę.

I uśmiechnął się sędziwy prałat słodko do zgromadzonych, jakby ich na czas krótki żegnał; tylko na stojącego koło jego łóżka poetę spojrzał boleśnie, jak gdyby mu chciał powiedzieć: Młoda muza twoja osierocieje, a któż da jej karmu, gdy łaknąć będzie?....

Gdy wszyscy milczeli rzekł Krzycki:

— Słyszę, że śmierć kołata we drzwi, zawołajcie mego spowiednika. Janicki niech przy mnie zostanie.

Zgromadzeni udali się do drugiej komnaty, a Janicki stanął przy oknie, zasłoniwszy twarz rękami.

Długo trwała spowiedź, bo chory miał przytomność i wiedział dobrze o wszystkich ułomnościach swoich, na jakich nigdy nie zabraknie człowiekowi.

Przy końcu nastąpiła między nim a spowiednikiem jakaś żywa rozmowa. Krzycki mówił zrazu głośniej, lecz coraz więcej słabnął głos jego, a zapłakawszy w końcu rzekł dość wyraźnie:

— *Peccavi.*

— Amen, zakończył spowiednik, a przeczytawszy modlitwę udzielił mu rozgrzeszenie.

Po przyjęciu św. sakramentów uczuł chory ulgę, i kazał wejść do komnaty wszystkim swoim przyjaciołom.

Mówił z całą przytomnością umysłu, o obowiązkach względem dobra powszechnego, napominał wszystkich do jedności, aby osobistym zawiściom pokój dali, a króla w jego dobrych zamysłach wspierali, aby pomoc dali naukom i kunsztom, albowiem dobra jest, aby w domu mieć własne swoje światło, aby nie chodzić każdą razą do sąsiada i prosić go: Pozwól mi, niech zaświecę u ciebie, bo u mnie tak ciemno, że krzesiwa znaleść nie mogę. A wiele na tem zależy, aby wiedzieć gdzie te krzesiwa leżą, nie trzeba koniecznie tam tylko ich szukać gdzie złoto i drogie kamienie, bo złoto nie da ognia, tylko żelazo i niepokaźny krzemień, jakiego wiele wala się pod nogami. A kto taki krzemień podejmie, i oszlifuje, ten może w narodzie jeden świecznik więcej zapalić. Mówił dalej że po bogu trzeba dobro powszechne kłaść na pierwszem miejscu, ale nic nie masz, cobyś

mógł położyć przed bogiem. *Primus amor Dei.* Oskarzał się oraz przed wszystkimi, że ciężko zgrzeszył, kładąc raz dobro kraju wyżej obowiązków powołania swego, lecz ufa w miłosierdziu boga, że skrucha zmaże tę winę. Zresztą chodziło tu o wroga chrześciańskiego kraju, wroga, który z krzyżem na piersiach był wewnątrz wilkiem drapieżnym *). Prosił także obecnych, aby nie brali zgorszenia z niektórych wesołych wierszy jego, prosił o przebaczenie, choć każdy o tem wiedział, że

Lubo namiętny w wierszu, skromny był w swem życiu. .

Zwróciwszy się do Janickiego rzekł:

— A ty najmłodszy synu Apolina, nie wypuszczaj z ręki wdzięcznej lutni twojej, niech ona brzmi tryumfem cnót naszych, niech przy niej grzeją się młodzi, aby serca ich były hartowne, jak zbroica, a jak blask tej zbroicy, aby tak rozumy świeciły. Niech ci nikt nie powie, żeś szary krzemień, że pod nogami leżeć tobie, bo w krzemieniu zawarta iskra, a ta da-

---

*) Krzycki napisał był list do Pulcona, nuncjusza apostolskiego, w którym utrzymuje stronę Alberta, pierwszego księcia pruskiego. Albert albowiem porzucił stan zakonny krzyżacki, a odstąpiwszy od religji katolickiej, otrzymał od Zygmunta tytuł księcia. W liście tym broni Krzycki interesu państwa, usprawiedliwiając postępowanie króla, który przedewszystkiem dobro kraju miał na oku. Przeto ściągnął Krzycki na siebie naganę Rzymu, a list jego policzony został w poczet pism zakazanych. Nawet w spisie autorów, których dzieła zakazał Sobór Trydencki, czytamy imię Krzyckiego.

je nam światło i ciepło. W prawdzie powstawałem nie raz na tych, co to *ex plebe* cisną się do zaszczytów, ale ci szli krzywemi drogami, a zamiast świecić gasili wszystko, bo w głowach ich nie było światła, tylko przewrotność, a w sercach nie było ciepła tylko pycha.. Kochaj to, co jest nasze, i co nam przed bogiem i przed innemi narodami zasługę czyni, a powstawaj przeciw temu, co nas między sobą hańbi i wala.... Panegiryku nie pragnę od ciebie, bo odchodzę jako robotnik, niedokończywszy żniwa...

Tutaj zaniemógł chory, i dokończył wejrzeniem na Piotra Kmitę. Wojewoda sędomirski zrozumiał to spojrzenie i rzekł:

— A jużciż dobry krzemień tylko w rzece znachodzić się powinien, a dobry rolnik orząc pole, precz go wyrzuca. Gdy Pan niebios pole twoje, kochany nasz pasterzu, pod lepszy plon zaora, toć ja krzemień ten przyjmę do rzeki mojej, i sprawię, aby nie leżał tam daremnie, tylko aby służył ku pożytkowi kraju.

A mówił to wojewoda z aluzją na herb swój i Krzyckiego. Krzycki był herbu Kotwicz, wystawiającego na tarczy białej pole czerwone, wszerz tarczy rozciągnione. A Kmita pieczętował się herbem Szrzeniawa, który wystawia rzekę białą w polu czerwonem.

Tej samej nocy przestał żyć Krzycki.

Siedząc przy zwłokach swego dobroczyńcy i przyjaciela, rozmyśliwał młody poeta nad tem, co mu w godzinie ostatniej konający powiedział, i hartował serce na nową drogę swego sierocego żywota. W rozmarzeniu patrzał w dal, i widział jak gdzieś z pod innego nieba wychylały się ku niemu róże, widział spuszczający się na jego głowę wieniec sławy, ale gdy skroni jego się dotknął, poznał, że to był wieniec cierniowy. Bóg zabrał mu przyjaciela, a dzisiaj zdawało mu się, że muza jego osierociała. Miał znowu iść między obcych, nie wiedząc czyli mu chętni będą.

Tkliwy, marzący poeta przemknął jak cień po przed scenę życia publicznego, a to co tam ujrzał, nie zachwyciło go wcale. Widział grę namiętności, patrzał na grzechy dumy i pychy, i zatęsknił do cichej lutni swojej. Czy znajdzie muza jego takie ciche ustronie na dworze wojewody, czy znajdzie tam kogoś do wtóru, a chętne ucho do słuchania? Nie wiedział, czy pieśni jego

....na dworze powitają szczerze,
Tam lubią długie czarki i długie biesiady,
Ale krótkie wierszyki i krótkie odzieże!...

Zdając się jednak na wolę boga i wierząc silnie, że w dobrych jego chęciach bóg mu dopomoże, rozmyśliwał o nowym swoim dobroczyńcy, a przy-

pomniawszy sobie mowę wojewody, ułożył następujący epigramat:

Zorana r o l a, gdzie Krzycki w opiece.
Dawał nam kłosy pobierać na niwie,
Idźmy gdzie indziej, bodajby szczęśliwie!
Płyń łódko moja po Kmiecińskiej r z e c e,
Może i tutaj, kiedy pan pozwoli,
Znajdę to w wodzie, co niegdyś na roli!..

Nazajutrz paliło się w komnacie mnóstwo świec. Dygnitarze i przyjaciele zmarłego nawiedzali go, mówiąc za jego duszę anielskie pozdrowienie. Nawet i wesołego usposobienia biskup Warmiński zbliżył się do trumny z łzawem okiem, i długo, długo klęczał przy modlitwie.

A gdy zgromadzeni dygnitarze jednogłośnie uznali, że wieść o gotującej się wojnie, i powstała ztąd obawa o dobro powszechne, zgon arcybiskupa przyspieszyły, zwrócił się biskup Warmiński do stojącego opodal Janickiego i rzekł do niego:

— A co, napisałeś waść jaki epigramat na śmierć arcybiskupa?...

Janicki odpowiedział:

Kochanek spokoju, gdy wojnę posłyszy,
Wszedł Krzycki do grobu, pewniejszy tam ciszy!...

III.

Elżusia.

Miłość w mem sercu wrzała pochopnie,
W młodzieńczej piersi czułem ją wcześnie..
Elegia VII. Janicki.

Podziemie metropolii przyjęło zwłoki arcybiskupa gnieźnieńskiego, dymy pochodni pogrzebowych rozciągły się ciemną chmurą po nad całą polską krainą, głosząc śmierć znakomitego dygnitarza. Długo jęczały dzwony po całej archidiecezji, płakali sieroty i żebracy. Wreszcie ucichło jakoś wszystko, i dzwony i płacz ubóstwa, tylko przyjaciele zmarłego kazali wyryć na twardym marmurze: „*Nieporównanemu mężowi, w kościele i rzeczypospolitej wielce zasłużonemu, ten kamień grobowy na pamiątkę miłej dla nich osoby położyli!...*

Nie wszyscy jednak, co go czcili i kochali, mogli się przyłożyć do tego napisu na grobie jego.

Wielu z nich zapisało tylko w sercu swojem słowa pamięci. Między niemi był nasz poeta.

Osierocony, bez przyjaźni i pomocy, doznał Janicki po raz drugi w życiu gorzkiego zawodu, a patrząc w koło siebie nie ujrzał nikogo, komuby mógł serce swoje otworzyć. Wprawdzie przyrzekł mu Kmita opiekę swoją, znali go i lubili pierwsi kraju luminarze, ale zaburzenia krajowe odwróciły na chwilę od niego ich uwagę, a zapomniany gęślarz, zginął gdzieś w tłumach krzykliwych, bo pieśni jego wtedy nikt słuchać nie chciał. Polsce potrzeba było wtedy Sarbiewskich i Smoguleckich, potrzeba było dźwięku strun żelaznych, a czuła pieśń młodego liryka przebrzmiała i zginęła jak śród burzy i gromów ginie westchnienie piersi bolejącej. Muza Janickiego pragnęła ciszy i spokoju, i pragnęła uczuć czułego serca. Sam mówi o sobie:

Miękne gdy we łzach obaczę oczy,
Me sarnie serce lęka się, trwoży,
I kląłem wojnę, gdy bój się toczy,
Bom nosił w sercu wszystek lud boży...

Poeta z ludu kochał ten lud boży, a wiedział dobrze, czem dla ludu są wojny i boje. Toż posmutniał na wieść nowych niepokojów, a zranione stratą opiekuna i przyjaciela, serce jego ścisnęło się smutkiem. Po ludnych ulicach Krakowa przechadzał się z głową zwieszoną, nie patrząc wcale na ludzi. Ci, co go znali, wskazywali nań palcami, mówiąc:

— Oto idzie jeden z dworzaninów nieboszczyka Krzyckiego. Gdyby miał rozum, nie czepiałby się sukni prałackiej, bo prałat co to ni z mięsa ni z pierza, póty panem, póki życia. Po śmierci cały dwór idzie w żebry. Nie ma to jak fawor magnata, co to panem z dziada pradziada, a gdy umrze sam, to przecież państwo jego zostanie, a człowiek tak może służyć synowi jak wnukowi, jak służył ojcu i dziadowi.

— To słuszna, mówili inni, ale trzeba być szlachcicem, aby przyjść na dwór magnata. A on, to jak wiecie nim nie jest. Toż taki tylko przy jakim biskupie przytułek znajdzie.

I tak mówili jedni to, drudzy owo, jedni witali się z nim szczerze po dawnemu, a byli tacy, co myśląc, że Janicki znowu do siermięgi wróci, przechodzili pomimo niego, nie pozdrowiwszy go, ani mówiąc przed nim: Pochwalony! Czasami szeptano za nim: Pańska łaska na bystrym koniu jedzie.

Słysząc to bolał Janicki, a resztę zdał na opatrzność boską. Serce tylko niepokoiło poetę, we dnie odbierało mu smak do jadła, a w nocy płoszyło z jego powiek sen dobroczynny. Czuł się sierotą, a nie miał nawet przed kim zapłakać. Owoż bóg ulitował się nad jego cierpieniem i zesłał mu anioła. Tak przynajmniej wyobrażał sobie poeta.

Było to jakoś przy końcu maju. Janicki mieszkał jeszcze w domu nieboszczyka arcybiskupa wraz z jego dworem. Ale na dworze tym nie było już dawnej zgody. Jeden wymyślał na drugiego, po nocach odbywano rozpustne biesiady, grano w kości, z kąd często i do guzów przyszło. Janicki nie pijał wina, a brzydził się dworską rozpustą. Toż często zdarzyło się, że wyszedł z domu cichaczem, i całą noc przepędził chodząc po-nad brzegiem Wisły. Zaznane w takiej przechadzce wrażenia osiadały jak pył kwiatów wiośnianych w głębi pięknej jego duszy, zkąd wypływały znowu słodkim rymem, trafnym obrazem lub smutnym jękiem.

Owoż zdarzyło się jednej takiej nocy, że wyszedłszy z bramy południowej ku Wiśle, zasłyszał tony dźwięcznej muzyki. Idąc za temi tonami zbliżył się do ładnego ogródka, w którym trześnie i wiśnie bielały się, jakby je kto śniegiem był posypał. Przyjemna woń kwiatów wiosennych zawiała od Wisły, a serce poety zadrzało niespokojnie, jakby przeczuło, że w tym ogródku rośnie dla niego kwiat czarowny, i że ten kwiat wplecie się niegdyś jako kwiat jedyny w cierniowy jego wieniec...

Furtka ogrodu była na ościerz otworzona. Janicki wszedł przez nią i z cicha postępywał ku stronie, zkąd wychodziło jakieś cudowne granie.

Było to już koło północy, a przyjemna cisza miesięcznej nocy majowej panowała wszędzie. Po środku ogrodu, pomiędzy drzewami bielał się mały domeczek. Z jednego okienka biło światło czerwonawe i mieszało się z sinem światłem miesiąca. Pod tem okienkiem stało kilku mężczyzn, a jeden z nich trzymał w ręku jakiś instrument włoski, podobny do cytry i grał na nim. Drugi przyśpiewywał od czasu do czasu wesołą piosenkę.

Janicki zbliżył się aż do samej gruszy, która tuż pod oknem stała, przysłuchując się tej nocnej muzyce. Wreszcie otwarło się okienko, i ozwał się głos szorstki:

— Radzę waszmościom oddalić się, jeżeli chcecie bez bólu resztę nocy przespać.

Na co jeden z nocnych śpiewaków odpowiedział:

— Masz sobie za wielkie szczęście poczytać, mości złotniku, że do twojej Halszki chodzi pan starościc, i jej muzykę nocną wyprawia.

Ale złotnik jak widać nie miał sobie tego za wielkie szczęście, że jego Halszce muzykę wyprawiano, bo z gniewem zatrzasnął okno, pogroziwszy natrętnemu zalotnikowi.

Wkrótce potem otworzyły się drzwi domku, i dwóch ludzi z grubemi kijami wyszło do ogrodu,

— Patrzaj, rzekł trzymający cytrę, mieszczanie chcą się z nami spróbować w palcaty, nie wiedzą że szable mamy.

— A ta dziewka pewnie oczu nie ma w głowie mówił drugi, że sobie Branowskiego upodobać nie chce. Wszystkie mieszczki wskazują palcem na niego, gdy idzie ulicą i jedna do drugiej mówi: Patrz, starościc Branowski idzie, nikt nie ma tak rumianego jak on lica, nikt lepiej czapki na bakier nie nosi, jak on, a jak szablą robi!... Ta to pierwszy dworzanin na dworze wojewody sędomirskiego, on tam rej wodzi!

Branowski, który przed chwilą spiewał, podkręcił wąsa, a uderzywszy w szablę, zawołał głośno:

— Chceszli mieć całą skórę, złotniku, to ci radzę, wrócić spokojnie do domu i słuchać, jak pięknej twojej Halszce nową spiewkę zanucę.

Na to otworzyła Halszka okno, wychyliła do ogrodu ładną główkę i ozwała się dźwięcznym głosem:

— Idźcie w spokoju do domu, mości starościcu, bo ja waszych zalotów nie potrzebuję. Wy szlachcic szukajcie sobie szlachcianki, a ja jestem mieszczanka i nie dla was. Waszej muzyki i śpiewek nie chcę, organista od Panny Marji lepiej gra i spiewa. Mój ojciec nic złego wam nie uczynił, toż mu dajcie spokój.

A ten, co trzymał cytrę, odpowiedział jej na to:

— Jeżeli życzysz sobie, aby rodzic cały do domu powrócił, to go zawołaj, niech nie robi burdy. My ci jeszcze coś zaśpiewamy i pójdziemy sobie, a nie przyjdziemy aż jutro o tej samej porze. Boś ty godna tego, aby przyjść do ciebie. Twoje lica są krasne jak kalina na stepach naszych, a twoje oczy czarne jak noc na nowiu.

Ale dziewczyna nie słuchała tej mowy, tylko zamknęła okno, a stojący za gruszą Janicki widział ją przez okno, jak poszła pod obraz Bogarodzicy, który wisiał na ścianie i przed nim klęknęła.

Tymczasem stary złotnik zbliżył się do nieproszonych gości, i krótko im powiedział, aby jego Halszcze spokój dali i precz sobie poszli. Ale biedny mieszczanin nie wiedział z kim ma do czynienia. Na czele kilku dworzaninów był starościc Branowski, znany w całym Krakowie zalotnik i dobry rębacz. Z nim się zdybać, nie uszło na sucho. Toż każdy omijał go z daleka, i był kontent, jeśli całą skórę przyniósł do domu.

Lecz złotnik był dzisiaj w niedobrym humorze. Nie udało mu się wziąć robotę w kościele P. Marji, bo sąsiad jego wyprzedził go. Toż i wdzięczna Branowskiego muzyka nie przemówiła do jego serca. Poszło więc od słowa do słowa, a ze słowa, jak to w takim razie bywa, przyszło do guzów. Pomocnik złotnika był biegły w swej sztuce, i niezpetnie kijem

wywijał. Ale staremu złotnikowi nie szło w ład to rzemiosło, bo i siebie kilka razy po łbie musnął, i spólnikowi sporo się dostało. Najwięcej ucierpiała grusza, bo kwiatem swoim, jak chmura śniegu, okryła walczących.

Widząc Janicki, że dworzanie szabel dobyli i na złotnika nacierają, wszedł między nich, aby rozejm uczynić. Ale nim jeszcze słowo wyrzekł, już go ciął Branowski w same skronie tak, że upadł na ziemię. Ta rzecz przestraszyła wszystkich, bo król był w mieście i ostro każdy taki postępek karał. Odskoczyli więc od siebie, a dworzanie wynieśli się cichaczem z ogrodu prócz Branowskiego, który temu śmiałkowi chciał w oczy zajrzeć.

Na krzyk złotnika wyniesiono z domku światło i wybiegła czeladź. Za czeladzią wyszły także dwie kobiety, a załamując ręce biegły na miejsce, zkąd słyszały wołającego złotnika.

Przyszedłszy bliżej i widząc Janickiego z głową zranioną, poczęły płakać i wyrzekać. Młodsza z nich przyklęknęła na murawie, a odwiązawszy swoją przepaskę, przysłoniła nią głowę zranionego.

Branowski zajrzał mu w twarz i poznał Janickiego.

— Będziesz miał waszmość mości starościcu jutro sprawę przed królem, zawołał grożąc mu złotnik.

— Nie wielkiej wagi będzie ta sprawa, odparł tenże, jest to jeden z dworzaninów biskupa. A choć

łacińskie wiersze pisze, toż jeszcze przeto nie jest szlachcicem.

Rzekłszy to, musnął córkę złotnika po licu, a obiecawszy przysłać cerulika, oddalił się z ogrodu.

Żona i córka złotnika nie zważali wcale na starościca, bo zajęci byli rannym. Janicki z pierwszego uderzenia przyszedł do siebie, ale nie czuł się na siłach, aby zajść do domu.

— Godzi, się, rzekł do niego złotnik, abyś waszeć w moim domku znalazł pielęgnowanie, boś za nas dostał ranę.

Zaprowadzono go więc do domku i kazano mu się położyć do łóżka. Branowski dotrzymał słowa i przysłał Żegrowskiego, który był lekarzem przy nieboszczyku arcybiskupie.

— Wszelki duch chwali pana boga, zawołał tenże otwierając drzwi komnaty, toż waszmość kierujesz się na zawadjakę, opuściwszy chór Apolina!

— Ręka moja nie do szabli, odpowiedział z uśmiechem Janicki, a mam naukę, że poecie tam nie iść, gdzie szable się krzyżują.

Obejrzawszy ranę odezwał się Żegrowski:

— Tym razem dostałeś waść małą lekcją, a za kilka dni możesz wyjść na ulicę. Jednakowoż należy się napić dziewanny, aby się wzburzona krew nieco uspokoiła. Zapewnie i przestraszyłeś się nie

lada, bo synowie Apolina nie zawsze mają serce odważne.

Na co Janicki:

— Nie chełpię się, żem skory do bitki, ale w takiej sprawie toby człowiek i guza rad oberwać. A gdzież jest gospodarzu wasza córka?

— Elżusia, odpowiedział złotnik, poszła warzyć dla was dziewannę, i będzie się mocno cieszyć, że jesteście wesołej myśli.

Nie wiemy czyli Elżusia w samej rzeczy mocno się cieszyła, bo jej do rana w komnacie, gdzie leżał Janicki nie było widać. Uwarzywszy dziewannę, poszła do swojej izdebki, ale jakoś nie bardzo snu jej się chciało, bo i kagańca nie zgasiła i spać się nie kładła.

Żegrowski odszedł, a złotnik odmówiwszy pacierz i modlitwę do Panny Marji, poszedł spać do komory. Cicho było w małym, przedmiejskim domku. Ale nie wszyscy spali.

W izdebce Elżusi paliło się światło. Smutna i zadumana siedziała na stołku. Była to przecudnej krasy dziewica. Twarz miała ściągłą i swieżą jak kwiat jabłoni, ciemne, rozpuszczone włosy spoczywały na białych jak śnieg ramionach, a oczy miała tak czarne, jak najczarniejszy węgiel z drzewa lipowego.

Choć już daleko było po północy, sen jednak nie czepiał się jej oczu, bo widziała przed sobą,

jakby na jawie, dorodną twarz obcego jej młodzieńca. Nie znała go, nie wiedziała kto on jest, a przecież tak ją coś do niego ciągnęło, tak obraz jego stawał jej ciągle przed oczami, że go się ani pozbyć, ani snu przywołać nie mogła. Co chwilą stawała, cicho otwierała drzwi do sieni i słuchała, ażali chory czego nie woła, ale w sieni było cicho, a biedna dziewczyna wracała znowu na stołek, aby dalej czuwać nad nim.

Odmówiła pacierz jeden i drugi, odmówiła modlitwę do swojej patronki św. Elżbiety, a w sercu jej było jakoś zawsze niespokojnie i smutno. Czekała więc cierpliwie zorzy porannej, aby się o chorym czegoś bliższego dowiedzieć, a przedewszystkiem aby go obaczyć.

I Janicki nie spał dzisiaj na różach. Piękna, świeża Elżusia stała mu przed oczyma. W oczach czarnych miała tyle nieba, tyle jakiegoś uroku, z taką czułością spoglądała na niego, obwiązując mu głowę, że na samo jej wspomnienie biło mu serce gwałtownie i krew się burzyła, której nawet dziewanna uśmierzyć nie mogła. A gdy sen skleił mu powieki, to widział ją, jak różanemi usty uśmiechała się do niego, jak wiła dla niego z kwiatów wieniec i słuchała słodkich wierszów jego.

Z pierwszym brzaskiem dnia wyszła Elżusia do ogródka, aby świeżego powietrza zaczerpnąć. A było

jej jakoś duszno. Twarz jej oblokła się mocnym szkarłatem, gdy ujrzała Janickiego, siedzącego przy oknie. Miał twarz bladą, a modre oczy zwrócił ku niebu, jakby z bogiem w duchu rozmawiał. Jak spłoszona sarna pobiegła dziewczyna do ojca i matki, dając znać, że obcy pan już nie spi, i że zapewnie będzie jakiegoś posiłku potrzebował.

Dzionek był prześliczny, majowej pogody. Stary złotnik wyjrzawszy oknem, zapomniał o guzach na głowie, które w nocy był oberwał, i tylko nad tem przemyśliwał, jakby to swego gościa godnie uraczyć. Do tego nie znał jego stanu ani godności, a chciał jakoś wystąpić, bo w mieście wiele liczył na swoje wyższe rzemiosło, na swój niepospolity rozum i znane powszechnie dostatki.

Zaraz po przywitaniu się z gościem, opowiedział mu szeroko o stanie swego majątku, o kamienicy i domku z ogródkiem, o kunszcie swoim, którego dzieła znajdują się w kościele Panny Marji, a mianowicie mówił wiele o srebrnych lichtarzach przed św. Barbarą, które za arcydzieło swojej sztuki poczytał. W końcu opowiedział jeszcze o niektórych robotach dla króla, a złotej klamrze do korali dla samej królowej, o szabli wojewody i o tem wszystkiem, co jego osobie mogło nadać mnogiego zysku i splendoru.

Podczas tej rozmowy siedziała Elżusia przy rogu stołu obok matki, zajęta szyciem. Ale więcej niżeli pod igłę patrzała na gościa i rumieniła się, gdy się z jego wzrokiem zdybała. I Janicki jakoś nie z wielką uwagą słuchał długiej perory złotnika, zwracając się często ku Elżusi.

Po śniadaniu przyszedł Żegrowski, a z nim dwóch księży. Jeden pytał Janickiego w imieniu X. biskupa Dantyszka, czy jest zdrów i czy nie potrzebuje czego. Drugi przyniósł mu od X. Hozjusza pozdrowienie. A Żegrowski oglądnąwszy ranę jego, rzekł:

— Przyschła, jakby jej nie było. Dzisiaj możesz waszmość już iść do swoich. I tak pytał się kilkakrotnie wojewoda sędomirski, gdzie waszmość zostajesz. że cię na swoim dworze nie widzi. A skoro się o Branowskim dowiedział, kazał go natychmiast wsadzić do lamusu, gdzie zapewnie już *de profundis* wyciąga.

Janicki uścisnął rękę złotnika, a gdy się do Elżusi przybliżył i jej kilka grzecznych słówek na pożegnanie powiedział, ujrzał że zbladła i oczy w ziemię spuściła.

— Nie zapominaj waszmość o złotniku Szymonie, wołał gościnny gospodarz już na progu.

A gdy wszyscy za furtką ogrodową znikli, rzekł złotnik do córki:

— Musi być znakomitym dworzaninem, bo szaty ma miękkie, i po łacinie mówi.

— Może się uczy na księdza, odpowiedziała córka i westchnęła.

IV.

Wybór stanu.

Dajesz mi znaki, by duch mój dla cię,
Latem i zimą kwitł zieleniuchno,
O ! ja miłości nie podam stracie,
Żadne jej burze z serca nie zdmuchną!...

Z Janickiego.

Kilka tygodni po owem zdarzeniu wchodził Janicki przez południową bramę do miasta, i dążył prostą ulicą na rynek. Był smutny i zamyślony, a twarz miał bledszą jak zwykle.

Przyszedłszy pod kamienicę naprzeciw kościoła Panny Marji, na której był obraz św. Jędrzeja, z kamienia wykuty, zatrzymał się na chwilę, jakby się namyślał. Zdawało się, że miał uczynić jakiś krok stanowczy. W tem zeszedł go biskup Przemyski

— A dokąd to waść iść zamyślasz, zapytał.

— Do Jego przewielebnej Mości, X. Hozjusza, odpowiedział.

— To pójdźmy obaj, i ja idę do niego. Wczoraj właśnie czytał mi piękną elegją, którą waść do

niego wystosowałeś. Ładnie piszesz, i Owid lepiej nie pisał.

Janicki zarumienił się, a skłoniwszy się rzekł:

— Jego przewielebna mość zawsze łaskaw na ubożuchną muzę moją.

Poczem weszli obaj do kamienicy.

W dużej komnacie, wysoko sklepionej, siedział mąż średniego wzrostu i czytał książkę. Wszystko to co go otaczało, znamionowało uczonego. Sprzęty były proste i skromne, na ścianie wisiał obraz ś. Stanisława, a pod nim, na białym stole stał duży krucyfix. Wiele ksiąg leżało poroskładanych, z których właśnie coś wypisywał uczony prałat.

Ujrzawszy wchodzących, powstał z krzesła i mile ich przywitał.

— Illustrissime, rzekł do Gamrata, bardzo ci wdzięczen jestem za pamięć, a waszmość Janicki cóż mi nowego przynosisz? Czytaliśmy waszą piękną elegją, lecz za wysoko wynosisz waść naszą erudycją i nasze zasługi. Chcemy wprawdzie gorliwie pracować w winnicy pana, ale płaca dla wszystkich będzie równa.

Na co skłoniwszy się Janicki, rzekł wierszem swojej elegji:

— W niewielu słowach cała nasza prośba,
Weź Janickiego za twego czciciela;
Dawno się o to u niebios doprasza,
Weź Janickiego i daj mu łaskawie,
Cząstkę w twem sercu, i przyjaźni słowo...

Uśmiechnąwszy się dobrotliwie uczony prałat, podał Janickiemu rękę i rzekł:

— Wszystkich, którzy jak waść pracujecie gwoli światła naszego, mieszczę w sercu mojem, i pragnę abyście byli memi przyjaciołami, a nie czcicielami, bogu należy się cześć, bo bóg przez nas działa.

— Niech Jego przewielebna mość, odpowiedział Janicki, nie ma tego za płochość, że jako orlik, co ledwie z łupek się wydzióbał, śmiem w słoneczne patrzać przezrocza. Choć młodym, lecz w młodzieńczej głowie już nie ma lekkich i przelotnych myśli! Wasza przewielebna rada jest mi potrzebna, bo młoda, odcięta rószczka nie przyjmie się, jeśli nie ma gruntu potemu!

— Jakiegoż to waszmości potrzeba gruntu? zapytał Hozjusz?

— Mój dobroczyńca odumarł mnie, odpowiedział Janicki, a ja zostałem jak młode ziarno, które siewacz nie pokryte ziemią za sobą pozostawił. Cóż je ochroni od zimna, cóż się z niem stanie, gdy je obaczy ptactwo drapieżne?...

Hozjusz położył palec na czole i zamyślił się. A Gamrat tak się ozwał:

— Orfeusz z lutnią swoją był w piekle, i nic mu się nie stało. Żyw i zdrowy powrócił z tamtąd. A waszmość, co tak słodkie wiersze składasz, miałbyś się bać ludzi?

— Dobrze powiedziałeś, illustrissime, odpowiedział na to Hozjusz, ale Janickiemu o coś więcej tutaj idzie. Zrozumiałem go, i dla tego na razie nic nie odpowiedziałem, bo trzeba się było nad tem zastanowić.

A zwracając się do Janickiego, mówił dalej:

— Waszmość idziesz na dwór wojewody sędomirskiego. Dobryć to pan, nie ma co mówić, jest hojny w łaskach i rad tym, co się doń uciekają. Ale na dworze jego nie czysta jest aura. Znajdziesz tam księży pożenionych, heretyków i tych, na których zapadły wyroki sądowe. Twoja muza nie znajdzie tam dla siebie zakątku. Chceszli, aby twój talent był pożytkiem dla kraju, to musisz być samym sobą. Wisząc przy dworze magnata nie będziesz nim, a jako dworzanin nie masz przed sobą promocji, bo nie masz ani rodu ani koligacji. Tą drogą nie dostąpisz żadnych zaszczytów, żadnych godności, żadnego urzędu. Jedna tylko dla ciebie jest droga, abyś talentu swego nie zmarnował, zostań księdzem. Jako ksiądz możesz dostąpić wyższych urzędów, na jakie zasłużysz sobie nauką i talentem. Inaczej będziesz się wysługiwał tylko *propter victum* i *amictum*.

Janicki posmutniał na te słowa Hozjusza, a obiecawszy radę jego wziąć do serca, pożegnał obu prałatów i wyszedł z komnaty.

Za radą Hozjusza przemawiał rozum, a im więcej ją w myśli rozbierał, tem więcej wydała mu się rozsądną i jedyną. Ale myśli te napawały smutkiem duszę jego. Natchniony poeta wyszedł z chatki wieśniaka, aby w liczniejszem kole zgromadzonych wyśpiewać to, czem pierś jego wrzała. Ale nagle ujrzał że mu w tym szerokim cyrku zabrakło miejsca, że nie miał na czem stanąć, aby go widzowie ujrzeć mogli. A w tłumie, śród gwaru i krzyku, któż jego śpiew usłyszy? Nie tylko w kraju, ale nawet na dworze mecenasa nie było dlań miejsca. Między dworzanami był on ostatni, bo nie miał rodu, a czem każdy z dworzaninów mógł się poszczycić.

Rozsądny prałat wiedział, czego biednemu poecie potrzeba było, bo znał swój czas i społeczeństwo, w którem żył, znał wady i cnoty jego. Był to wprawdzie czas, w którym nauka wiele miała zwolenników w warstwach niższych, ale sama przez się nie mogła nikomu nadać wyższego w społeczeństwie stanowiska. Potrzeba było dla niej szaty, która już w narodzie powagę miała, a nią przyodziana mogła dopiero dotrzeć do wyższych zaszczytów. A tą szatą było kapłaństwo. Toż przez długi przeciąg czasu widzimy samych księży na wysokich urzędach, bo w nich tylko uznano światło, talent i naukę. Wszystkie inne talenta u ludzi świeckich, nie mających rodu

ni fortuny, kończyły panegiryzmem na dworach magnatów, lub konały nędznie w infirmerjach klasztornych.

Ale tą drogą nie mógł iść nasz młody poeta. W tkliwem sercu swojem uczuł potrzebę ukochania czegoś, coby je mogło rozgrzać do wyższych polotów, on czuł, że bez tego szlachetnego ognia muzie jego mogłoby zabraknąć natchnienia, a wtedy zamilkłyby struny jego, jak każdy głos bez oddźwięku. Dusza jego chciała żyć na ziemi, czuć jak ludzie czują, zachwycać się i cierpieć, jak oni cierpią. Uczuciowy poeta potrzebował jak młoda, wątła latorośl drugiego pieńka, o który mógłby owinąć swoje ramiona, wznosić się wyżej, coraz wyżej, do owego słońca na niebie, które nań miłem patrzało okiem. A taki pieniek już wyrósł dla niego, już go znał i zbliżał się powoli, aby go wziąć w swoje objęcia.

Była to Elżusia, owa czarnooka dziewica z domku przedmiejskiego.

Janicki pokochał ją całą namiętnością poety, a tkliwa na wyższe piękności dziewica, przeczuła sercem bogactwa jego duszy szlachetnej, i odwzajemniła mu najgorętszą miłością, pierwszym kwiatem dziewiczego serca swego.

Mógłże poeta dzisiaj wyrzucić z duszy swojej wszystkie te marzenia, które tak cudownie malowały mu szczęście jego, mógłże patrzeć na łzy kochającej go dziewczyny, która mu miłość do grobu

przysięgła? Jakąż odpowiedź dyktowało mu serce na tę radę uczonego prałata?...

Poeta szedł smutny i zadumany ku brzegowi Wisły. Pragnął rady i pociechy, a gdzież je miał szukać, jeśli nie u Elżusi?

A Elżusia właśnie wyglądała oknem ku furcie ogrodowej, ocierała łzy z oczu, bo jej w sercu było bardzo smutno. A jakże nie miała płakać, jesli rodzic tyle jej dzisiaj nagadał, co jej serce raniło, i nawet teraz jeszcze nalegał na nią, aby Klemunia z głowy sobie wybiła, bo Klemens syn chłopa i nie ma fortuny, a Mateusz Gruszka, syn najstarszego rajcy, ma w rynku kamienicę o dwóch oknach i sklep intratny z bakaliami, które są tak smaczne i przez panów cenione.

— Będziesz kiedyś panią rajczynią, prawił stary złotnik, a Szybkowa, kłaniać ci się będzie i ustąpi ci miejsca przed obrazem Najświętszej Panny Marji. Do tego stary Gruszka ma grosz nie lada, on prawą ręką wojewody, a wiesz co wojewoda z żydami wyrabia. Nie bez tego, aby do jego kabzy coś nie kapnęło, boć mówią, gdzie rąbią, tam trzaski lecą, a dobrze robi ten, co je zbiera.

A Elżusia zachodząc się od płaczu mówiła:

— Niechże on ma tyle grosza ile gwiazd na niebie lub piasku w morzu, przecież ja jego nie chcę i za niego nie pójdę. On imienia swego podpisać

nie umie, tylko waży pieprz i cynamon, cóż mi po takim mężu! Przecież Klemens mówi jak ksiądz po łacinie, a biskup ściska go za rękę i rzecze do niego: Przyjacielu mój!

Skrzywiwszy się na to złotnik odpowiedział:

— Przyjaźń ta i trzech groszy nie warta. I klecha chodzi i śpiewa razem z biskupem, a przecież klech klechą. Nie wiem doprawdy, czem cię ten łacinnik oczarował. Bo to ni z mięsa ni z pierza. Blady, niepokaźny, chodzi jakby cień jaki, tylko oczy mu się świecą. Nawet nie ma należytej swady, jakto człowiekowi nieraz na targu potrzeba. Może być, że tam w głowie ma wiele nauki, ale cóż mi z tego? Czyż da mu ta nauka choć tyle złota, żeby mosiężny metalik pozłocić można?.. Przecież młody Gruszka to chłopiec jak rajskie jabłko, zdrów i czerwony, a nawet będzie tak gruby jak ojciec. A tobie ten chyrlak głowę zawrócił, co i trzech groszy niema w kalecie.

— Nie gadajcie tak do mnie, odpowiedziała Elżusia, bo ja do Wisły skoczę lub się zabiję, a za młodego Gruszkę nie pójdę. Ma on tam podle siebie Małgosię Karpowę, może się z nią ożenić.

Rzekłszy to, załamała ręce i podniosła wzrok ku niebu. Z czarnych jej oczu padały łzy na ziemię, a z piersi łkającej wydobywały się urywane słowa modlitwy. Ona otworzyła przed bogiem ser-

ce, i błagała go, aby jej gorącym życzeniom stało się zadość.

Co widząc złotnik uderzył się ręką po biodrach i zawołał:

— Niech mnie św. Szymon, patron naszego cechu, na mieniu mojem skarze, jeśli ja wiem, co się w domu moim dzieje. Żaden z Kolanków, a wszyscy z pradziada byli dobrzy złotnicy i piastowali urzęda miejskie, żaden z Kolanków nie umiał po łacinie a spokój mieli w domu. A córka moja czyta dzisiaj księgi łacińskie i lubuje w człowieku, który prócz łaciny w głowie nic w kabzie nie ma. Karanie boskie Elżusiu, przyszło na nas, snać zgrzeszyliśmy, pójdziemy jutro na wotywę do księży missjonarzy. Ja zrobię v o t u m, serce szczero - złote do obrazu Najświętszej Panny Marji, patronki w utrapieniu.

Powiedziawszy to mieszczanin, wziął na siebie kapotę i zabierał się właśnie do swego warsztatu, który był w mieście, gdy Janicki wszedł do izby. Mimo wszelkiej niechęci, jaką ku niemu miał stary złotnik, za to że jego jedynaczce głowę łaciną zawrócił, podał mu jednak na przywitanie rękę, bo i krakowski mieszczanin wiedział o tem, że gość w dom, bóg w dom.

Odłożywszy więc kapotę na bok, zakasał rękawy koszuli i rzekł do gościa:

— Straszne gorąco, waszmość spociłeś się jak zając. Elżusiu otwórz okno i przynieś nam moszczu. Ochłodzimy się trochę.

A mówił to na to, aby Elżusię z izby wysłać, bo miała oczy zapłakane i jakoś bardzo czule na Klemensa patrzała.

Gdy sami byli, zapytał złotnik:

— Cóż tam za nowiny przynosisz nam waszmość ze dworu. Waść tam z biskupami i wojewodami za pan brat, to wiesz o wszystkiem.

— Źle na świecie, mości Szymonie, odpowiedział Janicki, wojnę będziemy mieli i w domu i za domem.

— Wojna nie sprzyja nam. Nasz kunszt nie ma odbytu. Ale cóż robić, dzięki bogu, człowiek w dobrem mieniu, nie dba o złe czasy. Lepszy bo grosz bez zaszczytów, niżeli zaszczyty bez grosza. Nie prawdaż?

— Toć prawda, ale najlepsze grosz i zaszczyty.

— Zapewne, zapewne, odpowiedział złotnik, najlepsze złoto jest to, co ma i kolor i blask. Ale cóż robić, nie zawsze może się człowiek tak wypolerować, żeby zaświecił. Osobliwie w naszem mieście to trudno o zaszczyt.

— Jakto trudno? Oto wczoraj Piotr Łowczak został rajcą.

— Łowczak rajcą! kowal, co przy bramie florjańskiej ma kamienicę o dwóch oknach! Toż wielka nieprawość. Za czyją instancją to się stało?

— Nic łatwiejszego, jak teraz senatorem zostać. Oto wojewoda chcąc mieć senat po sobie, zapełnia go ludźmi, co mu wyniesienie swoje winni.

— A jakąż to drogą trafić do wojewody w takim razie?.. zapytał po chwili złotnik, a zamyśliwszy się począł chodzić po izbie.

Tymczasem weszła Elżusia i przyniosła dzban miodu. Złotnik uśmiechnął się dobrotliwie do córki, a nalawszy szklanicę, rzekł do Janickiego:

— Zdrowie waszmości, a gdy będziecie u wojewody, korzystajcie z jego faworu dla siebie i przypomnijcie sobie o Szymonie złotniku, którego przodek zasiadał także w senacie. Tylko starajcie się, aby tę łacinę zamienić na kruszec jaki, bo sama jest jak blaszka, z której nic skleić nie można.

Rzekłszy to, wziął kapotę i wyszedł do warsztatu, zostawiając kochanków sam na sam.

Klemens obejrzał się po izbie, a widząc że prócz Elżusi nie ma nikogo, wziął ją za rękę i tak się odezwał:

— Serce moje miłuje ciebie, a bez ciebie nie ma szczęścia dla mnie. W noc i we dnie stajesz mi przed oczyma, a ja roskoszuję patrząc w lica twoje. Pragnę, abym wiecznie się w ciebie wpa-

trywał, jak się orzeł wpatruje w słońce. Ty jesteś muzą moją, tyś mi źródłem hipokreny, bez ciebie wyschło by mi serce, jak kwiat zerwany, a jabym zwiędniał jak drzewo podcięte *)

Dziewica przytuliła się do piersi poety, oparła na niej skronie i poczęła płakać.

Kilka chwil trwało milczenie, serca kochanków rozmawiały z sobą. Anioł-stróż patrzał z roskoszą na bratające się ich dusze i za ich szczęściem westchnął do boga.

— Ale ty się nie uczysz na księdza, zapytała po chwili dziewczyna, niemiłą myślą przebudzona.

— Mógłżebym serce, w którem ty zamieszkałaś, ofiarować bogu, i rzec mu: *Tibi soli?* Byłbym grzesznikiem przed bogiem, obłudnikiem dla świata, a zabójcą dla siebie.

Dziewica przytuliła znowu głowę ku piersi jego i wylała łzę szczęścia.

Długo rozmawiali kochankowie o przyszłem szczęściu swojem, a gdy przyszedł im na myśl stary złotnik, posmutniały ich twarze, bo wiedzieli, że on był chciwy pieniędzy i zaszczytów. A biedny poeta widział tylko przed sobą wieniec z liści dębowych, bo na zaszczyty nie było dla niego miejsca.

Szczęśliwszą była Elżusia, bo była już szczęśliwą w marzeniach!

---

*) Z poezji Janickiego.

V.

Na dworze magnata.

Dłoń ma niewprawna do słodkiego dźwięku,
Niezręcznie jeszcze w lirne struny brzęczy,
O dobry Kmito, wszak to w twoim ręku
Nadać mi wprawę i zapał młodzieńczy!
Ty mnie ukształcisz po niedługiem lecie,
Z chrapliwej gęsi uczynisz łabędziem,
Jam wosk mięciuchny, giętki pod narzędziem,
Z którego kunstmistrz, co zechce wygniecie!

Z Janickiego.

Huczno było na zamku Sobieńskim. Szlachta powracając z *wojny kokoszej*, zadąsana na króla i jego doradźców, ciągnęła tłumem za swymi przewodnikami, hałasując po całej krainie. A wszyscy mieli w uściech dobro ojczyzny i prerogatywy szlacheckie, a rękę przy szabli, nie dla obrony kraju, ale dla swojej prywaty. Kilku chciwych sławy dygnitarzy wichrzyło krajem i siało między szlachtą kłótnie i zawiści. Źle, bardzo źle było w ojczyźnie.

Głową malkontentów królewskich był Piotr Kmita, wojewoda i marszałek wielki koronny. Umiał

on w koło siebie zgromadzić wszystko to, co go w narodzie głośnym uczynić mogło. To też najdziwaczniejsze postacie ujrzałeś na jego dworze. Dosyć rzucić okiem na biesiadujących wraz znim, aby mieć obraz całej ówczesnej Polski. Wszystko co kiedyś głośnem w kraju się stało, bądźto dobre bądź złe, rosło i dojrzewało na jego dworze. Ludzie wielkiej zasługi i wysokich zaszczytów, uczeni i poeci, nowatorowie i odszczepieńcy, ludzi z gminu i z gniazd orlich, roje warchołów i zbrodniarzy z pod prawa wyjętych, wszystko to służyło w orszaku wielkiego magnata, dobijając się o splendor pański.

A wszystkim potrzebny był ten splendor pański, bo bez niego i najszczersze chęci nie znalazły dla siebie miejsca. Znał dobrze Kmita czas swój i kraj, otoczywszy się ludźmi takiego rodzaju, a jako wódz znakomitych zdolności, używał różnych sił do różnych celów.

Dzisiaj jaśniał dwór Kmity nadzwyczajnym przepychem. Nigdy jeszcze nie miał Sobień tak licznych i dostojnych gości i dworzan, a stary węgrzyn lał się potokiem. Mnóstwo szlachty przyjechało za wojewodą z pode Lwowa, a między innemi zagościł także Andrzej z Górki, kasztelan poznański i jenerał Wielkiej-Polski, bliski krewny wojewody, który miał za żonę Annę Górkównę, wojewodziankę poznańską. Przybył także Marcin z Rytwian Zborowski, wojewo-

da kaliski, który w sprawach publicznych stawał zawsze po stronie wojewody sędomirskiego. W orszaku domowników widziałeś słynnych księży: Stanisława Orzechowskiego, Krowickiego, propagatora nauki sakramentarjuszów, Przyłuskiego i wielu innych, którzy wszedłszy w stan małżeński, nie mało hałasu i zaburzeń w całym kraju narobili. Byli to luminarze swego czasu, a okazały dwór Kmity był dla nich bezpiecznem schronieniem od nagabań za ich nowacje. Nawet ludzie pospolitych zbrodni znaleźli tam uprzejme schronienie. Pełka, co zabił Drohojewskiego, Rozborski, zabiwszy Wojakowskiego, sędziego przemyskiego, za wyrok nieprzychylny, Odoliński i Kumelski znani ze swej sprosności, umieszczeni zostali w orszaku dworzan. Przy jednym stole zasiadał z nimi Marcin Bielski, kronikarz, i nasz biedny poeta.

Takim był dwór Kmity, jakże na nim powodziło się Janickiemu?...

W komnatach zamku Sobieńskiego krzyki radośne. Przy kielichu wesoło się gwarzy, ten opowiada to, drugi owo, a rozgrzany winem wojewoda rozdaje między gości puhary, pierścienie i suknie, co mu tylko pod rękę padnie. A łacno było przypodobać się mu. Jaki taki sadzi się na koncept, opowiada krotochwile, wychwala hojność, bogactwo i ramię wojewody; ten wynosi swadę jego i odwagę w obec króla w obozie pod Lwowem, ów opowia-

da o jego legacjach odprawianych w ozdobnej komitywie do sąsiadujących z Polską mocarzy. Wojewoda dzisiaj wszystkim rad, a patrząc w bladą twarz wojewodziny, która o podal wraz z swoim fraucymerem siedząc, biesiadzie i rozmowom się przysłuchiwała, odzywał się do niej za każdym kielichem:

— Na intencją twego zdrowia piję, moja królewno, bo jejmość dzisiaj jakoś lepiej mi wyglądasz.

— A ja, odpowiedziała wojewodzina, w tej samnj intencji modlić się będę o wasze zdrowie, mości wojewodo. Dla mnie nie wiele już potrzeba.

Rzekłszy to podparła głowę ręką i zadumała się. Co widząc wojewoda zwrócił się do Andrzeja z Górki i w te odezwał się słowa:

— Musicie wiedzieć, mości kasztelanie, że Anulenka nasza, od czasu, jak dla niej mistrz Walenty Wróbel psalmy Dawida na polskie przełożył, już tej książki z ręki nie wypuści, choć wszystko na pamięć zliczyć potrawi. Już to niewieście naszej najlepiej podoba się mowa polska, łacina do jej serca nie przemówi.

— Anulka była od dziecka pobożną i bogomyślną, odpowiedział kasztelan, a mowę swojską miłowała nad wszystko.

Na co, dopiwszy wina, rzekł wojewoda:

— Wszakci i ja miłuję to, co nasze i boskie, jestem gorliwym chrześcianinem, spowiadam się i

biorę komunią świętą, ale przecież nie same pacierze mi w głowie. Modlę się w kościele, obraduję na sejmach, biję się na wojnie, a piję przy biesiadzie. Wszystko dobre o swojej porze. Ale jejmości mojej nigdy nie dość modlitwy. A ztąd ta czarna melancholja, która jej serce zasmuca, a lica blademi czyni. Mówi o śmierci, jakby jej źle było przy dostatkach.

— Jużto jej zdrowie zawsze było słabe i wątłe jak pajęczyna, odparł Górka, a wasz odjazd do obozu, mości wojewodo, jeszcze je więcej nadwerężył.

Wojewoda spojrzał na małżonkę, na której twarzy widać było łagodny lecz głęboki smutek. Widząc wojewodzina że wojewoda długo w nią się wpatruje, podniosła głowę do góry, i rzekła prawie ze łzami:

— Nie dość mi modlitwy, mości wojewodo, bo o wiele Boga proszę. Któż po nas imię nasze dalej w potomność poprowadzi?..

Czoło wojewody zachmurzyło się, on był bezdzietnym. Co widząc Marcin Bielski, odezwał się:

— Żaden ród nie jest wieczny, w końcu wymrzeć musi. Głośne w kraju imiona nie utrzymują się przez potomków w pamięci naszej, ale żyją wiecznie czynami, które po sobie zostawią.

Na co uśmiechnąwszy się żartobliwie odpowiedział X. Orzechowski, kanonik przemyski:

— Jużciż żyć będą, ale nie w narodzie, tylko w rocznikach, co waść piszesz; żyć będą z mulami. Narodowi potrzeba, aby widział śród siebie potomków wielkich swoich mężów, aby w nich składał cześć, ich ojcom przynależną. Na cóż Grecy i Rzymianie stawiali swoim bohaterom posągi?.. Aby mieć przed sobą coś, coby im tamtych przypominało.

Chcąc rozmowę weselszą uczynić i smutek z czoła wojewody odżegnać, rzekł na to Zborowski:

— A czemże wasza wielebność do potomności chcesz się dostać, jeśli, jak mówisz, sama sława na to nie wystarczy? Sądzę, że wbrew ślubowi jesteś waszeć gotów się ożenić.

Na tę przymowę powstał śmiech i hałas, a jedna z panien, z fraucymeru wojewodziny, zarumieniła się po uszy *). I Orzechowski zrazu się zmieszał, lecz widząc wojewodę przy dobrym humorze, powstał z miejsca, a przystąpiwszy do Zborowskiego, długo z nim po cichu rozmawiał.

Wesołość wróciła w grono biesiadujących, a gdy ktoś o Jakóbie Krasickim i Wacławie Sliwińskim wojewodzie napomknął, że ich nielitościwie żelazem i ogniem prześladują, rozśmiał się głośno Kmita,

*) Orzechowski chciał pojąć za żonę Zofję Straszównę, która była w fraucymerze Piotrowej Kmiciny, ale gdy Kmita na to, za namową biskupów, zezwolić nie chciał, Orzechowski za wdaniem się Andrzeja z Górki i Marcina Zborowskiego otrzymał rękę Magdaleny, córki Jana Siebora, herbu Ostoja.

przyobiecując swoim przyjaciołom całe nowe spectaculum, jakiego jeszcze nigdy na oczy nie widzieli. Opowiedział im, że jednej nocy bezsennej przyszła mu szczególna myśl do głowy, jakimby sposobem na swoich nieprzyjaciołach się mógł zemścić. Postanowił San pod Przemyślem przekopać, a nadawszy mu inny bieg, i odwróciwszy go od włości Krasickiego i Śliwińskiego, wydzierzawić wodę rybakom przemyskim. Szczególna ta myśl wojewody znalazła wielki aplaus, a sam wojewoda cieszył się nią niepospolicie.

Podczas gdy jedni to, a drudzy owo mówili i powszechna wesołość górę brała, stał Janicki przy oknie komnaty i patrzał gdzieś daleko. Cudowny przed nim roztaczał się obraz. Po lewej stronie ciągnęło się sine pasmo gór karpackich, pomiędzy które bieliła się biała wstęga wody. Przyćmiona barwa pól jesienna spływała harmonijnie z promieńmi zachodzącego słońca, a głuchy szum lasów Sobieńskich dolatywał dziwną melodją do ucha poety, i przynosił mu wieści, jakich dusza jego pragnęła. Na prawo rozwarły się góry lesiste, a daleka, błękitna smuga okazywała mu drogę, którą te upragnione dla niego wieści nadejść miały. Była to droga do Elżusi i do chatki rodzinnej, gdzie o nim śniła osierocona matka. Stary Janicki już nie żył. Biedny, pracą i nieszczęściem domowem znękany zagrodnik, pochylił się

ku ziemi, wychodził co dzień pod figurę, która stała na drodze do Gniezna, i oczekiwał syna, wiozącego do ubogiej chatki skarby i zaszczyty. Ale Klemensa nie było widać, a opatrzność boska patrzała suchem okiem na wzrastającą nędzę biednych mieszkańców. Nudno i smutno było staremu na świecie. Byłby szczęśliw, gdyby i w siermiędze Klemens do domu powrócił, a gdy i temu życzeniu nie stało się zadość, zamknął powieki biedny włościanin i położył się na sen wieczny, pod mogiłę.

Jeden z dworzaninów kasztelana poznańskiego przyniósł Klemensowi tę wiadomość, a tkliwego serca poeta uczuł tę stratę boleśnie. Sierota społeczeństwa, jako duch wyższy, sierota śród ludzi ujrzał się teraz prawdziwym sierotą, jak go zwykły świat pojmuje. Łzawem okiem błądził po dalekiej, błękitnej smudze, widział w duchu strony rodzinne, i na cichym, wiejskim cmentarzu, szukał czarnej, świeżej mogiły. Ale śród drogi zastąpiła mu piękna, młoda dziewica, i z uśmiechem anioła podała mu wieńce kwiatów. Poeta spojrzał w twarz dziewicy, a po czarnych oczach, po pięknej i łagodnej duszy poznał Elżusię. Serce jego uderzyło silniej, Elżusię pokochał teraz więcej, bo się zmniejszyła liczba tych, dla których on żył na ziemi.

Ale im więcej wzmagała się w jego sercu miłość dla Elżusi, im goręcej pragnął ją posiąść, tem wię-

kszy smutek osiadał mu w duszy, bo miał jakieś niedobre przeczucie, że jej nigdy nie posiądzie. Stary złotnik pragnął zaszczytów i złota, a zkąd miał je wziąć biedny poeta? Zaszczycano go wprawdzie po dworach magnatów, pierwsi kraju luminarze podawali mu rękę do uścisku, ale takich zaszczytów nie rozumiał mieszczanin krakowski. Krzesła w senacie obsadzono, a dla złotnika nie było tam miejsca. Zadąsał się stary, i co dzień wyrzucał córce, że nie chciała iść za młodego Gruszkę, który miał intratny handel bakaljów, i był synem najstarszego z rajców miejskich.

Dla złotnika nie było miejsca w radzie miejskiej, a dla poety nie było go na całym świecie. Znalazł on je wprawdzie na Olimpie, w gronie muz dziewięciu, i w sercu Elżusi, ale dla nich obojga było w świecie za ciasno. Wprawdzie lubiono go po dworach magnatów i dygnitarzy, żywiono i odziewano go za słodkie wiersze jego, ale to nie wystarczało kochającemu poecie. Do zaszczytów i urzędów nie widział przed sobą drogi, bo nie miał ani rodu ani koligacji, a choć znalazł wszędzie uprzejme zachowanie, nie znalazł jednak nigdzie nadziei, że będzie mógł swemu sercu zadość uczynić.

Pijany tłum dworzan wyśmiewał go najczęściej i szydził z jego niskiego urodzenia, a że Janicki krom wody żadnych trunków nie pijał, i żadnej weselszej

biesiadzie towarzyszyć nie chciał, nie miano więc z tego względu żadnej dla niego estymy. Bolał na takie zdrożności w narodzie biedny poeta, a karcąc je rymem, napisał Biskupskiemu, którego śród uczty zabito, taki nagrobek:

Pijany mnie szablą zabił swawolną,
Za to żem nie chciał spełnić kielicha:
Źle w naszym kraju! hejże do licha,
Pono już trzeźwym zostać nie wolno!
Pijaństwo ci sławę, wziętość zakupi,
Da ci przyjaciół, pij, gdyś nie głupi!

Życie dworskie nie przypadło do smaku poecie, on pragnął więcej niżeli strawy i odzieży. Szlachetna dusza jego zrywała się do wyższych polotów, chciała narodowi wypowiedzieć to wszystko, co w niej pięknego i wzniosłego było. A piękna, anielska była to dusza, rzucona na horyzont północy, jak różowa chmurka przedświtu. Mało kto ją spostrzegł, mało kto zachwycił się jej blaskiem; zbladła i wionęła białą mgłą ku niebu, gdzie była jej ojczyzna!..

Wojewodzina patrzała z współczuciem tkliwej kobiety na marzącego poetę, a zwróciwszy się do starościca Branowskiego, który jakiejś pannie z fraucymeru asystował, rzekła do niego:

— Mości starościcu, zawołaj do mnie Janickiego, patrzaj wasze, jaki tam smutny pod oknem stoi.

— Smutny jest, odpowiedział starościc podkręcając wąsa, bo nieprzystojna mu, mieszać się z dworzany. Herb jego to tylko lira siedmiostrunna.

— Tem ci milsza dla nas, rzekła wojewodzina, bo jej dźwięków milej słuchamy, niż brzęku szabli i puharów.

Starościc zarumienił się z indygnacji i złośliwem okiem zmierzył bladego młodzieńca. Wypełniając jednak rozkaz wojewodziny, zawołał na niego, aby się zbliżył.

— Mości Janicki, ozwała się wojewodzina, od kilku dni widzę waszeć smutnym.

— Rodzic mój umarł, odpowiedział z westchnieniem młodzieniec. Myślałem właśnie o nagrobku dla niego.

— Jakiż napiszesz mu waść nagrobek?

Janicki zamyślił się na chwilę, a ocierając łzę z oka rzekł:

— ....Gdy wrócę do domu,
Taki dam napis na trumienne wieko:
«Tu leżę, rolnik nieznany nikomu,
«Syn mnie poeta rozsławił daleko.»

— Ładne waszeć wiersze składasz, odpowiedziała na to wojewodzina, gdy umrę, zamawiam sobie u waszeci napis na moim grobie.

Dwie łzy okazały się w oczach wojewodziny; przeczuła, że nie zadługo jej życzeniu stanie się za-

dość *). Nie przeczuwał jednak tego Janicki, a powiedziawszy jej słowa pociechy, tak się w końcu ozwał:

— Dźwięki lutni mojej niestrojne, bo na północy za zimno muzom. Znam kraj na południu, znam miasto, gdzie one mieszkają w gajach cyprysów i pomarańczy. Ztamtąd dolatują do nas ich dźwięki, a jabym rad słuchać je na miejscu. Jak pulchna ziemia wciąga w siebie promienia słońca, aby poźniej plon oraczowi przynieść, tak jabym wciągnął w siebie dźwięki muz tych aby je na polskiej niwie powtórzyć. Wstaw się, zacna pani za mną do wojewody, aby z chrapliwej gęsi uczynił łabędzia. Ja pragnę nauki i światła, niech idę tam, gdzie je czerpać mogę.

Wojewodzina wstała z miejsca, a zbliżywszy się do wojewody, rzekła do niego:

— Nie odmówisz mi jednej prośby, mości wojewodo. Oto poeta Janicki chce iść do Włoch na nauki. Jeśli ci potomstwem nie wolno przejść do pamięci, niech twoje czyny, mości wojewodo, mówią za ciebie. Kto jeden świecznik więcej w narodzie zapali, ten uskarbia sobie pamięć potomności.

---

*) Wkrótce potem umarła wojewodzina, a Janicki napisał rzewny wiersz na zgon tej bogobojnej, polskiej niewiasty.

— Słuszna i miła sercu memu prośba twoja, mościa wojewodzino, odpowiedział Kmita, Janickiego poszlę do Padwy na koszt mój, a gdy się tam wyuczy, postaram się o to, aby był pożytkiem dla kraju.

Rozczulony taką łaską poeta mówił wiele o szczerych chęciach swoich: że pod ręką wielkich mistrzów chce być jak ów wosk mięciuchny, z którego wszystko wygnieść można. Że wszelkiej pracy dołoży, aby wrócić do kraju z zasobem światła i nauki i z wprawną lutnią, przy której mógłby wyśpiewać wielkie cnoty polskie.

Wszystkich wzruszyła szczera spowiedź poety, nawet Orzechowski, który dotąd zawsze z zawiścią na znakomity poetycki talent Janickiego spoglądał, podał młodzieńcowi rękę, i serdecznie go uścisnął.

Za kilka dni potem siedział Klemens w domku złotnika i rozpowiadał mu dziwne rzeczy. Złotnik słuchał z uwagą, mierzył w duchu odległość Padwy, i cieszył się, że Janicki wróci mistrzem w czarnym płaszczu i berecie i zajmie w senacie krzesło dygnitarza. Elżusia ubierze się w saitę i siedzieć będzie w pierwszych ławkach przed obrazem Najświętszej Panny Marji.

Tak marzył stary złotnik, a córka jego płakała, że Klemens tak daleko odjedzie, że tak długi czas nie będzie miała od niego wieści.

Wreszcie uspokoiła się cichą modlitwą i westchnieniem do patronki swojej, wyjęła z włosów jesienny kwiatek i dała kochankowi, prosząc go, aby przechodząc przez Alpy, kwiat ten do serca przycisnął, a wróciwszy, obsypany zaszczytami, aby nie zapomniał o córce złotnika.

VI.

Koronacja.

O słodkie miejsca! siódmy rok upływa,
Jako nie byłem w domowej ustroni,
Choć tęskni za mną moja dobra niwa,
A ja się modlę, aby wrócić do niej!...

Z Janickiego.

W Padwie zanosiło się na jakąś wielką uroczystość. Tłumy mieszkańców przechodziły się po przed zamknięte drzwi kościoła św. Antoniego, w którym już od kilku dni słychać było pukania i stukania. Wielu z nich nie wiedząc powodu takich przygotowań, domyśliwało się najdziwaczniejszych rzeczy. Jedni mówili, że ktoś z Medyceuszów do miasta przyjedzie, inni opowiadali o buli papiezkiej, którą miał z Rzymu przywieźć kardynał Bembo.

— Ogłoszą bulę przeciw heretykom, rzekł stary *Facchino*, przykładając oko do szpary drzwi kościelnych.

— Inaczej w mieście słyszałam, odpowiedziała przekupka, mówią że książę *Sforza* bierze księżniczkę

Montebello. Dobra to pani, zawsze każe u mnie kupować pomarańcze.

— O niczem nie wiecie, ozwał się kowal, stojący z zakasanemi rękawami pod murem, w kościele stawiają rusztowanie i przykrywają je suknem. Na takiemto rusztowaniu widziałem Papieża gdy lud błogosławił w Rzymie.

Tak rozmawiali między sobą ubodzy mieszczanie i ciekawi byli, co to z tego będzie. Znakomici jednak wiedzieli, że za dni kilka odbędzie się wielka uroczystość akademii padewskiej, na którą ze wszystkich miast włoskich zjechali znakomici goście.

Była to uroczystość ukoronowania najznakomitszego poety. Rzesza czekała niecierpliwie, aby poznać polubieńca muz, i serdecznie mu przyklasnąć.

Padwa była podówczas ogniskiem oświaty. Ze wszystkich krajów Europy spieszono tam po światło i naukę, tam kształcili się pierwsi owego czasu mężowie.

Natłok w mieście był niesłychany. Na ulicy można było słyszeć wszystkie języki Europy, którym pośredniczył język łaciński. Była to wielka szkoła narodów, gdzie wszyscy wspólne pobierali wychowanie, aby kiedyś podzieliwszy się na narodowości, mieli jeden, wszystkim wspólny fundament. Literatura klasyczna zbratała wtedy narody.

Na takim to popisie narodów nie tak łacno było o palmę wieszcza. To też i z wielkiem zajęciem oczekiwano tej uroczystości, na której ogłosić miano imię poety.

A ten poeta żył między rzeszą, ocierał się o nią nieznany, niepostrzeżony, bo prócz mistrzów mało kto znał go w mieście. Blady, z błękitnem okiem młodzieniec, przechadzał się z cicha po-pod dumne arkady pałaców książęcych, a widząc go, niktby nie uwierzył, że za kilka dni namaszczą go mistrzowie na księcia-poetę. Tylko dziewica włoska, przechodząc mimo niego, spoczęła dłużej wzrokiem na pięknej jego twarzy, siągnęła przez oko aż do wieszczej duszy, bo tam na dnie ujrzała skarby, co serce każdej kobiety tak nęcą! Ale gmin tych skarbów nie widział, ani ich nie znał, i dla tego czekał czegoś nadzwyczajnego.

Po przed kościół św. Antoniego przeszedł jakiś mąż czarno ubrany. Stojący uczcili go uprzejmym ukłonem. Był to Łazarz Bonamik, jeden z najcelniejszych mistrzów akademii padewskiej. Uchyliwszy kapelusza szedł spiesznie dalej.

Wreszcie stanął przed małą furtką ogrodu, którego ostrokół ocieniały liście winogradu. Otworzywszy ją z wolna, wszedł w długi, ciemny szpaler, i kroczył ku małemu domkowi, który się bielał na końcu szpaleru.

W skromnej izdebce leżał na łóżku mocno wybladły młodzieniec. W koło niego leżały książki i pisma rozrzucone w nieładzie. Na stole stał bukiet świeżych kwiatów, których woń przyjemna napełniała komnatę.

— Przychodzę zapytać się o twoje zdrowie, rzekł mistrz, podając mu rękę do uścisku.

— Zdrowie moje to jak dzwon rozbity, odpowiedział chory, nie winien temu dzwonnik, ale konwisarz, co mu dał za wielkie serce. Skorupa nie wytrzymała uderzeń serca i pękła.

— W smutku jesteś synu Sarmatów, a ja przynoszę ci dobre wieści.

— O dobry mój mistrzu Bonamiku, zawołał chory, gdybyś mi był przyniósł kilka kropel z mojej Wisły, kilka trawek z Wawelu, lub ziarno piasku z łożyska Warty, albo garść ziemi z mogiły mego ojca, rzuciłbym się w twoje objęcia i płakałbym z radości. Siły moje wróciłyby do mnie, byłbym zdrów i wesół jak ongi, i spiewałbym na cześć mego mistrza i przyjaciela. Ale cóż mi wieści twe pomogą?

— Wieści moje są wielkiej wagi, rzekł Bonamik, po jutrze dostąpisz korony najznakomitszego poety. Klemens VII, Medyceusz, poseła ci ją.

Twarz chorego zafarbowała się rumieńcem, oczy jego napełniły się łzami. Podniósł się na łóżku, a podając mu rękę, rzekł mu:

.....Za twoim starunkiem
Dają mi tytuł szanowny przed rzeszą,
Jak koń wychudły, którego zawieszą,
Świetnym czaprakiem i złotym rynsztunkiem...

I mistrzowi stanęły łzy w oczach, bo obcego młodzieńca kochał jak własnego syna. Kilka chwil trwało milczenie.

Trudnoby nam było w młodym poecie poznać Janickiego. Siedm lat minęło, jak ziemię ojczystą pożegnał, spiesząc na nauki do Padwy. Czem były te lata dla tęsknącego poety, każdy z łacnością pojmie. Były to lata najwyższej boleści, gdy osierocony młodzieniec, z dala od swojej ojczyzny, tułał się między obcemi, zbierał jak pszczołka pracowita z roślin alpejskich krople nektaru, aby je w darze przynieść narodowi swemu. Były to lata nadziei i rozkoszy, w których wolno było poecie śnić i marzyć o swojej przyszłości, zanim mu rzeczywistość zamiast wieńca nie wbiła na głowę korony cierniowej....

To też marzył i śnił ubogi poeta to o chatce rodzinnej, to o czarnookiej Elżusi, która go przez lat siedm z równą oczekiwała tęsknotą, a wychodząc na Wawel, patrzała zapłakanem okiem na sine pasmo gór karpackich, z kąd miał nadejść upragniony kochanek. Ale Klemensa nie było widać, a stary złotnik sprawiał do kościoła jedno wotum po drugiem, aby Najświętsza Panna odwróciła od domu je-

go karanie boże. Elżusia schła i więdła, a lica jej stały się blade i tak przeźroczyste jak wody Wisły.

I Janicki wiele cierpiał w obczyźnie. Z całym ogniem duszy szlachetnej rzucił się do nauk, aby spełnić nadzieję swoich dobroczyńców, aby wróciwszy do kraju znaleść dla siebie przynależne miejsce. Ale im więcej nad tem rozmyśliwał, tem więcej przekonywał się, że dla niego nie ma miejsca pod niebem rodzinnem. Cóż mu z całej jego nauki, cóż mu z wieńca poety, jeśli po jałmużnę rękę wyciągnąć musiał, jeśli miał żebrać wsparcia, aby w nędzy nie zginął. Dumna dusza poety bolała srogo na takie rozczarowanie. Wprawdzie kochali go i czcili najznakomitsi mistrzowie włoscy, Bonamik i kardynał Bembo zaszczycali go swoją przyjaźnią, wszyscy cenili w nim talent znakomity i serce szlachetne, nazywając go gwiazdą północy, ale w rzeczywistości nie miał poeta ani piędzi ziemi na całym świecie, gdzieby wolen od trosk mógł swobodnie wypocząć na chwilę. Przyjaciele radzili mu, aby się uczył teologii, a zostawszy księdzem, mógłby swoim talentem dobić się wysokich zaszczytów. Inni zachęcali go do filozofii, bo osiągnąwszy stopień mistrza jużby nie chodził po świecie z próżną kaletą. Ale wszystkie te rady nie były Janickiemu po myśli. Księdzem zostać nie chciał, bo marzył o swojej Elżusi, a zawiłe systemata filozofii ówczesnej odstra-

szały zdrowy umysł jego. Wieszczem okiem widział jaśniej i dalej natchniony poeta, niżeli mógł zajść mrzonkami ciemnej metafizyki. Toż tym, którzy go do tego zachęcali, odpowiedział:

Losy zmusiły malutką dziecinę,
Ze ślepem ciemnem wziąć rozbrat zupełnie,
Nie dziw się przeto i nie bierz za winę,
Że twoich żądań wcale nie dopełnię.
Daj myśl, co młodym siłom odpowiedna,
A z niej ochoczo pieśń tobie ułożę,
Lecz dać nie zdołasz, miłość tylko jedna,
Natchnąć mnie pieśnią przyzwoitą może;
Gdy ta mi piękną ukaże dziewicę,
Obaczysz wtedy. jak zanucę czule,
Obaczysz wtedy, jak wszystkich zachwycę,
Prześcignę w pieśniach Umbry i Tybule...
Śród cichej nocy, gdy będziemy sami,
Kochance pieśni zapieję młodzieńcze,
Jakże te nocy porównać z nocami,
Które nad Szkota *) księgami prześlęczę?...

Poeta chciał żyć sercem, czuł w sobie żywy zdrój natchnienia i chciał wyśpiewać, co w jego piersi wrzało. Zaszczytów nie pragnął, bo nie znał pychy tego świata, dla której poświęcają ludzie najdroższe swoje uczucia. Biedny poeta, nie wiedział, że idąc za popędem uczuć swoich, oddalał się od świata rzeczywistego, który kiedyś miał o nim za-

*) O filozofii.

pomnąć.... nie wiedział, że pieśni jego przebrzmią jak tony muzyki, że serce jego pęknie i zgłuchnie jak głuchną stargane struny na lutni... On nie wiedział tego ostatecznego końca każdego wyższego ducha na ziemi, ale przeczuwał go wieszczem sercem. To też bolał biedny młodzieniec, bił się z myślami po nocach bezsennych, zabijał się pracą nadludzką, która jego zdrowie podkopywała, walcząc tym sposobem z losem, z ludźmi, a co najtrudniejsza, z wyobrażeniami swego czasu, które za każdym krokiem jego wlokły się jak za więźniem żelazne okowy.

Ta walka złamała go, a dobiła tęsknota za krajem. Jakkolwiek nie miał żadnych rodowych tradycyj, któreby go z dziejami narodu wiązały, Janicki kochał namiętnie kraj swój, bo serce jego żyło miłością. Każdą razą, gdy ziomek jaki z Polski przyjechał, lub z Włoch do Polski odjeżdżał, poeta obdarzył go czułemi wierszami, w których za strzechą ojczystą najżywsza maluje się tęsknota.

Piękna jest włoska kraina, pod jej niebem rodzą się wielcy poeci. Żal Janickiemu, że się tutaj nie urodził, ale wnet przemaga w nim miłość kraju:

Nie iżbym bolał, żem sarmackie dziecię,
Owszem ja rodem sarmackim się szczycę,
Świat tu szeroki, i pięknie na świecie,
Lecz nie ma ziemi nad moją ziemicę!....

Stosunki kraju były przyczyną, że o biednym poecie zapomnieli dobroczyńcy jego. Kmita miał sprawy na Moskwie, długi czas nie dał nic słyszeć o sobie, a Janicki musiał przyjąć pomoc cudzoziemców. Przyjaciel jego i mistrz, Bonamik, zajął się biednym opuszczonym, i dopomagał mu wedle możności. Ale myśl sieroctwa podkopała zdrowie poety i rzuciła go na łoże choroby, która życiu jego zagrażała.

Takim był nasz Janicki, gdy w kościele robiono wielkie przygotowania, aby z całą ówczesną wystawą i uroczystością włożyć na skronie jego koronę poety!...

Wreszcie nadszedł ów dzień upragniony. Już od świtu zgromadzały się tłumy ciekawych widzów, i zajmowały najdogodniejsze miejsca, z kąd można było widzieć ten pochód uroczysty. Stroje różnych narodów grupowały się fantastycznie, jedne obok drugich, a różnorakie języki mówiących spływały w jakąś dziwną, choralną melodją. Niewiasty stawiły się w pierwszych rzędach, aby ujrzeć polubieńca muz, aby w jego oczach wyczytać pieśni jeszcze nie wyśpiewane.

Godziną przed południem ozwały się dzwony kościoła. Lud zgromadzony krzyknął z całych piersi: *Eviva*, bo z pod arkad akademii wysuwał się zwolna orszak dygnitarzy, mistrzów i uczonych. W pro-

11

mieniach jesiennego słońca zabłysły insygnia akademii i kościoła, a długi szereg sędziwych mężów, ubranych w czarne płaszcze i barety, kroczył pod przewództwem prałatów i znakomitości miasta, z wielką powagą i uroczystością. U drzwi kościoła przyjął ich kardynał Bembo, stosowną do uroczystości oracją.

Na środku kościoła wzniesiono tron, obity suknem szkarłatnem, na którym imieniem Papieża siedział najwyższy dygnitarz państwa. Uderzono w bębny i kotły, uroczysta muzyka zabrzmiała od chóru. Pierwszy mistrz akademii wprowadził Janickiego na stopnie tronu.

Kardynał Bembo miał do niego i do zgromadzonych długą przemowę. Mówił wiele o Sarmatów krainie, która na gody narodów przysłała gościa w sukni świątecznej. To też cześć należy się dzisiaj temu gościowi z ziemi sarmackiej, który lutnię swoją wziął z rąk Apolina. Niechże wraca z tą lutnią, nastrojoną między nami, a gdy nas od gór Sarmacji echo jego pieśni doleci, wtórzyć mu będziemy sercem i duszą. Mówił dalej, że Polska co do wiary, to jak żołnierz ostatni w zastępie Chrystusowym, co do oświaty, to jak gwiazda, przyświecająca całej północnej Europie.

— Bądźże wieszczu młody, zakończył kardynał, jednym z promieni tej gwiazdy północnej, która najdroższym jest klejnotem w tyarze rzymskiej. Klemens

VII, Medyceusz, poseła ci ten wieniec z lauru, który wyrósł na świętej Piotra skale, a niech rymy twoje tchną taką miłością, jaką przemawia do nas w listach swoich pierwszy apostoł Chrystusa. Z wieńcem na skroni niech cię przyjmie chrobry twój naród, a ty wyśpiewaj mu to wszystko, czegoś się przez lat siedm między nami nauczył. Niech cię słuchają wielcy i mali, bo słuch zarówno wszystkim jest dany. Bądź pochodnią co grzeje i rozwidnia, boć wielka moc dana jest światłu, którego i ciemności piekła nie ogarną....

Znowu zagrzmiały kotły, i ozwała się muzyka tryumfalna. Na skroni Janickiego spoczęła korona laurowa.

Sklepienie kościoła wstrzęsło się od okrzyków ludu, który obrzucił kwiatami syna ziemi sarmackiej. Niewiasty nie mogły się nachwalić pięknej, bladej twarzy jego, i cisnęły się tłumem, aby go z bliska obaczyć, aby mu głośno powiedzieć: *Comme e bello!* A gdy po skończonej uroczystości Janicki z kościoła wychodził, pochwycił go lud na swoje ramiona i okazał ukoronowanego poetę wszystkim tym, co go w tłumie widzieć nie mogli.

Była to najszczęśliwsza chwila w życiu poety.

* *
*

Za kilka dni przyszedł Bonamik do izdebki poety, zastawszy tam najsłynniejszych lekarzy Padwy,

których był do chorego zawołał. Janicki leżał chory na słabość piersiową. Tęsknota, miłość, nauki, walka z życiem wycieńczyły siły jego. Lekarze uradzili, że tylko powietrze ojczyste może go przy życiu zachować. Oni nie wiedzieli, że dla poety nie było miejsca na ziemi, że go między swemi nigdzie znaleźć nie mógł!...

Ufając lekarzom pragnął Janicki do Polski wrócić. Ale ukoronowany, kwiatami obsypany poeta nie miał za co tę podróż odprawić. Szlachetny Bonamik zebrał dlań skromny zasiłek, a Janicki wyszedł do Polski niosąc dla niej gałązkę lauru, zdobytą ofiarą zdrowia i życia. Zamiast skarbów i zaszczytów, o jakich marzyła osierocona matka i złotnik stary, niósł poeta z sobą skromny datek jałmużny!

Biedna Elżusia!...

VII.

Powrót.

O Polsko moja! cóż wracać do cię?
Do kogo spieszyć tam za Alpami;
Matki już tylko bije mi łono!
A we mnie losy piorunem grzmocą,
Umrę niebawem — a nikt już pono
Nie spuści łezki w trumnę sierocą.

Z Janickiego.

Z miasteczka Żnina powracali z targu wieśniacy do zagród. Każdy był wesół, bo każdy z nich coś sprzedał lub kupił, i był pewny że go w zagrodzie pochwalą. Wielu z nich niosło nowe szaty na ramieniu, a z zagrod powychodziła dziatwa aż za kopce graniczne, aby prędzej dostać gościńca.

Był to dzień późnej jesieni, a słońce miało się już ku wieczorowi. W polu było pusto i czarno, a liście drzewa pożółkły i opadły na ziemi. Na drodze do Janiszek było gwarno i tłumno. Jedni jechali na wozach, spiewając wesoło, drudzy szli gromadą, nucąc pieśni nabożne. Każda zagroda trzymała się

kupy, bo jakoś najlepiej człowiekowi między swemi. Ten swat, ten sąsiad, ten kum a ten krewny, zbierze się jakoś słowo do słowa, a człek nie wie, jak jedna milka po drugiej ubiega. Z dala miga figura, już i za figurą, tam zagroda, minęła się i zagroda, a przed zachodem słońca stanie każdy na progu swojej chatki, i tam sobie odpocznie.

Gromadka z Janiszek zdąża właśnie do swoich zagród. Przede wsią wznosił się wielki kopiec, a na nim stała figura Ukrzyżowanego. Z kopca widać było daleko i szeroko, bo wszędzie była równina. Na tym kopcu siadywał niegdyś dziad kulawy, siwy jak gołąb. Dziatwa z Janiszek wychodziła do niego, a on im wdzięcznie na lirze przygrywał. Jaki taki przyniósł mu coś w zanadrzu, a dziad odmawiał pacierze i grał nuty nabożne za żywych i umarłych. Ale razu jednego przyszła dziatwa na kopiec, dziad siedział oparty o figurę, trzymał lirę w ręku, ale już więcej niezagrał. Przez cały rok nie było nikogo pod figurą. Dziatwie było smutno i nudno. Aż oto jednego ranku przyszła pod figurę jakaś uboga niewiasta, z kijem w ręku, ślepa na oczy. Siadła i poczęła odmawiać pacierze, spiewała pieśni kościelne, tylko na lirze grać nie umiała. Ale ślepi lubią opowiadać, a więc opowiadała ślepa niewiasta zgromadzonej dziatwie o trzech braciach ze złotemi włosami, o złotej kaczce, a najwięcej pra-

wiła im o swoim synie, który gdzieś w świat pojechał, a ma wrócić w złotej karecie. Dziatwa słuchiwała gadek starej baby, przynosząc jej chleb i owoców.

Dzisiaj nie słuchał nikt jej gadek, bo dziatwa oczekiwała ojców, wracających z targu, i upragnionego gościńca. Gdy się gromadka do figury zbliżyła, poczęła niewiasta wszystkim błogosławić, prosząc o jałmużnę.

Jaki taki dobył z kieszeni kawałek chleba i podał jej prosząc o Ojczenasz.

Z pomiędzy włościanek wysunęła się młoda, piękna kobieta, a prowadząc dwóch synów za rękę, rzekła do żebraczki:

— Przyniosłam wam białego chleba z miasta, bo na wasze lata czarny nie zdrowy. A tu macie i mięsa kawałek. Odmówcie pacierz za nieboszczyka mego ojca Borysza. Niech mu pan Bóg da niebo za to, że mnie taki dobry los zgotował.

— To wy Zofio, zapytała żebraczka podnosząc oczy do góry, jakby ją ujrzeć chciała, wy nigdy o mnie nie zapomnicie. Co jabym teraz dała za to, gdybyście byli moją synową. Niesiedziałabym pod figurą.

Żebraczka sięgnęła do oczu, jakby łzy otrzeć chciała, ale żadna łza nie ukazała się w oku. Ona już łez nie miała, płakała tylko w sercu.

— Dzięki Bogu, odpowiedziała Zosia, może się i dobrze stało. Jużto, prawdę powiedzieć, długo myślałam o waszym synie, ale gdy stryk Jędrzej przyszli do nas i poczęli mnie namawiać, że Mateusz dobry, gospodarny chłopiec, cóż było robić? Ot poszłam za niego, i tego teraz nie żałuję. Mamy czworo bydła, wóz kuty, każde z nas ma sukmany, jedną od święta a drugą do roboty. Są dzieci i błogosławieństwo boskie i czegoż przy pracy więcej człowiekowi potrzeba?

— Prawda, prawda, odpowiedziała żebraczka, otoż to grzech nasz, że nam nigdy nie było dosyć. Za to srogo Bóg nas ukarał. Mąż mój umarł przed czasem, dziatwę zabrało morowe powietrze. Wicka ktoś zabił, a Klemensa jak niema tak niema!... Ale ja wiem że on wróci, bo jest teraz ztąd bardzo daleko, a pewnie wróci biskupem.

— Wtedy, odpowiedziała Zosia Boryszowa, pójdziemy wszyscy do Gniezna i będziemy całować nogi jego, a on za nas wszystkich modlić się będzie i dzieci nasze pobłogosławi.

Gdy tak obie kobiety rozmawiały, nadjechała bryka trzykonna. Na bryce siedziało dwóch podróżnych. Jeden z nich wyglądał na dworzanina, a drugi był coś z włoska ubrany. Kobiety nie zwracały na nich uwagi, chociaż obaj czapki przed figurą uchylili, a nawet jeden z nich *Ave* odmówił.

Ujrzawszy pierwsze zagrody Janiszek, ozwał się z polska ubrany:

— Więc to jest twoje gniazdo rodzinne, mości Janicki? Wieśniacy przestraszą się, gdy cię w tym włoskim ubiorze obaczą. Masz gdzie na nocleg zajechać?...

— Niewiem, odpowiedział Janicki, ażali znajdę chatkę, w której się urodziłem. Wszyscy odumarli mnie, tylko matka ma być jeszcze przy życiu.

— Toż lepiej było nie omijać Krakowa, gdzieby łacniej było o *contubernium*, niżeli w tę pustą krainę się zapuszczać.

— Nie napróżnom ja ominął Kraków, mości Staszycki. W Krakowie chcę umrzeć, a nie widząc matki i mogiły ojca, bolałbym srogo.

Staszycki, dworzanin kasztelana poznańskiego, do którego w górnych Węgrzech przysiadł się powracający z Włoch Janicki, wiózł z sobą wino dla kasztelana, i lepiej znał się na tym trunku, niżeli na słowach poety. Toż dziwnie wypatrzył się na towarzysza, który mu śmierć swoją przepowiadał.

Widząc to Janicki, rzekł do niego:

— Ucząc się w Padwie, byłem razu jednego mocno słaby. Pierwsi sztuki lekarskiej mistrzowie powiedzieli, że już żyć nie będę. Westchnąłem do Najświętszej Panny, prosząc ją, aby tyle raczyła zdziałać, bym kości moje mógł w ziemi ojczystej złożyć.

I uczyniłem wotum, że przyszedłszy do Polski, pójdę na grób ojca i mu krzyż postawię. Opieka Najświętszej Panny ocaliła mnie od śmierci, zdążam do kraju ojczystego, ale czuję, że mnie siły opuszczają. Spieszę więc, aby ostatkiem sił z mego ślubu się uiścić.

Na to dworzanin nic nie odpowiedział, tylko zdjął czapkę i począł pacierz odmawiać. Janickiego mowa nasunęła mu smutne myśli, których już niczem odżegnać nie mógł. Milczał więc przez resztę drogi, a gdy się zbliżyli do kościółka, Janicki zeskoczył z bryki, i podziękował dworzaninowi serdecznie za wyświadczoną przysługę.

W wiosce już dobry zmrok zapadał, a w oknach chatek zajaśniało światło. Janicki zbliżał się do chatki rodzinnej.

O jakże biło mu serce! On ujrzy te drogie kąty, do których tak wzdychał w obczyźnie, ujrzy matkę, której łono tak gorąco dla niego bije!

Mija jedną zagrodę po drugiej; wiele ich upadło, wiele stanęło nowych. Wreszcie i wioska się kończy, i kopiec graniczny szarzeje w dali, a chatki rodzinnej nie widać.

Biedny poeto! tyś szukał wyższego miejsca w społeczeństwie, a tymczasem utraciłeś własny swój kącik, gdziebyś mógł dzisiaj swobodnie głowę złożyć!

Skromną łódkę życia twego porwały wichry na morze, utoniesz biedny, zawczesny żeglarzu!...

Smutne przeczucie ogarnęło serce Janickiego. Zapukał do ostatniej chatki za wsią. Wrota otworzyły się gościnnie, a Janicki wszedł do izby. W izbie było ciepło i wesoło. Na kominku paliło się smolne łuczywo, a troje dzieci siedziało w koło ognia, i oglądały przywiezione z targu zabawki. Jeden trzymał konika z czarnej gliny, drugi miał pisankę, a trzeci uczył się gwizdać na piszczałce. Na ławie pod oknem siedział młody wieśniak, rumianej twarzy i krasnego lica, i zajadał wieczerzę, którą mu żona podawała. W izbie widać wszędzie ład, szczęście i dostatek.

Janickiego zrazu nie poznano, lecz gdy się tenże o sąsiadów dopytywać począł, krzyknęła niewiasta z zadziwienia i upuściła łyżkę na ziemię. Była to Zosia Borysza.

— A cóż wam jest, że tak blady wyglądacie, zapytała ze smutkiem.

— Powracam z dalekich stron, odpowiedział Janicki. Dwa razy księżyc swoje rogi odmieniał, jak jestem w podróży. Zresztą dwanaście lat nie byłem we wsi. Czy wiele się tu zmieniło?

— O wiele, bardzo wiele, odpowiedziała smutno kobieta, mój rodzic i wasz rodzic już na cmentarzu!

— A zagroda nasza?

— Hej! pożal się boże! i zagrody już niema! Gdy rodzic umarł, a Wicka jakiś zbójca zamordował *), wdowa matka nie miała co w chałupie siedzieć. Poszła... pomiędzy ludzi, a zagroda stała pustką. Nocowali w niej pastuchy, co na moczarze bydło paśli. Przed rokiem zawaliła się strzecha i powała, a źli ludzie porozbierali ją do reszty. Dzisiaj już jej nie zobaczycie, tylko z ogniska zostało kilka kamieni.

— A matka moja?

— Matka... i na matkę przyszło nieszczęście. Ale przecież ludzie nie dadzą jej zginąć. Siedzi pod figurą i modli się za nas wszystkich. Ale biedna już nic nie widzi! Starość nie radość. Do tego niechce pójść na nocleg do chałupy, mówiąc: Muszę wyglądać Klemensa, aby mnie widział gdy tędy pojedzie.

Tak mówiła niewiasta, prosząc gościa, aby usiadł, bo w całej wsi nie było lepszego noclegu. Obiecała także zwarzyć mu mleka, jeśli jej ubogą chatą niepogardzi. Myślała, że Janicki wysokich dostąpił za-

*) O zabiciu brata mówi Janicki w swoich poezjach:

O Boże, Boże! z dzisiejszą wieścią,
Jakiż mnie smutek z Polski dochodzi!
Brat mój w południe po wziętej strawie,
We śnie zabity w cieniu swej chaty...
Brat mój ostatni!...

szczytów, bo nie mogła zrozumieć co znaczy ten jego ubiór dziwaczny.

Janicki usiadł na ławie i potoczył okiem po skromnej izdebce. Dziatki oswoiwszy się z widokiem gościa, wróciły do swoich igraszek, a rodzice patrzali z tajemną rozkoszą na ich zdrowe, rumiane oblicza. Wszędzie widział porządek i szczęście, widział że mieszkający w tym domie są kontenci z losu swego, i że w czterech ścianach tej chatki mieści się cały ich świat, bo tylko tyle go widzą, ile z okna chatki obaczyć go można.

Zasępiło się oko poety, on zazdrościł szczęścia ubogiej chatce..... Była to jedyna chmurka, która przemknęła przed anielską duszą jego, była to chwila egoizmu ludzkiego. Wnet rozweseliła się twarz jego, w sercu uczuł rozkosz rezygnacyi. On wyrzekł się tego, co ludzi tutaj szczęśliwemi czyni, obrał sobie żywot ciernisty, a za to przyniósł ojczyźnie liść laurowy, zdobyty w popisie narodów Europy!

Któż go dzisiaj w wiosce rodzinnej mógł pojąć i rozumieć? Wszyscy oczekiwali że przyjdzie w bogatych szatach, obsypany zaszczytami, a on przybył do nich uboższy od najbiedniejszego zagrodnika.

Tymczasem wysłała gospodynia sługę pod figurę, aby przyprowadziła starą Janicką.

— Mój syn! mój Klemens! zawołała ślepa kobieta, wchodząc do izby. Czemuż go oczy moje nie widzą?

Klemens rzucił się w objęcia żebraczki.

— Widzisz synu, mówiła płacząc z radości matka, oczy moje wypatrzyłam za tobą. Uboga jestem i nieszczęśliwa, lecz nietraciłam nadziei w miłosierdziu boskiem, że cię kiedyś zobaczę. Synu mój, może ja cię obrażam, że tak do ciebie przemawiam, może powinnam ucałować ręce twoje.... Czemuż cię nie widzę?...

Uboga niewiasta niepojmowała opatrzności boskiej, nie wiedziała że jej ślepota była szczęściem dla niego.

Tkliwy syn uszanował nieszczęście matki, i nieodebrał jej marzeń, jakiemi napełniła cały swój świat wewnętrzny. Nieopowiadał jej losów swoich, bo tych pojąć nie mogła. Nie wspominał nawet o wieńcu laurowym, bo na cożby on się przydał biednej, ślepej włościance? Cała wioska wyśmiałaby go, że za kilka zwiędłych liści dębowych stargał swoje siły i ubogi stanął nad grobem....

Nic o tem nie mówił ukoronowany poeta, a gdy go matka o jego stan wypytywała, odpowiedział jej, że jakkolwiek nie jest księdzem ani biskupem, jednak zaszczyty jego równają się takim godnościom, że przyszedłszy do Krakowa, więcej jej

coś o sobie powie. Tam czekają nań wielcy dygnitarze z otwartemi ramionami, bo sława jego nawet z dalekiej doszła ich krainy.

Uspokojona tem niewiasta przyjęła dzisiaj nocleg w chatce. Późno w noc rozmawiali syn i matka. Opowiadał jej wiele o innych krajach i narodach, jak go wszędzie, swoi i obcy kochali.

Nazajutrz miała stara Janicka swieżą odzież na sobie; tylko kostur żebraczy został w jej ręku, bo go się na żaden sposób pozbyć nie chciała. Był to jedyny towarzysz długich, bolesnych jej lat; on był jej przewodnikiem, gdy ją zewsząd otaczała ciemność grobowa.

Janicki dał jej ostatni grosz jałmużny, jaką dostał od obcych, a biedna matka myślała, że on jej daje to, co mu od zbytku zostaje.....

Czuł biedny poeta, że nie ma czasu do stracenia. Spieszył się więc aby z ślubu swego się wywiązać.

Za kilka dni zgromadzili się w kościółku wieśniacy z Janiszek i modlili się społem za duszę starego Janickiego. Po nabożeństwie udali się wszyscy na cmentarz i odmówili na jego grobie: Wieczne odpoczywanie. Na grobie stał prosty krzyż drewniany a na nim był napis:

Ojcze! to syn stroskany, żałując twej głowy,
Wzniósł nad tobą ten pomnik, by uczcić twe imię.
Pomnik nie dęty z miedzi, ani marmurowy,
Nie zbudowan z kamienia w rozmiary olbrzymie,
Ale *drzewo krzyżowe*, rękojmię żywota..... *)

Uczyniwszy zadość ślubowi i sercu swemu, pożegnał poeta towarzyszów swoich dni chłopięcych, polecił matkę opiece gromadki, i pospieszył do Krakowa, gdzie go oczekiwali dygnitarze, Elżusia i ostatni jego przyjaciel, grób.

*) Z poezji Janickiego

VIII.

Ostatnie chwile.

Ginę tak wczesnie! o jakiem żądał,
Ciebie ojczyzno opiewać czule!
Twe stare dzieje, twe zacne króle,
Czasy i ludzi, com ich oglądał!
Gody Augusta, w dobrej otusze
Króla z cesarzem związki, nadzieje,
Ale ojczyzno! żegnać cię muszę
Niech cię szczęśliwszy spiewak opieje!...

Z Janickiego.

W przedmiejskim domku złotnika panował wielki smutek. Stary złotnik chodził po izbie z założonemi rękami, i patrzał z pod oka na córkę, która siedząc przy oknie, wiła wieniec z róż.

Niebyła to już owa świeża, rumiana Elżusia, której starościc Branowski wyprawił nocną muzykę. Była to blada, cierpiąca kobieta, na której twarzy wycisnęła się wielka, nie ukojona boleść. Czarne jej oczy zamgliły się jak niebo jesienne, widać, że wiele, wiele łez przez ten czas z nich upłynęło.

Było to w marcu. Mroźny wiatr szeleściał po bezlistnych drzewach ogrodu. Lecz w izdebce złotnika jaśniała wiosna, z wszelkiemi swemi wdziękami. Na oknach i w koło ścian było mnóstwo świeżych kwiatów. Wszystko oddechało wonią i rozkoszą, tylko Elżusia więdła wśród nich i bladła coraz więcej jak lilija bez rosy. Ona lubiła te kwiaty bo patrząc na nie, widziała w nich obraz swojego życia, które jak kwiat zakwitło i zwiędniało.

Jutro było święto jej patronki. Pozrywała najpiękniejsze swoje róże i poczęła je w wieniec zwijać. Nie jedna łza upadła na kwiaty i perliła się jak kropla rosy niebieskiej.

Co widząc złotnik, stanął przed córką i ozwał się do niej w te słowa:

— Utrapienież moje, Elżusiu, wielkie utrapienie. Bóg powołał twoją matkę do siebie, a mnie zostawił, abym pokutował za grzechy moje. Trzecią część majątku straciłem na wota i jałmużnę, a dotąd Bóg nieodwraca od nas karania. Nie sprzeciwiam ja się świętej woli jego, ale i robak skurczy się, gdy go nadepcą. Od siedmiu lat nie widzę wesołej twarzy u ciebie, ani żaden uśmiech na ustach twoich nie postał. Płaczesz noc i dzień, strawa ci niesmakuje, zabawa cię nie nęci. I czegoż pragnie serce twoje? Chceszli grób sobie wypłakać?.. Twarz ci zbladła, jak chusta, oczy w głąb zapadły! Jam

ci chciał sprawić bogaty robron do ślubu, a tobie będzie trzeba koszuli śmiertelnej!....

Elżusia otarła łzy i rzekła:

— Bogu wiadomo, com ślubowała sobie, on czyta w sercach ludzkich.

— Jutro święto twojej patronki, mówił dalej złotnik, pewnie do jej ołtarza ten wieniec wijesz. Dobrze, że u niej pociechy szukasz. Ja ofiaruję cztery pary świec woskowych.

— Wieniec ten nie jest dla mojej patronki bo na cóż świętym kwiatów naszych? Do świętej patronki mojej modlić się będę szczerze i gorąco, a wieniec ten dam w dniu imienin moich Klemensowi. On tak lubi kwiaty!

Zmarszczył na to czoło stary złotnik, i rzekł w gniewie:

— Jak widzę że mi staremu trzeba już o grobie pomyśleć. Zgryzota weźmie mię z tego świata, jak wiatr bierze z drzewa liście zeschłe. Własne moje dziecko kopie mi grób przed czasem, a ja weń kłaść się muszę, niedoznawszy pociechy ojcowskiej!.. Nie mówiłżem ci przed siedmiu laty: Elżusiu, wybij sobie z głowy Klemensa, weź sobie za męża Gruszkę! Byłabyś dzisiaj rajczynią, w robronie zasiadłabyś przed obrazem Panny Maryi, a na procesyi niosłabyś największą świecę z jarzącego wosku! Ale tyś niesłuchała rodziców, mówiłaś, że Klemens wróci, i będzie

miał wielkie zaszczyty w naszem mieście, że dla mnie wyrobi krzesło w senacie, a ostatni Kolanko umrze rajcą miejskim! Hej pożal się Boże! gdzież się to wszystko podziało? Klemens wrócił bez zaszczytów i bez zdrowia, zamiast bogactw i szat drogich przywiózł z sobą, aż wstyd powiedzieć, uschłą gałązkę dębową, którą go Włosi ukoronowali! Gdyby choć ta korona ze złota była!.... I na cóż mu zdała się jego nauka? Oto, umarłby w nędzy, gdybym go niebył w dóm przyjął, umarłby dawno, gdybyśmy go w chorobie nie pielęgnowali!...

Elżusia położyła wieniec na stole, a zakrywszy twarz rękami, poczęła mocno płakać. Co widząc rozczulił się stary złotnik, a wziąwszy córkę za rękę, rzekł jej:

— Elżusio, jedyne dziecię moje! Sam jestem na świecie, jak stara grusza, a jestem już w zimie życia, bo śnieg przypruszył głowę moją. Niechże nie zostanę bez ciebie. Chcę, aby ci dobrze było, niesprzeciwiam się więc twojej woli. Chcesz Klemensa, to bierz go sobie, choć jest ubogi i grosza niema w kalecie. Splendor pański nie napełni jego kieszeni, a choć nie umie żadnego rzemiosła, to zna pismo, i może być w mieście pisarzem. A ja, stary, wesół pić będę na waszem weselu!.... Niech tylko z łóżka się podniesie!

Rzekłszy to złotnik pocałował córkę w czoło i wyszedł do warsztatu.

Nazajutrz ociepliło się powietrze. Wiatr ustał, a śnieg zaczął topnieć pod promieniami słońca. Elżusia wstała rano a ubrawszy się poszła do kościoła Panny Marji, aby się modlić na intencją chorego. Odchodząc z domu kazała wieniec z róż zanieść do izdebki po drugiej stronie domku, gdzie leżał chory Janicki, i nie budząc go, położyć mu na stole. Janicki lubił kwiaty, a kochająca dziewica rada była uprzyjemnić mu chwile boleści.

Janicki otworzył oczy i obaczył wieniec koło siebie. Nie wstając z łóżka od dwóch miesięcy, dziwił się Janicki, zkąd śród zimy mogły wziąć się tak piękne róże. Przyłożył je do ust, i wciągnął w siebie ich woń orzeźwiającą. Myśl o Elżusi i zapach kwiatów wróciły mu na chwilę zdrowie. Podniósł się z łóżka, a ubrawszy się, usiadł w dużem krześle, i począł coś pisać.

Wtem otworzyły się drzwi i wszedł do izdebki Hieronim Spiczyński lekarz i rajca krakowski, wielki Janickiego przyjaciel. Ujrzawszy wieniec z róż, okazał wielkie zadziwienie *).

---

*) Autor zielnika: O ziołach tutecznych.

— Znam co za zioła i rośliny nasza ziemia wydać może, rzekł do Janickiego, a zkądże masz te róże?...

Janicki był bardzo blady, błękitne oczy jego przygasły, tylko usta umilał uśmiech pełen słodyczy. Na zapytanie przyjaciela nic nie odpowiedział, tylko uścisnąwszy mu rękę, podał mu do czytania, co był przed chwilą napisał.

Spiczyński czytał:

Wśród zimy mi przysłano wieniec róży świeży,
Nigdy człek się takiego cudu nie spodziewa,
Bo nasz Kraków pod zimnym horyzontem leży,
I nie raz w środku lata chłodem woń powiewa,
Powiedz mi, zkąd pochodzisz o kwiecino mała?
W Pestańskiej chyba ziemi teraz kwiecie rośnie;

— Nie dziw się, Elżusia rosnąć mi kazała,
A ona jest wiosną, rozkazywa wiośnie,
Rozkazywa powietrzu i gwiazdom i doli,
I zima nawet ostra dla niej się przywdzięcza,
Cóż za dziw, że posłuszny jej żądaniu kwoli
Ja, kwiatek, mimo chłodu wyskoczyłem z pęcza!...

— Ładne wiersze, odpowiedział lekarz, i róże ładne i Elżusia ładna dziewica. Ale to zdrowiu nie służy twemu. Trzeba abyś był spokojny, i głowy sobie na składanie wierszy nie łamał. Mam nadzieję, że nam jeszcze wiele pięknego napiszesz. Za miesiąc będzie cieplejsza aura, pojedziesz ze mną na

wieś. Wtedy możemy wziąć z sobą wszystkie muzy Parnasu.

Słodki uśmiech, jak błyskawica śród pogody, przeleciał po licach poety. Podał rękę lekarzowi i rzekł mu:

Prosisz mię na wieś, podróż nie długa;
Z jednym warunkiem pojechać mogę,
Dwie tylko muzy weźmiem na drogę,
Dla ciebie jedna, a dla mnie druga;
Bo wszystkie dziewięć parnaskich osób,
Choremu człeku bawić nie sposób!...

Widząc z jaką łatwością rytmy wypływają z ust poety, ozwał się zdziwiony rajca:

— Jeżeli ci tak łatwo składać rytmy, to możesz je składać ile chcesz, tylko z izby nie wychodź. A tu coś przyniosłem dla ciebie.

Mówiąc to wyjął z kieszeni dwie przepiórki.

— Widzisz, te ptaszęta chowałem przez cały rok u siebie. Wdzięcznie mi śpiewały. A dziś sobie pomyślałem: Mięso przepiórek dobre na wodną puchlinę, trzeba je ubić i dać Janickiemu. A gdy się z nożem do klatki zbliżyłem, poczęły ptaszęta jakby na wyścigi śpiewać i mnie się przymilać. Ładnie śpiewacie ptaszki, pomyślałem sobie, ale Janicki ładniej od was śpiewa. Ja jeden tylko was słucham, a Janickiego słucha cały naród. Zgińcie więc, a niech Janicki nam żyje!

— Szkoda ptaszków, rzekł Janicki, głaskając ich pierze, oneby ci nie jedno lato śpiewały, a Janicki wkrótce umilknie, a umilknie tak wcześnie!... Nie godzi się, abym je spożył, bo one były moje krewne, one śpiewały, jak ja wam śpiewałem!...

Spiczyński rozmawiał długi czas z Janickim, obiecując mu, że wkrótce do zdrowia powróci. Ale Janicki przeczuwał już swój koniec.

— Wiosna zbierze mnie z tego świata, rzekł do przyjaciela, stopnieję i zginę jak ten śnieg, co z gruszy opada. Żal mi tego świata, że nie mogę, że nie mam czasu tego wyśpiewać, com tak gorąco pragnął. Jam was wszystkich nosił w tem sercu, do którego dzisiaj woda się sączy, i płomień życia zalewa!

Jeszcze chwil kilka pocieszał Spiczyński bolejącego poetę, a zapowiedziawszy mu odwiedziny wysokich jego przyjaciół, uścisnął mu rękę i oddalił się.

Janicki wziął przepiórki do ręki, i począł je głaskać.

— Biedne ptaszki! nie mam serca was spożyć. Dam was mojej Elżusi za ten wieniec różowy. Dzisiaj święto jej patronki, idźcie do niej lube ptaszki, a gdy was ujrzy nieżywe, może zapłacze nad wami, jak wkrótce płakać będzie nad tym, co dla niej nie jedną pieśń wyśpiewał!...

— Nam szczęsnej doli uśmiecha się łaska,
Tak pięknej pani, gdy dostać się zdarzy,
Może nas rączką bieluchną pogłaska,
I pieszczotami Elżusia obdarzy;
Może nam błyśnie jej źrenica słodka,
Co Janickiemu jest szczęściem jedynie,
Więc za czem tylu i wzdycha i ginie,
Pobite ptaszki to szczęście napotka;
Choć nam odjęte życie i swoboda,
Za takie szczęście i życia nie szkoda!..

Napisawszy to, zawołał na starego sługę, który przy oknie siedział i posłał Elżusi wraz z przepiórkami. Sługa wrócił za chwilę i przyniósł mu drugi wieniec, upleciony z zielonej gałęzi sośniny. Janicki wziął wieniec do ręki, a obejrzawszy go rzekł do siebie:

— Sosna latem i zimą zielona i świeża.

Dajesz mi znaki by duch mój dla cię,
Latem i zimą kwitł zieleniuchno,
O ja miłości nie podam stracie,
Żadne jej burze z serca nie zdmuchną!
Czy to czy owo miałaś w uwadze,
Ja twe życzenia wykonam pilno,
Wieczną zieloność w piersiach zasadzę,
A ty mi wiecznie będziesz przychylną!...

Biedna Elżusia! ona poecie wieczną przychylność ślubowała, ale w piersiach poety nie było już zielonej gałązki życia, bo tam już toczył robak śmierci.

Przed południem weszli do Janickiego: X. Hozjusz, Marcin Kromer i Piotr Myszkowski, kanonik krakowski. Żywe wzruszenie malowało się na twarzy poety, ale powstać już nie mógł na ich przyjęcie. Znakomici goście uściskali dłoń jego, a X. Hozjusz doniósł mu zaraz na wstępie, że z Moskwy pisał do niego Piotr Kmita, i żąda, aby Janicki tamże na jego dwór przyjechał, i mu w sprawach jego był pomocnym. Janicki uśmiechnął się na to boleśnie i rzekł:

— Rad jestem z tego, że moi dobroczyńcy o mnie nie zapomnieli, ale dla mnie jest już za późno. Cóż po chorym człowieku na dworze pańskim? Gdyby mi zdrowie służyło, miałbym ci ja wiele obowiązków do wypełnienia. Śpiewałbym dzieje nasze, mówiłbym do spółczesnych o wielkich przodkach naszych, i zagrzewałbym ich do czynów, które naród wielkim czynią, a sławę jego po świecie roznoszą; wszystko to wre w tej piersi i odumiera wraz zemną. A żyjąc nie mogłem zrobić dla siebie miejsca. Przyszedłem z koroną poety, obejrzałem się po całej ojczyźnie, a śpiewak nie miał gdzie stanąć!

...I ja przywiozłem gałąź laurową,
Lecz w naszem zimnie nie wytrwa dłużej
Biedna gałązka z powisłą głową,
Słaba bez liści.....

Kilka chwil trwało milczenie. Przyjaciele poety zatrwożyli się jego mową. Złe przeczucie ogarnęło ich serca.

Po chwili ozwał się Marcin Kromer:

— Jeszcze nie jedną pieśń wyśpiewasz nam, drogi nasz bracie, a Bóg dozwoli, opiejesz gody Augusta.

Poczem opowiedzieli mu, że w tym roku jeszcze nastąpią zaślubiny Elżbiety austrjackiej, córki Ferdynanda, z królewiczem polskim, Zygmuntem Augustem.

Rozjaśniło się oko Janickiego.

— Bóg świadkiem, zawołał, jak na tę wieść raduje się serce moje. W tym związku, tak świetnym dla kraju, widzę dumę i potęgę naszą. Ojczyzna nasza rozsławi imię swoje, a każdy z jej synów tem cieszyć się powinien. Lecz ja się tem cieszyć nie będę... O ziemio moja! jam ciebie tak pragnął rozsławić! Rozpatrując się w dziejach twoich, chwytałem duszą najpiękniejsze chwile twoje, karmiłem się niemi w długich, bezsennych nocach, aby je kiedyś wyśpiewać dla swoich i obcych! Lecz struny mojej lutni zrywają się, a ja dzisiaj tylko zajęknąć mogę!...

Hozjusz pocieszał chorego nadzieją zdrowia, mówiąc, że jeszcze gody Augusta opiewać będzie. Ale Janicki miał dzisiaj jakieś bolesne natchnienie, wi-

dział grób swój gdzieś w zakątku cmentarza, a zwracając się do Marcina Kromera, rzekł:

— Ty Kromerze położysz mi kamień na grobie, a na nim wyryjesz te słowa:

— Obcy nadziejom, strachom, zgryzocie,
Tu pod trumiennem leżę przykryciem,
Tu jeno żyję prawdziwem życiem,
I Bóg cię żegnaj ziemski żywocie!...

A gdy obecni coś ku jego pocieszeniu mówić chcieli, Janicki nie słuchał ich, tylko mówił dalej:

— Pisząc do Włoch, pozdrowicie odemnie Bonamika, Montana i Kasana. Oni szczerze mnie kochali i nieraz wydarli mnie z rąk śmierci. I Antonina lekarza pozdrówcie odemnie. O nim pamiętać będę w godzinie śmierci mojej.

Rzekłszy to zamrużył oczy, jakby snu zażądał. Przechodził w duchu młode życie swoje, i znalazł je czystem jak najczystsza woda krynicy. Chatka rodzinna, dwory pańskie, Elżusia i korona laurowa, wszystko splatało się w jeden wielki wieniec, który miał kiedyś jego grób uwieńczyć!...

Przyjaciele jego myśląc, że chory snu potrzebuje, wyszli cicho z izdebki. W sieni zdybali młodą, zapłakaną dziewicę. Kilka chwil potem zeszli się w izdebce poety najpierwsi lekarze miasta.

Janicki żył jeszcze kilka tygodni, utrzymywany sztuką lekarską, łzami i modlitwą Elżusi i wotami starego złotnika.

Stygnącą już piersią wyśpiewał jeszcze *Epitalamium* na gody Zygmunta Augusta. Wszakże nie doczekał się gód tych. Chciał jednak jeszcze odezwać się w tak uroczystej chwili, do serca królewicza, i przemówił.

O wy apostołowie dzisiejszej cywilizacji, wy roznosiciele światła, poeci, bajroniści, wy wielkie duchy i opiekunowie ludzkości, którzy z żółcią w ustach rzucacie się na własny ród swój, jeśli was jeden cierń zadraśnie; wy, którzy wydajecie wojnę społeczeństwu, za to, że was odepchnęło jako gości, nie mających szat godowych: przystąpcie do łoża poety, i uczcie się od niego żyć i umierać! Pragnął światła i nauki, by świecić między swemi, a gdy w społeczeństwie swojem nie znalazł miejsca, ani zasiłku, zgasł bez żółci dla spółczesnych, z miłością na ustach.

W chwilach walk śmiertelnych, złamany ubóstwem i myślą sieroctwa swego w społeczeństwie, nie sarka na swój zawód niewdzięczny, ale owszem ostatnim tchem przemawia do Zygmunta Augusta, aby kryjącą się w zacieniach cnotę wyszukiwał, aby naukom dawał opiekę, uczonych mężów kochał, bo w ich ręku leży przyszłość kraju. Aby ich garnął do siebie bez względu na to, czy się rodzą w pa-

łacach czy w chatach wieśniaczych, byle tylko wyżsi byli światłem, nauką i sercem szlachetnem...

Był to ostatni głos poety.

Gdy wieść o śmierci Janickiego po mieście się rozeszła, napełniła się izdebka pierwszymi dygnitarzami kraju, którzy podówczas byli w Krakowie. Trumnę obito aksamitem, a rajcy miasta nieśli ją do grobu. Szlachta pod przewództwem starosty Branowskiego, tworzyła liczny orszak pogrzebowy. Dzwony jęczały po wszystkich kościołach.

Na trumnie leżał wieniec z białych róż, a za trumną bledsza od róż tych szła Elżusia. Koło niej szedł stary złotnik i głośno się modlił.

Na cmentarzu znalazł wreście poeta miejsce dla siebie, którego za życia między swemi znaleść nie mógł.

Społeczność znalazła Janickiego, wydobyła tę perłę z pod strzechy wieśniaczej, ale w djademie narodu nie było jeszcze dla niej miejsca.

Spółcześni! szukajcie Janickich, i zróbcie im miejsce między sobą!...

k o n i e c.

II.

II

SEBASTJAN KLONOWICZ.

Dum trepidant stulti, sumit prudentia vires.

Acernus.

I.

Czas jest to księga rzeczy, volum ciekawy,
Gdzie wpiszą życie człeka i wszelakie sprawy.
To świadek uczuć serca i pomysłów czoła,
Z tej księgi pan Bóg kiedyś na sąd nas powoła!

S. Klonowicz.

Pochylony wiekiem i ciężarem korony wstąpił Zygmunt August do grobu. Smutno patrzył naród w ciemny dół, który króla pochłonął, i nie wiedział, iżali po świeżej jego mogile nie rozleje się krew bratnia!...

W miasteczku Sulmierzycach panowały od kilku dni bojaźń i trwoga. Mieszczanie wyglądali z okien i pytali jedni drugich. Tu i owdzie pozbierały się kupki, radzono, rozprawiano, wreszcie zgodzono się na ostateczny w takim razie środek... na modlitwę. Bo któż kiedy w życiu nie imał się tego środka, wołając z psalmistą: *Bóg nadzieją, Bóg ucieczką moją*!...

I cóż tak zatrwożyło biednych mieszczan? Obce im były sprawy kraju, oni nie znali króla, nie liczyli

lat jego, nie widzieli grobu, który się zapadł pod jego nogami, a nie mogli przewidzieć nieszczęść, które w takim razie na kraj cały spływały. Ubodzy prostaczkowie nie sięgali wzrokiem po-za kopce rodzinnego miasta, nie troszczyli się o zmiany dynastyczne, bo nie im używać przywilejów, ani głosować na króla. A jeźli przyszła nędza i ucisk, to już się do tego człowiek przyzwyczaił, bo przecież grzechem jest oprzeć się możniejszemu, nawet wtedy, gdy niesłuszność wyrządza.

Mieszczanie Sulmierzyccy nie myśleli więc ani o królu, ani o sprawach rzeczypospolitej, a cała ich bojaźń ztąd pochodziła, że wójt ich nagle zasłabł. A wójt to przecież najważniejsza w mieście osoba, bo czem król dla szlachty, tem wójt dla miasta. Od niego zawisł dobry byt, obyczajność i karność w mieście, on czuwa nad osobą najbiedniejszego brata-mieszczanina, on opiekunem wdów i sierot, sędzią i prawodawcą. Biada miastu, jeźli wójt krzywemi pójdzie drogami! Ubóstwo zawita w dom mieszczana, dom jego pochyli się nie pobielany, a na dachach porośnie mech i zielsko jakby na mogile! Niezgoda porozrywa okapy dachów, domy i ludzie staną daleko od siebie!

A wójtem po bożej woli był stary Klonowicz. Od lat pietnastu nieprzerwanie sprawował ten urząd, a choć co kilka lat nowy wybór przypadał, zawsze

jednak wybierało go miasteczko. Ztąd też i grunta jego nazwano *wójtostwem*, a prócz tego znany był w całem mieście biały brytan, pies wójta, znane były konie wójtowe, wołki i krówki wójtowe, i wszystko co było jego, było oraz wójtowe, bo Klonowicz nigdy wójtem być nie przestawał.

Owoż szczerze życzyli mieszczanie zdrowia i długich lat staremu Klonowiczowi, i poszli do księdza plebana, aby na jego intencją odprawił jutro wotywę do cudownego obrazu Przenajświętszej Boga-Rodzicielki. Ksiądz pleban pochwalił chrześciańską cnotę mieszczan, i przyrzekł że sam gorąco do Boga o wyzdrowienie wójta modlić się będzie.

Szczere musiały być modlitwy i mieszczan i plebana, bo gdy nazajutrz po skończonem nabożeństwie mieszczanie z kościoła wychodzili, zaszedł im drogę rumianej twarzy młodzieniec i najstarszych z nich zaprosił do starego Klonowicza.

— Jakże się ma twój opiekun, Sierotko? zapytał jeden z mieszczan.

— Dobrze, odpowiedział z radością Sierotka, dziś rano choroba przeminęła, jakby kto ręką odjął.

— Cóż ty dzisiaj w takiej saicie Marcinku? pytali młodzieńca mieszczanie.

Marcinek Sierotka miał na sobie siwą kapotę, przepasaną pasem z krajki czerwonej. Na zapytanie mieszczan zmięszał się i poczerwieniał, a ucałowawszy

rękę najstarszego brata i cechmistrza cechu swego, odpowiedział, jąkając się:

— Ja nie wiem, ale sławetny mój opiekun kazał mnie ubrać się, w co mam najlepszego. A że to sukno nie dawno od Szlązaka kupiłem...

— Dobrze, dobrze, zawołał cechmistrz z należytą powagą, wiem ja już, co się święci. A jak tam z kaletą? rzekł po chwili, uśmiechając się do mieszczan, bo na wotywie było się na czczo, rozumiesz?...

Sierotka poczerwieniał jak pąs i ledwo ze skóry nie wyskoczył, gdy się domyślał, o co właściwie tu chodzi. Ale mieszczanie, zdawało się, nie podzielali jego radości, bo chociaż nawet który w duszy rad mu był, to przecież nie wypadało okazać tego publicznie, bo Sierotka był ubogim czeladnikiem i nie miał mieszczaństwa. Mieszczanie uszykowali się w długi szereg według godności swoich i zasobów, bo grosz, uczciwą pracą uzbierany, czci mieszczanin nadewszystko, bo wie sam, jak gorzką jest praca uczciwa.

Była to jesień. Słońce świeciło pogodnie, a zżółkłe liście drzewa mieniły się jak złoto w promieniach słonecznych. W podcieniu starego domku, na ławie siedział stary Klonowicz, podparłszy ręką siwą głowę. Twarz jego była blada i mnogiemi zmarszczki poorana. Widać było, że przebył chorobę, ale cho-

roba pozostawiła po sobie ślady, które poczciwych jego sąsiadów mocno zatrwożyły.

Stanęli w półkole, zdjęli czapki i pochwalili Chrystusa. Klonowicz koleją podawał im rękę, dziękując im za chrześciański uczynek. Po chwili opowiadał im że w nocy przyśniła się mu Przenajświętsza Panna, opiekunka sierot, i mówiła, aby się spieszył z dobremi zamysłami swemi, aby schodząc z tego świata, nie zostawił sierot bez opieki. Machnąwszy ręką na Marcinka, aby odszedł, ozwał się w te słowa do zgromadzonych mieszczan:

— Otóż roztrząsłem sumienie moje, sławetni bracia, iżali sieroty jakiej bez opieki nie zostawię. Czuję, że koniec życia mego jest bliskim, a Przenajświętsza Panna dozwoliła mi dzisiaj sił, abym wypełnił, co mi jeszcze do wypełnienia pozostaje. Posłuchajcie mnie!

Mieszczanie zasiedli na długiej ławie, a pochyleni naprzód głowami, słuchali mowy swego wójta.

— Przed kilkunastu laty, opowiadał stary Klonowicz, znaleziono młode pacholę pod figurą. Trudno było dopytać się o jego ojca lub matkę, wiedziano tylko, że się nazywa Marcinek. Otoż błąkało się to pacholę po mieście, a że nie wiedziano jego imienia, nazwano go Sierotką. Byłem wtedy wójtem i pomyślałem sobie: Miasteczko nasze to jak jedna wielka rodzina, a czemuż nie dać pomocy biednej

sierocie, która do niej zawita i do drzwi kołace? I wziąłem tę małą dziecinę, a gdy się trochę podchowało, dałem ją uczyć pożytecznego rzemiosła. Sąsiad, Michał Głowa, sławetny cechmistrz tego rzemiosła, najlepiej powie, że Marcinek był wzorowym terminatorem a teraz nienagannym jest czeladnikiem. Pracowity i trzeźwy chłopiec, robi po dworach pańskich, umie się dobrze obchodzić z przędziwem. Taśmy jego pokupne są w Kaliszu, i Szlązak lepszych nie wybije. Aż miło patrzeć na jego robotę. Dla czegoż nie ma go miasto przyjąć do swego cechu i raz na zawsze zmazać tę hańbę z niego, że jest zawłoką, że jest sierotą bez imienia? Jabym tak spokojnie umierał, widząc go w gronie waszem mieszczaninem, toby mnie ulżyło zmartwienia mego, że syna Sebastjana już w tem życiu więcej oglądać nie będę!....

Mieszczanie poczęli między sobą rozmawiać. Niektórzy z nich byli tego zdania, żeby to sławetnym mieszczanom miasteczka Sulmierzyc ubliżało, gdyby człowieka bez imienia, zawłokę, do przywilejów miejskich przypuszczono. Ubliżało to dumie mieszczańskiej, wynikającej z karności obyczajów, aby się zbratać z człowiekiem nie znajomego pochodzenia, o którym nie wiedzieć, kto go chrzcił, a kto był jego ojcem chrzestnym. Zresztą taki człowiek zawsze upokorzony jest między obcemi, bo któż wie,

jak rodzic jego żył na świecie? A dla biednego mieszczanina, który po ojcach nie dziedziczy ani herbów ani klejnotów rodowych, najcenniejszą spuścizną jest dobre i uczciwe imię, które mu ojciec po sobie zostawi, a na to dobre i poczciwe imię trzeba gorżko i po chrześciańsku pracować. Ta rodowa pycha nie trwa jednak dłużej jak jedno pokolenie, bo syn marnotrawny i nieuczciwy zatraca swój klejnot rodowy, a jego potomek na nowo musi się poczciwego imienia dorabiać.

Więc wielki spór był między mieszczanami, czy Marcinka Sierotkę do współobywatelstwa miasteczka przypuścić, czy nie, ale zważając na to, że tu idzie o zadośćuczynienie życzeniom ukochanego wójta, który do grobu chce tę wdzięczność miasta wziąć jako wezgłowie wiecznego odpoczynku; niemniej też, że to uspokoi go w żalu za jedynakiem, który wyszedłszy gdzieś w świat, już do rodzinnego miasta nie wróci, aby ojcu zamknąć powieki... a w końcu zważywszy i to, że Marcinek Sierotka pilnym i trzeźwym jest rzemieślnikiem, i poczciwem życiem wkrótce zarobi sobie na szacunek i przychylność całego miasta, zezwolili wreszcie mieszczanie na przyjęcie Sierotki w swoje grono, czyniąc go współobywatelem swoim.

Stary wójt uśmiechnął się zadowolony z takiego wyroku najstarszych braci i cechmistrzów, a

sparłszy się na ramieniu Sierotki, który pod koniec rozmowy na podsieniu się ukazał, wszedł do wielkiej izby, prosząc za sobą zgromadzonych.

W izbie wójta było jakoś smutno i ponuro. Widać było po wszystkich sprzętach, że gospodarzowi już od dawna brak towarzyszki życia, że samotny i sierocy dobiega do grobu. Na środku izby stał duży, lipowy stół, koło niego dwie ławy. Na półkach świeciło się kilka misek cynowych, co było oznaką wielkiej niegdyś mieszczanina zamożności. Dzisiaj poszczerbione i szczerniałe stały te miski, a z prochu który na nich osiadł, wnosić można było, że już od dawna stały tam bez użytku. Piec zielony z polewanych, szląskich kafli był gdzie niegdzie pobielony, i w ciemnym kącie wyglądał jak jaki pejzaż fantastyczny. Podłoga także już miejscami przegniła, a belki u pułapu wygięły się od starości i groziły upadkiem.

Stary Klonowicz westchnął rozglądając się po izbie i szukając kogoś oczyma. Po chwili ozwał się do mieszczan:

— Smutno schodzić mi z tego świata, nikt z rodziny nie przymknie mi powiek.

A otarłszy łzę mówił dalej:

— Tu na tej ławeczce pod piecem, jakbym go widział, siadywał Sebastjan i w długich zimowych wieczorach słuchał opowiadania starego Bartosza, co

przez trzydzieści lat był flisem i nieraz z szkutą płynął aż do Gdańska. Mój Boże, młode chłopię zapaliło się jak hubka, płakało z radości, gdy mu gadał jakie tam cudne są grody w polskiej ziemi, jak piękne lasy rosną na brzegach rzek! Odtąd opanowała go tęskność, zmierził sobie grunt ojczysty, powędrował do wielkiego grodu i z tamtąd już nigdy nie wrócił. Mówią, że się uczy, mój Boże, na cóż mieszczaninowi tej górnej nauki!

Mieszczanie słuchali z rozrzewnieniem skargi starego Klonowicza. A słuszna była skarga mieszczanina, bo syn jego, jedynak, opuścił dom rodzinny, a długo, długo nie było o nim wieści.

Wreszcie opamiętał się w żalu stary wójt, a przypomniawszy sobie, po co właściwie mieszczan do siebie zawołał, prosił ich, aby usiedli i przysięgi Marcina Sierotki wysłuchali.

Widać, że wójt przekonany był o uległości swoich współobywateli, bo do przyjęcia Sierotki na mieszczanina Sulmierzyckiego wszystko było gotowe. Stara gospodyni wyszła z alkierza i przyniosła krucyfix i dwie świece. Z dużej, misternie ozdobionej skrzyni wyjęto grubą księgę, a pisarz miejski wziął się do pióra, aby Sierotkę w grono braci zapisać. Z pobocznej izdebki wychodził zapach jakiegoś pieczywa, a kilka wielkich dzbanów ustawiono koło pieca. Snać wójt, zwykłym obyczajem, chciał dla

Sierotki wyprawić ucztę, co wielu z ubogich mieszczan w dobry humor wprawiło.

Na pierwszem miejscu za stołem, usiadł Klonowicz, koło niego zajęli miejsce przysiężni. Podług wieku, rangi i dygnitarstwa miejskiego pozasiadali inni na długich ławach, a dwóch najmłodszych z braci pełniło obowiązek służby. Sierotka stał przy progu, nie śmiejąc oczu podnieść na tak szanowne grono, a serce jego mało mu z piersi nie wyskoczyło, gdy sobie pomyślał, że po raz pierwszy pozwolono mu być świadkiem misterjów sesji miejskiej, o których tyle marzył! Dzisiaj miała się zakończyć sieroca dola jego, miał się stać członkiem rodziny, i zasiadywać na długich, miejskich ławach! Ileż to roskoszy dla biednego sieroty!...

Klonowicz zapytał się po trzykroć mieszczan, iżali który niema co Marcinowi Sierotce, czeladnikowi cechu powroźnickiego do zarzucenia, czy nie wie co, coby hańbiło imię jego. A gdy wszyscy uznali go poczciwym i pracowitym człowiekiem, zwrócił się wójt do niego i w krótkich słowach przedstawił mu obowiązki nowego stanu.

Mówił mu, że odtąd dla dobra miasteczka musi się wyrzec woli własnej, i to tylko czynić, co zgromadzenie braci, zgodnie z urzędem za dobre uzna. Że starszych wiekiem ma słuchać i szanować w każdym razie, czy to w domu, czy na ulicy. Że rze-

miosło swoje ma wykonywać sumiennie, nie biorąc za swoję pracę więcej, jak jest we zwyczaju. Że wszelkie ciężary publiczne bez szemrania ma znosić, bo mieszczanin jest-to jak słup jeden w wielkim budynku, a gdy się od ciężaru uchylić chce, to cały budynek runąć może. Dalej napominał go, aby biedniejszych od siebie wspierał, a gdy który na starość kaleką się stanie i na chleb nie będzie sobie mógł zarobić, aby nie usuwał od niego ręki dobroczynnej.

Tak i podobnie mówił stary wójt do Marcinka Sierotki, który z rozczuleniem, z głową w ziemię spuszczoną, słuchał ojcowskich słów swego opiekuna.

Po chwili zapalono świece, pisarz odczytał słowa przysięgi, a Marcin Sierotka podniósł przed krucyfixem dwa palce do góry i powtórzył przysięgę. Po czem ukląkł, ucałował krzyż, a wstawszy zbliżył się do starego Klonowicza. Upadłszy mu do nóg, kolejno wszystkim mieszczanom rękę ucałował. Każdy z nich zaś na znak braterstwa pocałował go w twarz.

Postawiono na stole kilka mis pieczonego mięsa i dzbany z miodem. Pito zdrowie nowego mieszczanina. Sierotka uczuł się po raz pierwszy w życiu tak szczęśliwym, że do swego szczęścia już niczego więcej nie pragnął, jak zdrowia i szczęścia

swego opiekuna. Zdawało się mu, że mu sił przybyło, że na bożym świecie już nie sam jeden żyje!

Ale opiekun jego smutny był dzisiaj i niepocieszony. Patrząc się na rumiane oblicze Sierotki, roztarł łzę w oku i zawołał:

— Ty Marcinie, masz już rodzinę, a mój Sebastjan sierotą, błąka się po świecie! Tak jak ty między nami byłeś sierotą, tak i on żyje tam gdzieś między obcemi, a któż go przyjmie za swego? Tu było jego gniazdo rodzinne, tu mógłby być poczciwym i szanowanym mieszczaninem, a on pisklęciem wyleciał z gniazda, a wiatry zagonią go tam, gdzie jego wołania nikt nie usłyszy!...

Mieszczanie pocieszali starego wójta, że syn jego zdrów powróci, i przyniesie do domu siła złota, że na starość miodem pokrzepiać będzie kości swoje, i błogosławić dobremu synowi. Sierotka zaś ucałował ręce swego opiekuna i poprzysiągł, że sam się do Krakowa wybierze, aby Sebastjana odszukać, i wolę rodzica oznajmić.

Ale za kilka dni już nie żył wójt Sulmierzyc. Dzwony jęczały długo i roznośnie, długo płakali mieszczanie, a najdłużej płakał Sierotka i mało mu serce nie pękło, gdy jego opiekuna w trumnie do grobu spuszczano.

Wróciwszy na opuszczone wójtostwo opamiętał się biedny Sierotka, i jak mógł zarządził gospodar-

stwem. Za kilka miesięcy, dotrzymując słowa przysięgi, wdział siwą kapotę, zakasał poły, i przeżegnawszy się krzyżem świętym, puścił się w daleką podróż, aby Sebastjana odszukać i do rodzinnej, osierociałej powołać zagrody. Mijając kopiec Sulmierzycki, pożegnał jeszcze raz ustronie sierocych dni swoich i ruszył w imię Boga, nucąc pieśń do Boga-Rodzicy:

Gdy czart mnie kusi, pioruny biją,
Bądź mi ucieczką święta Maryjo,
Czy to na lądzie, czy to śród wody
Strzeż od przygody!...

II.

Pierwej niż ogień zahuczy na dachu,
Niż się zaweźmie w nieostrożnym gmachu,
Nie zatarliśmy iskierki, więc ściany,
Bracia sąsiedzkiej brońmy na przemiany!

S. Klonowicz.

Było to w połowie lutego roku 1574. Królewicz francuski, Henryk Walezy, zbliżał się do Krakowa, aby osiąść na osierociałym tronie polskim.

„Było obyczajem sławnych polaków, mówi Andrzej Maxymiljan Fredro, chować zmarłego króla dopiero przed samą koronacją nowego, aby ten miał przed oczyma przykład śmiertelności i nauczył się dbać o miłość ludu, a obawiać się jego sądu o błędach. I dobry był to obyczaj, bo nowo obrany król miał naukę przed oczyma, że jest prochem, i w proch się obróci, i że do królów nie stósuje się sentencja: *de mortuis nil nisi bene!...* Srogi sąd o nich wydaje historja!

Zygmunt August był ostatnim potomkiem rodu Jagiellońskiego. Polska uczciła ostatniego z Jagiellonów obrzędem rycerskim.

Cały Kraków obstąpił mury kościoła, w których znajdowały się zwłoki królewskie. Kościół wybito czarnym kirem, ustawiono wspaniały katafalk, a nad trumną wznosił się biały orzeł z spuszczonemi skrzydłami, patrzący na zwłoki królewskie.

Przed katafalkiem stali dygnitarze rzeczypospolitej w niemej żałobie, i posłowie obcych chrześciańskich mocarstw. Organy grały ponuro, głucho huczały bębny, kapłan grobowym odzywał się głosem.

Wreszcie po długich modłach zaspiewano »*requiem*«, dym wonnych kadzideł owionął trumnę, a po kościele rozległ się płacz i łkanie.

I powstali dygnitarze i zbroję króla swego oddali do rąk. posłów. Poseł cesarski wziął hełm, francuski tarczę, a poseł węgierski wziął miecz królewski, i złożyli na stopniach ołtarza. Poczem wstał wojewoda krakowski i kilka słów rozczulających do zgromadzonych powiedział. Mówił o ostatniej uschłej gałązce wielkiego drzewa, pod którego cieniem zieleniły się polskie niwy, mówił dalej, że Polska jest dzisiaj jak step bez cienia, a kto ma pragnienie, ten musi w łonie tej ziemi szukać zdroju ochłody i pracować jako ranny najemnik. Zagasła ostatnia z Plejad jagiellońskich, a rzeczpospolita jest jak owe pisklęta, którym kokoszy nie stanie! Skruszmy bracia insignia nasze, połammy miecze zwycięzkie, przyszłość nasza zasłoniona!

Rzekłszy to oddał wojewoda laskę marszałkowską do złamania, a kanclerz dał roztłuc pieczęć swoją. W tem dał się słyszeć jakiś głos od drzwi kościoła, rozstąpiły się tłumy, a dworzanin królewski cały w kirysie wjechał pędem na koniu i przy katafalku z trzaskiem padł na ziemię. Był to rycerski obrzęd przy pogrzebie ostaniego z domu!

I nastąpiła grobowa cisza w kościele, brzęk rozłamanej broni i insygniów dygnitarskich, rozległ się śród murów świątyni jak ostatni jęk piersi konającej. Smutno i ponuro stała szlachta, mokrem okiem patrzała na zwłoki ostatniego z Jagiellonidów, a za chwilę miała przysięgać obcemu królowi, miała w jego niebraterskie ręce złożyć drogi klejnot swoich przywilejów... A tu dom rakuski patrzy na biedną rzeczpospolitą, forytując swego kandydata, a dumny car ofiaruje syna swego na króla Polakom, byle granice Polski wstecz cofniono.

Bolało to wszystkich że cudzoziemiec wstępuje na tron, ale pobożni polacy uspokoili się tem, że nie wedle zdań swoich, ale natchnieni przez Ducha świętego, spełnili wielkie dzieło elekcji...

Podczas tego smutnego obrzędu, pod filarami chóru stał ubogi mieszczanin Sulmierzycki w swej kapocie, czerwonym pasem przepasany i szczerze płakał za królem, którego nie znał, i o którym mało co słyszał, chociaż panował tak długie lata. Koło

niego z założonemi na krzyż rękami, śmiało do koła spoglądając, stał młodzieniec, dwadzieścia kilka lat mający. Włosy miał czarne, krótko ostrzyżone i w górę zaczesane, twarz piękną i śmiałe a bystre wejrzenie. Przy czarnych włosach i postawie wyzywającej pięknie odbijały omglone, ciemno-błękitne oczy, w których na przemian błyszczały iskry śmiałych myśli i migotał płomyk cichych, serdecznych marzeń. Był to Sebastjan Klonowicz.

— Czy rozumiesz ty to grobowe milczenie Sierotko? zapytał Sebastjan mieszczanina, to cisza przed wielką burzą. Naród przeczuwa groźne chmury na jasnem, ojczystem niebie, a wkrótce uderzą gromy... ale gromy i burze użyźniają niwę, a nam potrzeba burz i gromów... Sierotko, grunt Polski jałowieje....

Mieszczanin spojrzał przez duże, gotyckie okno na niebo, czyli na prawdę tam chmur nie ujrzy, ale dzień lubo zimowy, był ciepły i pogodny. Nie obaczył ani chmur, ani gromów, tylko płatek czystego, szafirowego nieba. A przypomniawszy sobie, że Sebastjan coś o gruncie polskim mówił, rzekł do niego:

— Że grunt bez uprawy jałowieje toć prawda, dla tego przyszedłem tutaj, aby cię wziąć z sobą, bo na ojcowiźnie zakorzeni się łopuch i pokrzywa.

Ale poeta nie słyszał słów mieszczanina, wieszczem okiem patrzał gdzieś daleko, w przyszłość na-

rodu, i widział tam wiele rzeczy, co mu łzy z ócz wyciskały.

— Łopuch i pokrzywa korzeni się w pięknej, polskiej ziemi, mówił do siebie poeta, a niema plewiaczy, coby usiedli na tym żyznym zagonie, i wyplewili chwast, co zboże przygłusza....

....A miła Polska na żyznym zagonie,
Usiadła jak u Boga na łonie....

Mieszczanin nie zrozumiał poety, a nie chcąc w kościele o świeckich rzeczach rozmawiać, ukląknął i przeżegnawszy się głośno, począł mówić: *wieczne odpoczywanie.*

Sebastjan stał, spoglądał w około, śledził ruchy dygnitarzy, a gdy trzask łamanych insygniów po kościele się rozległ, rzekł do mieszczanina:

— Słyszysz ten trzask? Oto łamią godła władzy królewskiej. Mój Boże! kruche żelazo i drzewo łatwo się złamie, gdy je pojedyńczo weźmiemy. Ale póki te godła w jednym spoczywały ręku, póki je dzierzyła silna dłoń monarchy, któżby je złamał?...

Długo stali jeszcze obaj pod filarami chóru; jeden w pokorze ducha modlił się za spokój nieboszczyka, drugi z czołem, dumnie wzniesionem, patrzał na obrzęd pogrzebowy, sięgając wzrokiem głęboko w przyszłość narodu.

Wreszcie skończyło się nabożeństwo, zwłoki królewskie spuszczono do piwnic kościelnych, a mar-

szałek Firlej z innemi dygnitarzami pospieszył do Balic, aby nowego króla u siebie ugościć.

Sebastjan i Sierotka wyszli z kościoła, ale na ulicy miasta za wielki był ruch, aby o zagrodzie Sulmierzyckiej swobodnie pogwarzyć. Po Krakowie przechodziło się mnóstwo obcych panów, sług i żołnierzy, którzy na przywitanie króla przybyli. Mimo tego ożywienia ulic miejskich, panowała wszędzie jakaś trwoga i nieukontentowanie. Przechodzący szeptali sobie na ucho o ogromnych szpichlerzach sucharów, soli, drzewa, jako-też prochu, kul i strzelby, które w wielkiej liczbie nagromadzono. W samem mieście zakazano strzelać, a szynkownie niby dla żałoby po królu, musiano pozamykać. Poopatrywano warownie Krakowa, cisza głucha, ponura panowała wszędzie.

Mieszczanin Sulmierzycki gapił się na każdego przychodzącego husarza, a Sebastjan opowiadał i objaśniał mu rzeczy, o których Sierotka nigdy w życiu nie marzył. Słyszano sarkających na króla, tu i owdzie wychwalano znowu wysokie jego przymioty, i opowiadano sobie, że król Henryk polską flotę zbudować zamyśla.

Tak upłynął dzień cały. Zmęczony wrażeniami dnia usnął mieszczanin Sulmierzycki, a Sebastjan siadł przy stole, podparł ręką głowę i dumał długo, bardzo długo. Lubo nie szlachcic, czuł gorącą miłość

dla kraju swego, bo czytając rzymską historją, widział, że każdy Rzymianin za kraj chętnie ginął. Piękna, tkliwa dusza poety widziała Polskę jak piękny, rajski ogród, gdzie:

...Dęby na górze, a olcha w dolinie,
W stare gałęzie uroczyście szasta,
Owa krynica, co z pagórka płynie,
Spada ze szmerem i w strumień urasta,
A słowik w cierniach strzela pieśń miłosną,
Mała ptaszyna aż zastrzęsa knieje,
Z piersi drobniuchnej wielkie tony rosną,
Z drobnego pyszczka tysiąc dźwięków bije,
Szpak ostrym głosem zakrzyczeć go pragnie
Szczygieł z rozgłośnym szczebioce wyrazem,
Chrapliwy chruściel odzywa się w bagnie,
Turkawka jęczy i echo z nią razem,
Kwiczoły stadem przeciągając codzień,
Kulistą chmurą w powietrze się wznoszą,
A tyle gwaru, że spieszny przechodzień,
Wstrzyma się nieraz i słucha z rozkoszą...

I słuchał poeta z roskoszą owych cudnych harmonij, które się odzywały w duszy jego, a którym szlachetne jego serce tak mile wtórowało. Cudowne gaje, pełne kwiatu i woni, przeciągały przed jego oczyma, a wszystko to było cudne, swojskie, ojczyste! I stanęły mu żywo w pamięci owe lesiste brzegi rzek rodzinnych, o których tyle cudów opowiadał mu niegdyś stary Bartosz! Widział szyprów i

szkuty, wiozące gdzieś daleko chleb polski, roznoszące plony ziemi polskiej...

...Boć to rzecz uczciwa,
Użyczać drugim chleba, gdy go zbywa...

I słyszał spiew wracających flisaków, spiewali wiele o swojej tęsknocie na wodzie i cieszyli się, że wrócą w progi chaty rodzinnej!...

Tymczasem zaświtał ranek. Klonowicz był blady, oczy miał czerwone. Sierotka zdziwił się, widząc go bladego i zapytał go, iżali nie jest chory?...

— Dusza zdrowa, odpowiedział Sebastjan, a o ciało niedbam wiele. Wiele rzeczy roiło się mi dzisiaj w nocy po głowie, ale ty ich nie rozumiesz.

Mieszczanin zamilkł i z uszanowaniem poglądał na towarzysza swoich dni dziecinnych.

— Wielka nauka odbiera sen i spokój, pomyślał sobie w duchu mieszczanin, i ksiądz pleban po nocach spać nie może.

Medytację tę przerwała wrzawa na ulicy. Król Henryk wjeżdżał uroczyście do miasta. Dzień był pogodny, słońce już dość ciepło przyświecało. Na dachach topniał śnieg i ściekał w dużych kroplach na ziemię. Sebastjan i Sierotka wybiegli na ulicę, aby się nowemu królowi przypatrzeć.

Drogą od Łobzowa ciągnął się do miasta długi szereg szlachty i wojska. Arcybiskup gnieźnieński

jechał w czerwonej kolasce, w koło której dziesięciu było husarzy. Dalej biskup Krasiński, mając przed sobą dwieście jazdy w aksamitach po włosku. Mielecki, kasztelan krakowski, miał w koło siebie jezdzców z pozłacanemi tarczami. Marszałek i wojewoda Firlej miał trzysta koni, a przy wojewodzie lubelskim harcowało dwieście jezdzca z sępiemi skrzydłami. Litwa jechała w trzy tysiące koni. Tuż za nią wojewodowie pruscy, dalej Tęczyńscy, Jan i Jędrzej, Herburtowie, wszyscy z licznym orszakiem, a Stanisław z Tarnowy, kasztelan czechowski, wystawił husarzów dwieście, a ubranych w jedwab i złoto. Najliczniejszy był orszak Komorowskiego, bo miał piechoty do tysiąca.

Znikneła żałoba po zmarłym królu, dwór polski zajaśniał w bogatych, godowych strojach.

Dziwnie od tego przepychu odbijały tłumy wieśniaków, stojących o podal po-za miastem. Śniegiem okryta ziemia wyglądała jak białe, grobowe prześcieradło, a dalej na tle horyzontu rysowały się strzechy chat wieśniaczych, od ziemi aż do komina śniegiem zasypanych. Smutne, w niezgrabne łachmany owinione postacie wychylały się z tych nór śnieżnych i niskim pokłonem witali majestat królewski.

Smutek ogarnął serce poety, widząc ten przepych obok ubóstwa i nędzy. Oparłszy się o drzewo stojące przy drodze, powiódł okiem po świetnym kon-

woju i powiódł okiem po zasypanych chatach wieśniaczych, i dumał w duchu:

....Starszyzno! którą naród za swych panów baczy,
Której sprawy na barkach dźwiga gmin wieśniaczy,
Której z woli niebiosów, czy z dawnej umowy,
Poddaństwo święci pracę i pieniądz czynszowy,
A wy pomimo prawa i obyczaj stary,
Mnożycie nowe jęki i nowe ciężary!...

Patrząc na kolebki biskupów, a widząc na nich wyzłacane herby, bolał poeta nad tą pychą szlachecką w duchowieństwie, wyrzekając w duchu:

...Pocoć i ciebie księże to szlachectwo nęci,
Rzniesz dziwaczne zwierzęta w herbownej pieczęci,
I mniemasz że nie godzien biskupiej tjary,
Kto nie zdobien w klejnot i pergamin stary,
O Pan wasz chodził bez herbownych znaków...
A wy następcami ubogich rybaków...

Wcale inaczej patrzał Sulmierzycki mieszczanin. Takie widowisko pozbawiło go zmysłów; stał z szeroko otwartemi oczami i podziwiał bogactwo orszaków. Z pokorą pochylał głowę przed każdym dygnitarzem, bo tego nauczył go wójt Sulmierzycki, jego opiekun. On nie widział chorób społeczeństwa polskiego.

Długo i leniwo ciągnął się pochód do miasta. Zatrzymywano się co krok i czekano na króla. Nie daleko bramy florjańskiej spoczął orszak, bo król miał konno do miasta wjechać.

— Patrz Marcinie! zawołał na mieszczanina Klo-

nowicz, ten wysoki, barczysty mężczyzna z ponsową delją to marszałek i wojewoda krakowski, Firlej.

— A ten niski, pochyły, co z nim mówi? zapytał Sierotka.

— To Jan Zamojski, starosta bełzki, wysokiej nauki mąż!

I ucichli obaj, bo wojewoda właśnie do starosty coś mówić począł.

— Po królewsku przyjąłeś króla w Balicach, mości wojewodo, rzekł Zamojski.

— Bóg mi świadkiem, żebym go jeszcze lepiej pożegnał, gdyby chciał sobie pójść z Polski, odpowiedział wojewoda.

— Wzdy za nim nie głosował kraj cały?

— Wierzaj mi mości starosto, Bóg zesłał go Polsce za karę!... Mógłby przecież być królem Piast.

— Piast! Piast! zawołał z gniewem starosta, tożby się rodzina jego nadymała, wszystkieby urzęda posiadła, a gdzie równość szlachecka?... Jak widzę, ty mości wojewodo jesteś gotów z przed nosa koronę mu unieść...

Długo nie mógł mieszczanin Sulmierzycki przyjść do siebie. W głowie szumiało mu i huczało, w oczach ćmiło mu się jak gdyby był patrzył w otworzone niebo, tyle widział dzisiaj dziwów. Wreszcie przyszedłszy do siebie, zatęsknił do cichego miasteczka, które go gościnnie w swoje grono przyjęło.

A chcąc jak najprędzej gwarny Kraków opuścić, zapytał się Sebastjana, kiedy się w podróż udać zamyśla. Klonowicz mu na to nic nie odpowiedział, tylko westchnął i zadumał się.

— Górna nauka szkodzi rozumowi, myślał sobie mieszczanin, patrząc niezrozumiałem okiem w piękną, natchnioną twarz przyjaciela.

I w samej rzeczy czuł się poeta w tej chwili natchnionym. Wielkie drama odbywało się przed jego oczyma, wieszczem okiem rozpoznał charaktery występujących aktorów, słyszał dysharmonją w chórach grupujących się koło tego wielkiego, narodowego zdarzenia. Przerażała go przepaść, dzieląca między sobą stany społeczeństwa polskiego, zatrwożył się przeszłością. Ale wkrótce wypogodziło się piękne czoło poety, pokraśniał na twarzy, a ściskając za rękę mieszczanina zapytał go:

— Czy widziałeś panów naszych?

— A jużciż widziałem; wielcy, bogaci panowie, odpowiedział Sierotka.

— A widziałeś lud nasz, o podal stojący?

— Wszakci wszystko widziałem, chociaż się mi mnożyło przed oczami.

— Czy myślisz, że lud nasz i panowie kochają się wzajem jako mieszkańce jednej i tej samej ziemi polskiej?

— Dla Boga! a cóż panom do tego motłochu,

co z bydlętami razem mieszka, zawołał mieszczanin Sulmierzycki, czując na swoich skroniach świeży chrzest mieszczaństwa.

Klonowicz uśmiechnął się z goryczą i rzekł:

— Sierotko, wszyscy razem, panowie, mieszczanie i lud co orze, stanowimy jeden naród, a w bożym narodzie powinna być wspólna miłość od najwyższego do najmniejszego. Ale chciwość i pycha rozdziela często na ćwierci, i przeszkadza mu, aby jego sprawy były, jako sprawy jednego męża. A wiesz ty co w takim razie mądrzy królowie robią?... Oto rozszerzają w kraju nauki, a nauka spaja ludzi jak cement pojedyńcze bloki kamienia, i tak powstaje gmach ojczyzny. Ludzie poświęcający się naukom są owym cementem, co łączy wyższych i niższych, a wiesz ty, że do spajania używają złotnicy najszlachetniejszego kruszcu?...

Mieszczanin wytrzeszczył oczy, wytężył wszystkie nerwy mózgowe, ale słów tych nie mógł pojąć.

— Widzisz te mury? prawił dalej poeta w natchnieniu, pocałuj je, bo w nich są perły i djamenty królowej Jadwigi. To jest »contubernium« czyli fundacja dla biednych, którzy się chcą uczyć i nauką swoją w ojczyźnie świecić.

— Ba!... ozwał się mieszczanin... uczyć się, ale cóż po tem?

— Patrz! w tych murach, małym będąc chłop-

cem, znalazłem kącik dla siebie. Ubogą strawą żywiłem ciało moje, ale duszę karmiłem harmonją wielkich poetów, serce napawałem u zdroju dziejów bohaterskiej przeszłości!...

Mieszczanin posmutniał i pokręcił głową.

— Więc nie pójdziesz ze mną do Sulmierzyc, gdzie grunt ojcowski chwastem zarósł, a dom się wali?...

— Ja mam pójść do was?... ja *Acern*... zawołał poeta w uniesieniu, lecz po chwili ochłonąwszy rzekł smutno: Nazywają mnie Acernem, od klonu.

— Mógłbyś przyjąć miejskie, mówił Sierotka, a z czasem mógłbyś objąć urząd ojcowski. Imię Klonowiczów jest u nas w poszanowaniu.

— Wójtem w Sulmierzycach? Poczciwy Sierotko! ty mnie nie pojmujesz. Jestem doktorem filozofji, to jest: mistrzem wielkiej prawdy, która jest na świecie. Sulmierzyce są dla mnie za małe — grunt mój rodzinny, to jest cała Polska.

Sierotka podumał chwilę, myślał nad tem, co mu towarzysz jego dni dziecinnych powiedział, ale tego ani pojąć, ani zrozumieć nie mógł. Zdawało się mu, że trzeba rozum stracić, aby porzucić kilka włok ojcowizny, a za to kraj wielki, obcy, należący do króla i panów nazwać gruntem ojczystym!... Tylko szaleńcom zdaje się, że są panami całego świata... w mieszczańskiej głowie nie mogło się to po-

mieścić, on nie wiedział, że z szaleństwem graniczy wielkie, szczytne uczucie, najwyższa cnota na ziemi... miłość społeczeństwa!...

Podumawszy chwilę rzekł:

— Sebastjanie! Jestem bez nauki, nie pojmuję tych rzeczy, o których mi prawisz. A jednak moim prostym rozumem zdaje się mnie, że nie *ja* lecz *ty* jesteś sierotą na tym bożym świecie.

Lekka mgła smutku przyćmiła oko poety. Pospolity rozum mieszczanina przeczuł instynktem sieroctwo jego na ziemi — sieroctwo każdego wyższego ducha!

— Nie, rzekł po chwili Klonowicz, nie wrócę z tobą.

— Cóż zrobisz z gruntem, który twój rodzic uprawiał? zapytał smutno Sierotka.

— Dla siebie wiele nie potrzebuję, a to, co sobie zarobić mogę, wystarczy mi. Grunt mój w Sulmierzycach dam ubóstwu, albo kościołowi na cześć Boga...

— A na grób?

— O na grób wystarczy w Polsce ziemi...

— Bo to, gdy człowiek do jakiej gromady nie należy, to za te trzy łokcie ziemi w obcem mieście zapłacić każą...

I otarł łzę biedny mieszczanin i chwycił za kij podróżny.

— Bądź zdrów Sebastjanie! zawołał śród łez, bo mi tęskno do Sulmierzyc. Jam był sierotą, i wiem jak gorżką jest dola sieroty. Dzięki twemu rodzicowi, jestem mieszczaninem, a Sulmierzyce to jak moja rodzina. Chcę spieszyć do niej. A ty... ty puszczasz się w świat... chcesz być sierotą!...

Ale Sebastjan nie słyszał rozczulających słów swego towarzysza, podparł głowę, a przed jego duszą odsłonił się jakiś piękny, różowy świat—skrzydła aniołów uniosły go w rajskie krainy, gdzie widział wybranych z palmami w rękach i w białych szatach, spiewających hymn wielki i wzniosły, a serce jego wtórowało tej pieśni!...

III.

— Powiedz mi, powiedz gdzie bawi mój miły,
Przywiedź go rychło do mojego łona.
Choćby nas kraje zamorskie dzieliły,
Zaklinaj, niech przyjdzie, bo umrę strapiona!...

Klonowicz.

Uroczystość powitania nowego króla zwabiła wiele szlachty do Krakowa. Gospody były pełne, na ulicach przechadzały się tłumy obcych, patrzących ciekawie na rozłożone zamorskie towary. Korzystając bowiem z tak licznego zjazdu, przybyli do miasta kupcy i kramarze z różnych części świata, ofiarując swój towar za złoto polskie. Grecy, Włosi, Niemcy od Szląska i liczni Żydowie porozstawiali przed bramą florjańską budy swoje, i głośno zachwalali przednie towary. Jedwab z Lugdunu, hatłas, tabint, korale i bursztyn gdański, wszystko to porozkładali kupcowie, a stary, brodaty Grek, przy rogu wieży siedzący, mówił wiele o baszach tureckich, którzy od niego towar biorą i trzy razy więcej mu płacą, jak on dzisiaj od Polaków żąda.

Obok Greka siedział kramarz z Lublina z koralami. Cichy, wybladłej twarzy, siedział za stołem i nic nie mówił, bo za niego mówiły długie bicze czerwonych korali, leżące w wielkich stosach na stole.

Młódź szlachecka przechadzała się tłumem poprzed budę koralnika, zaglądała przez okno aż do środka małej izdebki i szemrała z nieukontentowania, że prócz wybladłej twarzy kramarza nic więcej tam ujrzeć nie można. Do tego kramarz patrzał dzisiaj jakoś srogo na przechodzących, marszczył brwi i mruczał, snać nie wiele utargował.

— Kogoż widzisz w budzie? zapytał jeden z młodzi.

— Widzę piękne, przecudne korale, odpowiedział zapytany.

— Co mi tam korale! Ona ma piękniejsze usta jak korale... a jej oczy to jak dwie szpinki brylantowe...

— Czyje oczy? zapytał ktoś.

— Nie znasz? Któż z naszych nie zna Krystynki, córki koralnika lubelskiego?

I spojrzeli wszyscy koleją do budy kramarza, ale owych ust koralowych, ani tych oczek, jak szpinki brylantowe świecących, tam nie było.

Krystyna, córka kramarza, jest ładna, bardzo ładna dziewczyna. Jej włosy to jak kora z cedru

odarta, usta jak dwa najpiękniejsze korale, o jakich jej ojciec dniem i nocą marzy, a gdy te usta do śmiechu złoży, odsłoni się skarb jeszcze bogatszy, bo dwa sznurki pereł królewskich najczystszej wody. A cóż mówić o samym uśmiechu?... Nie tak ładnie i zachwycająco przebiegają pierwszę promienie zorzy po bladem, lekko zafarbowanem niebie, nie tak pięknie rozłamie się promień słońca na modrych licach wody, ani wietrzyk tak mile nie rozdmuchnie fal na przejrzystem jeziorze, jak na jej twarzy maluje się uśmiech zalotny. Rzekłbyś, że cię jednym tym uśmiechem oczarowała, że z piersi twojej gdzieś do niej serce na zawsze się wykradło!

Krystyny niema w budzie koralnika, już od dwóch dni nikt jej nie widział z młodzi szlacheckiej. Daremnie chodzą po-przed bramą florjańską, targują korale a nawet jaki taki coś kupi, ale nikt nie ujrzy ładnych oczek Krystyny, ani jej białych ząbków, ani nie upoi się jej czarodziejskim uśmiechem. Od dwóch dni siedzi w gospodzie, załamuje białe rączki i pyta starej Małgorzaty czy go nie widziała? Małgorzata kręci głową i szepce pacierze, a Krystyna załamuje ręce i płacze.

Wreszcie skończyła stara Małgorzata swoje pacierze, a siadłszy pod oknem na wielkiej skrzyni tak mówić zaczęła:

— Nie smućcie się Krystyno, wszakci nie on

jeden na świecie. Szodrak, pisarz z skabinatu, dorodny chłopak, a kiedy mnie tylko zdybie, to zawsze mi coś do ręki wsunie i szepnie: Czołem pannie Krystynie.

— Szodrak jest ładny chłopak, odpowiedziała Krystyna, ale ja za takiego nie pójdę, co w sieni ratuszowej z papierami pod pachą stoi, gdy rajcy wewnątrz radzą.

— Prawda, prawda, nieboszczka wasza matka zawsze mi mówiła: Moja Krystyna to jak jakie paniątko, biała jak krew z mlekiem, Krystynka musi być wielką panią!... Wieczne odpoczywanie... była to dobra kobieta, wasza nieboszczka matka!

Krystyna otarła zapłakane oczka i zerknęła do zwierciadła. Ujrzała tam oczy aksamitne, ząbki białe i pomyślała sobie w duchu: Jużciż prawdę mówiła nieboszczka matka, mnie być wielką panią! A muskając dłonią po włosach, rzekła do starej Małgorzaty:

— Mamci ja więcej kawalerów, daleko lepszych od Szodraka. Wieczorem chodzą po-pod nasze okna, a jeden nawet czasem jakie słowo do mnie przemówi. Znacie Marcina Szypkę?

— A czego-bym go nie znała? Na moich rękach się wychował. Pani Szypkowa, (świeć jej panie) była to dobra kobieta. Ale stary Szypko do góry nos zadziera. Księża Jezuici na nowy klasztor

zakupili od niego dom i sowicie mu zapłacili. Do tego przyobiecali przed tym ołtarzem, który na tym placu stać będzie, rok rocznie odmawiać mszą świętą po wsze czasy, aby się Szypkom na świecie szczęściło, a po śmierci żeby rychło do nieba poszli. Szypków będzie Bóg błogosławić!

— Ja o Szypku nie myślę, bo on wcale się mi nie podoba. Mówią ludzie, że skąpy, a gospodyni co u nich służyła opowiadała mi, że wszystkiego w domu baczy jak oka w głowie. Szypko nie dla mnie, ja za skąpego nie pójdę.

— Prawda, prawda, odpowiedziała stara sługa, Szypkowie to skąpcy, jakich świat i korona polska nie widziała. Zdzierali ludzi, a nieboszczka Szypkowa (świeć jej panie) to była jędza, skąpica, wszyscy ją przeklinali.

W tem otworzyły się drzwi izdebki. Krystyna spojrzała czem prędzej do zwierciadła, poprawiła włosy i śklące, zalotne spojrzenie rzuciła ku drzwiom. Ale na progu izdebki okazała się jakaś stara, szpetna postać, z torbą u szyi a kijem w ręku.

— Krystynko! Krystynko! zawołała.

— Wszelki duch... Marto! krzyknęła Krystyna.

— Święty Jędrzeju! ozwała się Małgorzata, toż stare babsko na miotle tutaj przyjechało!

Stara Marta obejrzała się po izdebce, poprawi-

ła torby, co jej u szyi wisiała, a wykrzywiając twarz do śmiechu rzekła:

— Ja to, ja, stara Marta, Krystyno — babsko stare przyczołgało się jak żółw od Rusi aż do Krakowa!...

— Mój Boże!

— A wara.... ofuknęła stara wróżbitka.

....Z Bogiem nie zdobyć piekielnych podwoi,
Niebios i piekieł rozliczna jest władza,
Kogo Bóg wspiera, to szatan się boi,
Kto trzyma z piekłem, Bóg mu nie przeszkadza...

— Co ty pleciesz Marto?...

— Co ja plotę?...

...Gdy nów niebieski promieniem wystrzela,
Wynijdź wieczorem w wesołej otusze,
Ja warząc proso i czarowne ziela,
Będę je mięszać i zaklinać duszę...

— Ty umiesz zaklinać, Marto? O proszę cię... ten sznur... korali... a zaklniesz go?... Cóż mam czynić?...

— Co masz czynić?...

....Siędziesz na ziemi odważnie i śmiele,
Wywrócisz suknię bramowaną w szlaki,
Ja ci udzielę czarodziejskie ziele,
Co cię ochroni od klęski wszelakiej..

— A gdzie on?

— Gdzie?...

...Może on słodzi swe wieczorne chwile,
Może od twojej miłości odwyknął.
I inszej dziewce dał serce motyle... *)

— Marto! nie mów tak!

— Dla czego nie? Ja to widzę odpowiedziała wróżbitka.

— I cóż widzisz?

— Nic, nic, ot zły duch omamia.

— Więc nic mi nie powiesz Marto? zapytała smutno Krystyna.

— Wiele, wiele mogę ci powiedzieć... ten sznur korali... pokaż rękę.

Krystyna położyła na stole białą, drobną rączkę i dwoje ócz aksamitnych wlepiła w wróżbitkę.

— Wielkie, wielkie szczęście, mówiła z cicha wróżbitka, będziesz kochaną nad wszystkie niewiasty ziemi....

— A kto będzie moim mężem?

— Mąż wielki i znakomity... panowie kłaniać mu się będą, a król rękę mu poda...

— Słyszysz Małgorzato? zawołała Krystyna, a oczy jej błyszczały jak szpinki z djamentu.

— Nie na darmo mówiła wasza nieboszczka matka, że wam być panią! była to dobra, poczciwa kobieta!

— Cóż dalej, Marto?

*) Z Klonowicza.

— Widziałam go, gdy stał w kościele nie daleko króla, a w babieńcu rzucił mi dukata... Miał sto husarzy w koło siebie...

— Czy jest bogaty? pytała Krystyna.

— Będziesz chodziła w jedwabiu i bisiorze, a mieszczki Lublina patrzeć będą na ciebie i mówić: Wżdy to córka koralnika, co mieszkał na słomianym rynku?

Krzyk w gospodzie przerwał wróżbitce. Schowawszy korale do torby, wyszła Marta obiecawszy przyjść inną razą.

W sieni gospody stało kilku zbrojnych husarzy, i z uszanowaniem słuchali rozkazów stojącego przed niemi młodzieńca w pełnej, stalowej zbroi. Ujrzawszy wróżbitkę, zbliżył się do niej młodzieniec i rzekł:

— Cóż babko, mówiłaś z nią?

— Cyt, cyt, szepnęła Marta wskazując na drzwi, nie od razu Kraków zbudowany!

I położyła dwa palce na ustach na znak milczenia. Młodzieniec rzucił jej sztukę złota a dosiadłszy konia, w czwał ku zamkowi pogonił.

Krystyna i Małgorzata siedziały w izdebce i nie widziały co się w sieni gospody działo. Słowa wróżbitki dziwnie przypadły im do serca, i dotąd nie mogły przyjść do siebie. Krystyna widziała się w jedwabiach i w bisiorze, wszystkie mieszczki Lublina wskazywały na nią palcami, i pytały się: Wżdy to

ta sama Krystyna, córka koralnika, co mieszkał na słomianym rynku?... Stara Małgorzata opowiadała jak dobra i poczciwa była nieboszczka matka, a jaką jędzą była stara Szypkowa!...

— Słyszałaś Małgorzato? rzekła po chwili marząca dziewczyna, będzie bogaty i król mu rękę poda!...

— Czemu nie? starosta bełzki *) mówi zawsze do niego: Mój przyjacielu.

— Ale Sebastjan nie bogaty? westchnęła kochająca dziewczyna.

— Nie bogaty! Cóż z tego? król mu poda rękę, a to znaczy, zrobi go panem. Bo komużby król rękę podawał? A jaki ładny! Jakby na pana stworzony! W kościele stał jakby starosta jaki!...

— Mówią, że to syn biednego mieszczanina...

— A nasz Radny Krajkowski? Syn dziada kościelnego, a dziś Krajkowscy państwo całą gębą! Kogo król i wielcy panowie polubią, tego wezmą między siebie jak swego. A będzie mu dobrze jak panom. O Sebastjanie wielkie rzeczy mówią.

W tem otworzyły się drzwi izdebki, wszedł Sebastjan.

— Trzy dni nie widziałam ciebie! krzyknęła Krystyna rzucając się kochankowi na szyję.

---

*) Zamojski.

— Tak! trzy dni — odpowiedział smutno poeta, te trzy dni pozostaną na zawsze w mojej pamięci!...

— Cóż się to stało? starosta bełzki... może sam król...

Klonowicz był smutny i zadumany. Na zapytanie kochanki nic nie odpowiedział. Po chwili wstał i począł się po izdebce przechadzać. Krystyna smutno patrzyła za nim, gniewając się w duchu, że jej Sebastjan ani o staroście bełzkim ani o królu nic powiedzieć nie chciał. Pewnie spotkał go jaki zaszczyt!

— Czemuś tak smutny, Sebastjanie? zapytała po chwili, przymilając się do niego.

— Czemum smutny?... Mam się cieszyć patrząc na to, co się w rzeczypospolitej dzieje?... Słyszałaś wystrzały?...

W tej chwili powstał wielki zgiełk na ulicy. Klonowicz przystąpił do okna i rzekł do siebie:

— Wapowski, kasztelan przemyski! Rysia skóra cała krwią zbroczona! Lud krzyczy na mordercę.... Samuel Zborowski morderca!.. piękne ma gody Jędrzej *) O Polsko! czarne niebo nad tobą jak kir śmiertelny! Starsza bracia grzeszy w obec Boga i

*) Zamojski.

ojczyzny, a lud patrzy na zbrodnie tych, którzy mu przodkują!..

— Cóż ciebie to obchodzi? zawołała z gniewem Krystyna, niech się biją... a co mówił do ciebie starosta?

Sebastjan długo jeszcze stał przy oknie, patrzał na tłumy szlachty i huzarzy, wieszczem uchem słuchał gwaru z ulicy, i zdawało się mu, że słyszy chrzęst łańcuchów piekielnych, widzi szatanów czyhających na to, co on tak mocno ukochał, widzi plemię czerwonych Judaszów, sprzedających krew i wiarę ojców swoich...

Tu obudził go pocałunek kochanki. Ściśnięte boleścią serce poety uderzyło żywiej, spojrzał przed siebie i ujrzał aksamitne oczy jak dwa djamenty, i dwa rzędy białych pereł.

— Ty niewdzięczny! a jam płakała za tobą! mówiła z łzami dziewica.

— Tyś płakała za mną? O Bóg mi świadkiem, że po Polsce i muzie tyś mi najbliższą serca!

— Czemu nie przed Polską i tą muzą twoją?

Rzekłszy to zarzuciła dwoje białych rąk na szyję poety, przycisnęła go do piersi gorącej a na czole jego wycisnęła ognisty pocałunek. Sebastjan uczuł żar w sercu, piękne jego oko zabłysło jak światło gwiazdy wieczornej, a tłumy uliczne milkły coraz więcej... i zrobiło się głucho w małej izdebce,

Wszystko to, na co przez trzy dni z bolejącem patrzał sercem, wionęło jak mgła z przed jego duszy, a w koło niego było tak jasno, tak błogo!... Uciekły straszne widma, co go tyle trwożyły, nie widział klęsk narodu, wieszczem okiem przed chwilą dopatrzonych; bo przed nim stała dziewica, piękna jak anioł, i białą rączką otwierała mu złote nieba podwoje!

Zdawało się poecie, że śród szlachetnych cierpień jego, zesłał mu Bóg anioła, aby płacząc z nim, wiódł go przez ciernie i głogi, w pielgrzymce żywota... aby go wiódł do otworzonych nieba podwoi, gdzie go odzieją w białe szaty, i palmę wybranych do rąk mu dadzą!...

Tak marzył poeta na ziemi, a w niebie zapłakał nad nim jego stróż-anioł, spuszczając mu na głowę — wieniec cierniowy!

Ale poeta nie czuł cierni, bo długi, ognisty pocałunek łączył w tej chwili serca kochających na zawsze!....

IV.

Młotek uderza po dźwięcznym metalu,
Echo powtarza za każdą godziną,
Minęła chwila!.. o warta jest żalu,
Bo czas szacowny bez powrotu płynie!...

Klonowicz.

Nad brzegami Bystrzycy, ocieniony staremi lipami, stał dworek modrzewiowy. Smutna cisza panowała w około. Na dziedzińcu był mały stawek, a stadko kaczek uganiało po wodzie. Słońce zniżyło się ku krawędzi widokręgu, liście na drzewie już żółknąć poczynały, a po niebie żeglowały białe, jesienne chmurki.

Pod wystawą stały narzędzia gospodarza, wozy, pługi i brony, a na murawie pasło się kilka chudych koni. Strzecha na stodole, mchem porosła, i gdzie niegdzie poobdzierana, wyglądała jak jakie ostrowie z kępą i oczeretem.

Z pola powracał młody, w brunatnym żupanie mężczyzna. Miał ręce w tył założone, a stając co kroku, patrzył na pobliskie, zielone wzgórze, na

którem widać było rozpierzchniętą trzodkę i kilka pastuszków. Słońce zachodziło po-za to wzgórze i całą trzodkę przystroiło w złotą wełnę. Cudny, zachwycający był to widok dla poety. Stał i dumał, ciche, przeciągłe westchnienie uleciało mu z piersi, a gdy znowu na wzgórze spojrzał, już nie było na niem trzodki o złotem runie ani pasterzy w szkarłatnych opończach, tylko ciemna, bezkształtna bryła, masa cieni, wykrojona jak garb wielbłąda na jasnem tle nieba. I prędszym krokiem ruszył do dworku.

W dworku już było dosyć ciemno. Na modrzewiowych ścianach wisiały obrazy świętych, między którymi w samym środku był obraz świętego Sebastjana, jak go do drzewa przywiązano i zwolna strzałami ubito. Przed Najświętszą Panną z Jasnej góry wisiała lampa. Na poprzek izby u pułapu był belek, a na nim misternie wyrzezany krzyż i napis: *Panie błogosław ten dom i mieszkających w nim.*

I snać musiał Bóg błogosławić mieszkającym w tym domu, bo w oczach pięknej kobiety, opartej na dużem lipowem stole, błyszczały dwie jasne łzy, wiszące u rzęs jedwabnych jak dwa djamenty. To łzy cichego szczęścia, tęsknoty za gospodarzem domu, który wyszedłszy do pracy, tak długo nie wraca! A czekają go dwoje łabędzich rączek, które mu szyję oplotą, okażą mu łzy tęsknoty i przycisną go do tego serca, zkąd te łzy wyszły!...

Wreszcie otworzyły się drzwi izdebki.

— Sebastjanie! zawołała piękna kobieta, ja dłużej w tem pustkowiu siedzieć nie będę. Trawę, chmury i niebo widzę tylko z okna, a w koło głucho, aż płakać muszę!

— A jam szczęśliwy dzisiaj Krystyno! rzekł Sebastjan przytulając piękną kobietę do piersi.

— Szczęśliwy? powtórzyła Krystyna.

— Słońce zachodziło przecudnie, mówił w zapale poeta, na polu orało kilku kmiotków. Chodziłem z nimi koło pługów i rozmawialiśmy. Opowiadali mi o pięknej ruskiej ziemi, o wysokich, lesistych górach, po-za które słońce się chowa, a jeden z nich opowiedział skazkę o miłości Fedory, jakiej i Owid w swoich księgach niema. Krystyno! jam szczęśliwy, zdaje się mi, żem znalazł skarby, wielkie skarby dla mojej duszy... a serce mi mówi, że te skarby winienem oddać narodowi!....

Blada kobieta o aksamitnych oczach spojrzała w piękną, natchnioną twarz młodego małżonka, ale słów jego nie pojęła.

— Skarby! mówisz, odkryłeś, jakie skarby? zapytała skwapliwie.

— Skarby, któremi mój naród przed całą Europą szczycić się będzie!

— To je przynieś! przynieś, mówiła spiesznie, skarby to jedyne szczęście, bo czemże jest człowiek

bez skarbów? Wszyscy go za nic nie mają, musi mieszkać w pustyni tak jak my, podczas gdy inni jedzą i piją i w bisiorach chodzą!... O jam nie zapomniała, co mi powiedziała stara Marta w Krakowie, ja wiem, że będę bogatą, a jedwab i bisior będą moją odzieżą. Kapela będzie nam przygrywać w komnatach złoconych, a sąsiedzi zaglądać będą przez szpary okiennic i mówić między sobą: Klonowicze to ludzie bogaci, u nich miód w dzbanach na stole... Nie prawdaż Sebastjanie?

Klonowicz usiadł przy stole, a podparłszy ręką głowę, zamyślił się głęboko. Pieszczoty pięknej małżonki obudziły go z zadumy. Spojrzał w oczy aksamitne i rzekł:

— Nie płacz aniołku, ja jestem bogaty, jak król ziemi. Moich skarbów nie spali mi ogień, nie zabierze woda, szat moich i bisiorów mole nie pogryzą — wszystkie te skarby mam tu...

I wskazał na serce.

— A między wszystkiemi jesteś ty najdroższym skarbem moim.

Rzekłszy to ucałował małżonkę i do gorącej przycisnął ją piersi. Twarz młodej kobiety okrasiła się rumieńcem, ziemskie jej serce zadrgnęło ostatkiem pięknych, młodych uczuć, bo przy niem biło wielkie, szlachetne serce poety.

— Tyś moim skarbem Krystyno! mówił prze-

rywanym głosem poeta, ale prócz ciebie kocham jeszcze wiele, wiele, wiele ludzi! Wszystkich ludzi, co mieszkają od Karpat aż ku morzu na północy, kocham jak braci moich, sława ich jest moją dumą, bogactwa ich są memi skarbami!...

— Stara Marta mówiła, że ty będziesz bogaty, szlochała w uniesieniu najwyższego szczęścia kobieta.

— Zaiste! kto taką miłość w swej duszy uczuje, ten jest bogaty!

Krystyna położyła głowę na piersi poety, i wylewała łzy szczęścia, że jej mąż będzie bogaty, a ona będzie chodzić w drogich szatach! I poeta marzył o bogactwach rodowitej ziemi swojej, widział w duchu jej szaty lesiste, modre wstęgi i bogate, kamienne miasta! On słyszał cudne tej ziemi powieści, widział rolnika, orzącego swoją włokę, gwarzącego wesoło w gronie rodziny. Ileż to skarbów dla poety, kochającego ziemię swoją?

— Krystyno! zawołał po chwili, ja cię porzucę... na długo, na długo!

— Ty mnie porzucisz?

— Tak mi tu coś wre i kipi, mówił dalej kładąc rękę na sercu, tak mnie coś woła i nęci, abym szedł, tam daleko... tam gdzie ten siny rąbek gór.... I wskazał na południe.

— I po cóż tam pójdziesz?

— Pójdę szukać skarbów, które przeczuwa dusza moja... do których rwie się serce w piersi...

— Po skarby?... a kiedy wrócisz?

— Przed śniegiem.

— O to idź, idź spiesznie, a ja z tęsknotą oczekiwać cię będę.

I dwoje białych rąk owinęły szyję poety jak dwie młode gałązki woniejącej róży. Poeta pił z zdroju szczęścia, wpatrzył się całą duszą w młody, świeży kwiat swoich roskoszy i nie wiedział, że z młodych tych gałązek kiedyś wypuszczą się ciernie i oplotą go wieńcem cierniowym!...

Nazajutrz był Sebastjan w drodze, a Krystyna usiadła przy oknie modrzewiowego dworku i patrzała na fale Bystrzycy, marząc o bogatych, jedwabnych szatach.

Były to najpiękniejsze chwile w życiu poety. W skromnej odzieży, z kijem w ręku, szedł samotną drożyną, jedząc chleb suchy i pijąc z krynicy leśnej, a szedł z dumą w sercu, z czołem w górę wzniesionem, jakby szedł przez rozległe włości swoje. Rozmawiał z lasami, podsłuchał szmer wody, i pojął żałośne skargi wiatru, wiejącego od stepów ukraińskich. Widział jak rolnik w lesie szuka krzywego drzewa na sochę, jak je wygina nad parą wody gorącej, jak robi radło lub gnie obłąki na koła do wozu. Z daleka słyszał wóz Rusina bo Rusin:

...Kłodek kolnych tłuszczem niepowleka,
Ani żywicą napoi swej osi;
A ruski wózek posłyszysz z daleka,
Skrzypi i jęczy jakby o co prosi!...

Poeta wpatrzył się całą duszą w życie ludu, dotarł do najskrytszych jego tajników. Z ust ludu płynęły dla niego cudowne powieści: jak wąż wysysa mleko cielicy, jak kwiczoły zaszczepiają na dębach rośliny pasożytne, jak pasterze przyrządzają nabiał i przysmaki, jak wieśniak, co utonął w dziuple dębowej, napełnionej miodem, ratuje się pochwyciwszy niedźwiedzia za łapę, bo

...Choć ruska ziemia niema winogradu,
Za to nam pszczoły miód obficie wloką;
Dojść jeno zajrzeć do lasu lub sadu,
Tam pełno plastrów z klarowną patoką....

On zajrzał na dno piersi wieśniaka, i widział tam jego bole i roskosze. Od kolebki aż do trumny wiódł za nim okiem; w kościele widział chrzest jego, na pogrzebie podsłuchał mowę kapłana:

....Wioskowe dziecię zaledwo w powiciu,
Zaledwie boży świat ujrzy z oddali,
Słuszna mu płakać, bo na dalszem życiu,
Nie mały ciężar na barki się zwali..
Słuchaj jak matka nad małą kolebką,
Spiewa jękliwie i w nocy i we dnie:

— Nie płacz malutki, a hoduj się krzepko,
Te łzy to twojej doli przepowiednie,

Poczynasz płakać i tak aż do końca,
Płaczliwa będzie piosenka twej doli!...
Rzekła i usty spiekłemi od słońca,
Kładzie całunek na drobne pachole...

Baby ponieśli dziecko do kościoła, gdzie mu dano imię a przyniesione do domu:

...W drżącej kolebce, owinione w szmaty,
Ma pokarm gruby i nie wiele warty,
Nie często matka przychodzi do chaty,
A dziecko rośnie jako dziecię Sparty...

Tymczasem urosło dziecię, w jego sercu zapłonęła miłość. A jaką to miłość widział poeta u ludzi! Tęskne, namiętne serce Rusinki nie gardzi czarami. Czarownica waży ziele i za pomocą złych duchów sprowadza kochanka!

Mijają chwile miłości, serce bić przestaje. Na murach leży trup wieśniaka, a wioskowa płaczka zawodzi, że nieboszczyk opuścił świat ten mając zboże, ogród, siedm par cielic i tyleż wołów. Piętnaście krów, trzoda owiec, stado gęsi, pszczoły, wszystko pracowało jemu gwoli, a on poszedł na wieczne pokoje!....

Ksiądz modli się nad trumną i wzywa oddźwiernego niebios, św. Piotra, aby jako dobry klucznik pana, otworzył mu bramę światłości.

...Gdy będzie niebios dopraszać się z płaczem,
Jego prostotę miej w życzliwym względzie,

On nie był mówcą, lecz jeno oraczem,
Może nieskładnie tłumaczyć się będzie.
Niech się nie gniewa jego postać dzika,
Połóż duch jego na przychylnej szali,
Święty Rybaku pokochaj rolnika,
Wyście po prostu Chrystusa kochali!...

Z wiejskiego zacisznego cmentarza zwrócił poeta swoje oczy na grody ziemi ojczystej, i pysznił się wyniosłością ich murów. Podziwiał Lwów i spiewał w duszy:

...Lwowie kamienny! nowość cię nie mami,
Nie daj się zachwiać jak wątłe ziele,
Wiekować tobie z twoimi basztami,
Z twemi kościoły i krzyżem na czele
I z twoją górą, co ku niebu idzie!...

Na brudnych przedmiejskich kałużach widział chałupy żydów i od razu dojrzał w nich przyszłą plagę kraju. Jak mól zwolna i nieznacznie szatę kosztowną przegryza,

Tak żyd-włóczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpije się i wzroście,
Nasze bogactwa pożre i przetrawi,
Pochłoni wszystkie kraju posiadłoście,
Obaczą króle, zkąd szkodliwa rana,
Rzeczpospolita jęknie po niewczasie,
Gdy krew z jej ciała będzie już wyssana,
I wszelkie życie obumarłem zda się...

Uronił kilka łez poeta i czem prędzej wracał nad brzegi Bystrzycy do dworku z modrzewia, aby

w objęciach swojej Krystyny dośnić cudnego obrazu, wyśpiewać to wszystko, co w chacie wieśniaka widział i słyszał, i o czem gawędziły z nim dęby i olchy na wzgórzach ziemi ruskiej. A wracał dumny i wielki jako mocarz bogaty, bo do swego serca zagarnął wszelkie skarby, które w borach i siołach był nadybał. Wracał dumny i wielki, bo myśl olbrzymia dojrzewała w jego duszy.

Przedsięwziął opiewać skarby ziemi ruskiej, owej krasnolicej córy wielkiej jego ojczyzny. Przedsięwziął podnieść życie ludu i myt jego, jego bajki i powieści. Chciał go ustroić w jego strój świąteczny... okazać szlachcie, co nim gardziła, i rzec jej: Oto brat wasz młodszy, kochajcie go! Była to myśl wielka i olbrzymia, bo on pierwszy powziął ją w owych czasach, gdzie wszyscy poeci pożyczali do swoich pieśni treści u obcych narodów. Myśl ta unieśmiertelniła go. Klonowicz chciał dowieść światu, że na swojskim zagonie, w zaciszy chat wieśniaczych rośnie kwiat prawdziwej poezji, że z tamtąd powinni czerpać natchnienie piewcy narodowi... A działo się to przed trzema wiekami!

Z radośną twarzą ujrzał Sebastjan dworek modrzewiowy. Serce biło mu głośno, bo drogiej małżonce tyle ma do opowiadania!

W ganku powitała go Krystyna. Miała na sobie szaty żałobne. Sebastjan stanął w osłupieniu.

— Nie trwoż się! zawołała małżonka, ludzkie nieszczęście, cóż robić. Rodzic umarł w Lublinie, i zostawił nam dwa domy.... A cóż, przyniosłeś skarby?

Sebastjan posmutniał, a wyjąwszy z kieszeni plik papierów, okazał małżonce.

— Cóż! zawołała z gniewem, toż są te obiecane skarby? Wiersze i wiersze! Co mi z twoich wierszów, za nie nie będę miała ni jedwabiu ni korali....

— Krystyno!

— Wolałabym była pójść za Szypka. Jego żona jest rajczynią, siedzi w ławkach przed wielkim ołtarzem, a ja w samotnym tym dworku nudzę się i trawię młode lata!... Czyń co chcesz, pisz tu wiersze, a ja jadę do Lublina, gdzie mam dwa domy...

I strzeliły dwa pociski z oczu aksamitnych; dwie łzy, łzy złości i gniewu zawisły u rzęs jedwabnych. Przeląkł się poeta tych spojrzeń, w których niegdyś niebo szczęścia widział, i uczuł, że z młodej, różowej gałązki, która jego skroń wieńczyła, wystrzelił pierwszy, ostry cierń, i głęboko wpił się w serce!....

V.

> Komuż tedy odkazujesz odumarłe sprzęty,
> Lutnią i treść niedotyczną, o poeto święty?...
> Chcieliśmy twe gęśli oddać pasterskiemu Bogu,
> Na pustyniach arkadyjskich, przy kolącym głogu;
> Nie chciał przyjąć upominku, bo nie ufał sobie,
> Żeby więc brakiem nie stanął, i wtórym po tobie!...
>
> *S. Klonowicz.*

Roku 1584 odbywał się w Lublinie sławny trybunał koronny. Szlachta chodziła tłumem po ulicach, a gwarząc o wielkim dniu jutrzejszym, przypatrywała się odwiecznym gmachom miasta.

Było to w drugiej połowie sierpnia. Po czystem niebie toczyło się słońce, przeglądaiąc się w ciemnych falach Bystrzycy i w złoconych krzyżach świątyń pańskich.

Trybunał jutrzejszy był wielkiej wagi. Zborowscy mieli przed króla wnieść żałobę na hetmana Zamojskiego, który Samuela w Krakowie ściąć kazał. Uczynek ten hetmana narobił w całym kraju wiele hałasu. Rodzina Zborowskich należała do pierwszych rodzin polskich, a rodzeni nieboszczyka bracia, Jan

i Andrzej, pierwszy kasztelan gnieźnieński, a drugi marszałek nadworny koronny, wielu mieli szlachty za sobą, gotowej zbrojno stanąć w obronie drogich wolności rzeczypospolitej.

Ale na tronie polskim siedział w on czas Stefan Batory. Był to król wielkiej duszy, a objąwszy rządy Polski, poznał zaraz, gdzie jest największa rzeczypospolitej choroba. Tak zwana »złota wolność« szlachty i panów była nieraz powodem najszkodliwszej dla kraju samowoli, płaszczem wyniosłej dumy i pychy, patrzącej nie dobra publicznego, ale własnej prywaty. Czuł dobrze Batory, że to kiedyś kraj o zgubę przeprawi, i przedsięwziął temu złemu zapobiedz.

Wielki to był trud i niewdzięczna praca. Mimo licznych zwycięstw na nieprzyjaciołach odniesionych, okrzyczała go szlachta tyranem swobód narodowych, ale żelazna dłoń króla trzymała w szrankach niesforną zgraję malkontentów, którzy za mowy, miewane w obronie wolności rzeczypospolitej, pobierali od jej nieprzyjaciół znaczne jurgielty. Pojął to dobrze Batory i oglądnął się po kraju, komuby mógł się zwierzyć w najskrytszych swoich zamiarach. I znalazł powiernika. Mąż wielkiej nauki i prawego serca stanął przy stopniach tronu, i wziął z rąk jego pieczęć i buławę. Był to Jan Zamojski. — Cztery lat później 26 maja 1584 przed furtą zamku kra-

kowskiego spadła głowa Samuela Zborowskiego, zuchwałego banity, urągającego ustawom rzeczypospolitej. Nie uspokoiło to bynajmniej zuchwałych. Wielu przyjaciół otoczyło trumnę nieboszczyka. »Między innemi, nie wiedzieć kto (pisze naoczny spółczesny świadek) w czarnym żupanie aksamitnym do trumny przyszedł i umaczał we krwi chustkę i wielkim głosem rzekł: Jeźli kto z powinnych jego nie będzie się mścił, ja przysięgam na Boga żywego, że się tej krwi mścić będę, a ta chwila będzie mi świadkiem zawsze żywym!«

I długo powiewała w nieszczęsnym kraju skrwawiona chusta nieznajomego!

. . . .

Nazajutrz rano ulicą grodzką od zamku królewskiego wyruszył bogaty orszak do fary, dla wysłuchania mszy świętej. Król klęczał na karmazynowej poduszce, złotem haftowanej, a korząc namaszczoną głowę przed panem w cierniowej koronie, marzył o dzielnym Leszku, który po odniesionem zwycięstwie nad Jadźwingami ten kościół na cześć św. Michała zbudował. Wodząc okiem po wielkiem, gotyckiem sklepieniu pytał siebie w duchu, iżali i on po tylu odniesionych zwycięstwach uczynił Bogu jakie wotum, i zdawało się mu, że tuż obok siebie słyszy głos: »Ty zbudujesz najmilszą Bogu świątynię, bo zbudujesz wielką, chrześciańską Polskę.« I obejrzał

się w koło król Stefan, a obok niego klęczał Jan Zamojski. I pomyślał sobie: toż jeden filar tej świątyni już przy mnie.

Tymczasem w rynku miasta był wielki zgiełk i wrzawa. Masa ludu i szlachty otoczyła ratusz, wielki dwupiętrowy gmach w pośrodku rynku stojący, gdzie w pysznej, herbami województw i kapituł przyozdobionej sali na pierwszem piętrze miał odbyć król naradę z panami w sprawie Zborowskich. Gmin podziwiał okazały kamienny budynek, i przypatrywał się kolosalnym figurom, umieszczonym na facjacie, a przedstawiającym władzę i sprawiedliwość. Część szlachty zeszła do piwnic ratuszowych i kosztowała piwa z Gdańska i Kazimierza, które tutaj za wyłącznym przywilejem Zygmunta Augusta szynkowano.

Otóż tutaj toczyły się najważniejsze sprawy dnia dzisiejszego. Adherenci Zborowskich łowili tutaj stronników, stawiając dzbany piwa i miodu. Poczciwa szlachta wykrzykiwała na króla i rwała się do korda, krzycząc *wiwat* Krzysztofowi Zborowskiemu, przyszłemu obrońcy swobód republikańskich, a tymczasowie jurgieltnikowi cesarza. Biedny kraj, gdy sąsiad jego bohaterów opłaca!

— Oko za oko! ząb za ząb! zawołał barczysty szlachcic w cynamonowym żupanie.

— Głowa kanclerza! albo.... ozwał się ktoś z

kąta i nie dokończył, bo grobowe milczenie obecnych zatrwożyło go.

— Na sejm wniesiemy trumnę ze zwłokami Samuela do izby senatorskiej — ozwał się Stadnicki, sławny rębacz, i postawimy osierocone jego dzieci. Krzysztof kazał już całą tę smutną scenę wymalować i *wykonterfektować*.

— Strach, co to będzie!

— Dzień sądu... *dies illae*, *dies irae*...

— Zdaje się mi, rzekł jakiś nieznajomy szlachcic w czarnym żupanie, że długo rzeczy przeciągać nie trzeba. Kto ma słuszność za sobą, ten ma *jus gladii*.

Mówiąc to obnażył wielki, szeroki miecz, a drugą ręką machnął po powietrzu białą, skrwawioną chustą. Wszyscy umilkli i wpatrzyli się w szlachcica, którego nikt z obecnych nie znał.

— Gdy pójdzie król z fary na ratusz... mówił dalej nieznajomy.

Jeszcze ciszej zrobiło się w piwnicy. Szlachta spojrzała po sobie. Wszystkich serca ogarnęło smutne przeczucie. W tem z pobocznej piwnicy dał się słyszeć głos bandurzysty. Mile uderzyły te dźwięki o uszy biesiadników. Bandurzysta spiewał:

Chcemy sobie być radzi,
Rozkaż panie czeladzi,

Niechaj na stół dobrego wina przynaszają,
A przytem w złote gęśli albo w lutnią grają!...

Nieznajomy wzniósł skrwawioną chustkę do góry i oglądnął się na bandurzystę. A tenże spiewał dalej:

Kto tak mądry że zgadnie,
Co nań jutro przypadnie,
Sam Bóg wie przyszłe rzeczy, a śmieje się z nieba,
Kiedy się człowiek troszczy więcej niźli trzeba!.. *)

Nieznajomy w czarnym aksamitnym żupanie spuścił chustę ku ziemi i właśnie chciał coś powiedzieć, gdy na kurytarzu zawołano: Król idzie! Wszystka szlachta wysypała się z piwnicy, i wystąpili na przywitanie króla; tylko nieznajomy w czarnym żupanie i bandurzysta znikli gdzieś bez wieści.

W wielkiej, pierwszopiętrowej sali na tronie z czerwonego aksamitu zasiadł król Stefan. Była to niska, niepokaźna figura, z żółtem, wywiędłem obliczem, ale oczy błyszczały jasno i biegały szybko po zgromadzonych. Nie miał on na sobie żadnych ozdób królewskich. Brunatna bekiesz i niska czapka z czaplem piórem, oto cały strój jego. Koło niego usiadł kanclerz Zamojski, a z drugiej strony Prymas Karnkowski. Za nimi usiedli inni dygnitarze rzeczypospolitej i kościoła, a w wielkiem półkole stanęła

---

*) Jan Kochanowski.

szlachta w rozlicznych strojach, to polskich, to hiszpańskich, to szwedzkich z niemiecką kryzą. Młodzież ubrała się z węgierska, bo ubiór węgierski był za Stefana w modzie.

I wytoczono różne sprawy przed króla. Najprzód wystąpił marszałek Zborowski, a wyraziwszy swoją submisją przed majestatem króla, rozpoczął oskarzenie kanclerza o morderstwo Samuela. Mówił o frasunku całej familji i kalumnji, która ztąd na cały dom spadła, że nieboszczyka jako wolno urodzonego ścięto ręką katowską w oczach publiki, bez sądu sejmowego, na mocy praw starościńskich. Mówił, że krew Samuela stanie przed obliczem żywego Boga i wołać będzie pomsty na naród, który tej zbrodni nie ukarał, i jeszcze zbrodniarza wyniósł do wielkich godności, jako dziewierza królewskiego.

Tu powstał wielki krzyk i hałas. Stronnicy Zborowskich poczęli się kupić, zabrzęczały kordy i już byłaby się w obec królewskiego majestatu krew rozlała, gdyby nowy gość nie zwrócił był w tej chwili wszystkich oczu na siebie.

Był to szlachcic w podeszłym wieku, z włoską kryzą na czarnym żupanie. Wysokie, bruzdami poorane czoło i smętne, ujmujące oblicze znamionowały człowieka, co wiele myślał i czuł w życiu. Resztki siwych włosów spadały w dużych skrętach na ramiona, niegdyś pieszczone ręką ukochanej Ur-

szuli, dzisiaj zbielały jak śnieg pod ciężarem lat i smutku.

— Kochanowski! Jan z Czarnolesia! krzyknęła szlachta, i z uszanowaniem rozstąpiła się w półkole.

Ukochany od narodu wieszcz zjawił się w samą porę. Anioł słodkiej harmonji i miłości wniósł z sobą spokój i zgodę między bracią powaśnioną. Ustała zwada, pochowano karabele, a szanując obecność poety, nikt nie poważył się ani jednem słowem zamieszać świętej ciszy, która dla sędziwego wieszcza największą była nagrodą.

Król Stefan, pozdrawiając poetę, uchylił czapki z czaplem piórem. Zamojski uścisnął mu rękę, a gdy Kochanowski królowi należyty pokłon oddał, rzekł tenże do niego:

— Mówią mi, że ktoś tam dybie na moje życie, że sprzysięgają się na mnie. Lecz ja prócz Boga nikogo się nie boję, tylko waszmość jeden, panie Wojski, jesteś mi niebezpieczny. Wdzięczne twoje rymy ujęły cały naród, a ja sam nie wiem, kto z nas obu jest dzisiaj pierwszy w narodzie.

— Miłość za miłość, ozwał się prymas Karnkowski, bo któż tak kraj swój kocha jak nasz Jan?

Batory zmarszczył czoło i rzekł:

— Zapewne! chory nie kocha felczera, co mu wrzody wypieka.

Rzekłszy to uśmiechnął się do kanclerza, bo on tylko zrozumiał swego monarchę.

Tymczasem szlachta cisnęła się do Kochanowskiego, aby z bliska obaczyć tego wieszcza, który naród tak kocha, który sam o sobie powiedział, że tylko dwa razy w życiu zniżył się od tej szczytnej miłości do uczuć więcej poziomych: raz, gdy swoją Dorotę pokochał, a drugi raz, gdy płakał nad zgonem najdroższej swojej Urszulki. Wszyscy chcieli się przypatrzeć temu szczególnemu człowiekowi, który kasztelańji przyjąć nie chciał, aby *kasztelan* nie zmarnował tego, co sobie *Jan z Czarnolesia* uskarbił, i wybrał sobie tylko urząd Wojskiego, opiekuna wdów i sierot.

Cisza była w całem zgromadzeniu. Wreszcie rozwiązał się język poety. Rozczulony do żywego takiem przyjęciem ze strony króla i szlachty, wzniósł oczy ku niebu a dwie łzy stoczyły się po jego bladej twarzy.

— Bóg mi świadkiem, rzekł, żebym wolał przyjść tutaj z lutnią moją i wdzięcznie zaspiewać W. kr. Mości i braci mojej, ale zbolała pierś moja nie wyda dzisiaj pieśni, tylko skargę i głos o zemstę!

A otarłszy łzy mówił dalej, że przed królem i całym narodem składa żałość swoją, przeto, iż brat żony jego, Podwodowski, koniuszy królewski, zabit jest od bisurmanów, wbrew prawa narodów, które mówi, że osoba posła jest sacrosancta. A wzniosłszy ręce do Boga żywego, zaklinał króla i naród

cały, aby tę krew polską zmył w bramach Stambułu, a na minaretach jego zatknął krzyż zbawienia!...

Głos i ręce wieszcza poczęły drzeć, twarz jego poczerniała, oczy krwią nabiegły. Przyłożył rękę do czoła i zachwiał się. Tkliwe serce poety silniej czuło zgrozę barbarzyństwa, niżeli słowy mógł ją oddać — pękło.

— Lekarza! krzyknęli wszyscy.

— Wody! wołano zewsząd.

Z korytarza przebił się przez tłumy szlachty młody mieszczanin lubelski, w ciemny falendysz ubrany. Pochwycił Kochanowskiego w ramiona i wyniósł do pobliskiej komnaty.

Król i dygnitarze powstali z miejsc, wielki rozruch zrobił się na sali. O sprawie Zborowskich wszyscy zapomnieli.

Próżne były usiłowania najbieglejszych lekarzy. Apopleksją tknięty wieszcz dogorywał na łożu. Król zawiesił narady, chodząc po sali tam i nazad, wypytywał się co chwila o zdrowie Kochanowskiego.

W pobocznej komnacie, otoczony lekarzami i przyjaciółmi, leżał ojciec Urszulki. Koło łóżka klęczał mieszczanin lubelski w ciemnym falendyszu i trzymając ręce wieszcza, zlewał je łzami.

— Komu przekażesz lutnię twoją, bracie Janie? zapytał stojący koło łóżka kanclerz.

— Wiernemu słudze Twego domu, rzekł sła-

bym głosem poeta i wskazał na klęczącego mieszczanina.

— *Acernie!* mówił kanclerz do mieszczanina, masz w spadku lutnię, której strony dla narodu grały.

— Uboga muza moja, mości hetmanie, szlochał Klonowicz, gdzież mnie do tak słodkich rymów! Jam przestał kochać, mogę tylko chłostać i szydzić.

— I to mówi ten, co z taką miłością opiewał rodowitą ziemię? zawołał kanclerz.

— Miłość i miłość zaszczepiaj wszędzie, mówił umierający poeta, bo choć dziesięć ziarn padnie na cierń i opokę, to przecież jedynaste wyda plon obfity.... Kochaj wszystkich ludzi i każ im kochać.... a nadewszystko kochaj kraj... W tej miłości bądź ślepym jak matka ślepą jest w miłości swego dziecka, bo chłosta nie nada miłości.

— Kochać? zawołał Klonowicz, kochać to, co nie warte kochania, co się psuje i gnije jak woda stojąca.... O jam kochał niegdyś to wszystko, com w koło siebie widział, ziemię i ludzi... kochałem dzieje, tę przeszłość bohaterską, a dzisiaj widzę jak w rzeczypospolitej swawola i występek górę biorą, dzisiaj niema apostołów dawnej wiary naszej, tylko Judasze z workami cudzych łez, ci co urząd dzierżą, sprzedają sprawiedliwość za halerz, a króla oszukują, że w kraju dobrze się dzieje. Klejnot

szlachecki obroni każdego zbrodniarza, a nikt nie wierzy, że prawdziwe szlachectwo jest *cnota* i *praca*... Mamże ja to wszystko kochać, czem się brzydzę i pogardzam?... Mam wdzięcznie moją lutnię nastroić, i słodkie pienia nucić, gdy mnie niesforność zagłusza?... O wieszczu Czarnoleski! weź twoją lutnię, jam jej nie godzien, weź ją do grobu, bo na niej niema komu przygrywać!.. Mamci ja lutnię własną, lutnię o żelaznych, ostrych strunach, w nie to ja uderzę, choć palce zakrwawię....

I wyprostował się mieszczanin lubelski, i dumnem okiem powiódł po komnacie. W pięknej jego twarzy zmieniło się dotąd wiele. Bystre, sokole oko zapadło w głąb czoła, zleciała z niego chmurka marzenia i zadumy, a natomiat zapalił się złowieszczy blask szyderstwa i satyry. Nie był to już ów piękny, marzący poeta, ale człowiek dojrzały sercem i głową, który otwartem okiem zajrzał na dno życia, przedarł tkankę ułudy, a przecież nie wyziębił serca, nie zniżył lotów ducha. Śmiało puszczał się szlakiem życia, choć wiedział, że kiedyś mu przyjdzie pierś roztrzaskać...

Wszyscy patrzali na piękną, dumną postać mieszczanina. Widząc że się kanclerz zamyślił, uśmiechnął się Sebastjan, mówiąc:

— Niech słowa moje, acz szorstkie, nie dziwią waszej mości. Memu amorowi odjęto już dawno

przepaskę z oczu, ja dziś wszystko widzę. Będę więc spiewał, co widzę i słyszę, spiewał prawdę, choć ona nie jednego w oczy kole. Miłość może natchnąć poetę ale i oburzenie także. *Si natura negat, facit indignatio versum.*

— Prawdę spiewać? ozwał się kanclerz, trzeba śmiałego spiewaka. Świat nie lubi prawdy, a spiewak także...

— Zyszcze na grobie wieńce. Dopiero nad jego popiołami zabrzmią pochwały:

Forsitan ad Manes dulcedo posthuma laudis,
Perveniet nostras, et seri sensus honoris.

W tem zawołano przy progu: Król! król. Stefan zbliżył się do łóżka. Kanclerz wskazał na Klonowicza, jako spadkobiercę lutni Kochanowskiego. Król w milczeniu podał rękę mieszczaninowi. W tej chwili westchnął Kochanowski, ostatniem na ziemi westchnieniem. Uśmiech zagrobowej słodyczy, gdzie nań czekano z palmą i białą odzieżą, zajaśniał na twarzy poety. On nie umierał ostatnim bardem ziemi swojej! Jeszcze raz się uśmiechnął, podniósł rękę, śnać chciał na swego spadkobiercę wlać ducha miłości.. ale już dłoń skośniała! Chwila — a wieszcz z Czarnolesia już nie żył!....

. . . .

Wieczór był piękny, sierpniowy. Z błękitnej szyby nieba wyglądał pełny księżyc i oświecił jasno

ulice Lublina. Cudownie w tem oświetleniu wydawał się kościół, świeżo przy królewskiej ulicy wystawiony. Sześć olbrzymich kolumn dorycikiego porządku podpierało wspaniałą galerję, a nad nią majestatycznie wznosiły się dwie wieże w niebiosa. Złote krzyże błyszczały w świetle księżyca, a ich cień padał daleko na ulicę królewską.

W zaciszu tego nowego kościoła stało dwóch ludzi.

— Chceszli prawdę mówić i masz do tego odwagę, ozwał się jeden, to się obejrzyj.

Mężczyzna w ciemnym falendyszu obejrzał się, a widząc dwie olbrzymie, sterczące za sobą wieże, wstrząsł się mimowoli jakby widmo jakie był obaczył. I przeżegnał się.

— Żegnasz się? mówił pierwszy, i oni się żegnają a przecież ztąd wyjdzie wielka klęska na kraj cały!

— To klasztor Jezuitów.

— Tak jest, bogaty, z przepychem wystawiony klasztor.

— A król?

— Król im sprzyja... Ojciec Posevin wiele nam w Moskwie dobrego świadczy.

— A kanclerz Jego?

Zapytany ruszył ramionami.

— Ten mąż bystrej głowy...

— Buduje Zamość — otacza murem i fosą, a wiesz dla czego?

— Przeciw Turkowi.

— Gdzie tam! odpowiedział pierwszy — ot! i wskazał na mury klasztoru.

— Jakto?

— Kanclerz! rzekł z uśmiechem żartobliwym zapytany, założy w Zamościu akademją, aby kraj miał czyste, niezmącone źródło oświaty.

— Aby tamę położyć temu złemu, co nas dzisiaj przygniata.

— Tak! tak... tylko —

Tu położył palec mówiący na usta. Snać go zrozumiał jego towarzysz, bo się w koło obejrzał.

Mąż w bogatej delji podał rękę swemu towarzyszowi i rzekł:

— *Vale Acerne!*

Towarzysz jego z uszanowaniem przyjął to serdeczne pożegnanie, mówiąc:

— *Vale, decus patriae!*

I uścisnęło się dwóch największych ludzi swego czasu.

Z głową spuszczoną szedł Klonowicz do domu. W całem mieście było głucho i smutno. Śmierć Kochanowskiego wszystkich zasmuciła. Nigdzie nie było słychać ni spiewek ni tańców.

Wreszcie stanął przed fórtą swego domu. Z okien

biło jasne światło na ulicę, a wewnątrz słychać było śmiech, żarty i muzykę. Poeta spojrzał przez okno i widział jak Krystyna śród pijanej młodzieży stała w lekkiej szacie, a żartując z pijącymi, śmiała się głośno.

Poeta zasłonił uszy, aby nie słyszeć słów plugawych i cicho otworzył drzwi do swojej izdebki. Otarłszy łzy z oczu wziął pióro, aby napisać żale na śmierć Kochanowskiego.

Śród tej pracy nie jedna łza upadła na papier. Z dalszych komnat zalatywał śmiech rozpusty, a przed oczami jak dwa ciemne grobowce stały mu wieże nowego klasztoru.

Ulicą grodzką śród nocnej zaciszy dążył w tej chwili do zamku królewskiego mężczyzna nieokaźnej postaci, w szerokiej delji. Był to Jan Zamojski.

VI.

Szczerze się z ludźmi obchodź, waż prawdziwym funtem,
Prawda sprawiedliwości jest i cnoty gruntem,
Prawdę świętą wyświetlaj: kto prawdę zaciera,
I gmatwa rzeczy ludzkie: Boga się zapiera!

Klonowicz.

Wiele lat minęło od owego zdarzenia. Imię Acerna rozeszło się po całym kraju. Ale na niebie Polski gromadziły się chmury coraz grubsze, coraz ciemniejsze. Batorego już nie stało, a na tronie siedział Zygmunt Waza, król słabej duszy i słabego serca. Obyczaje poczęły upadać, nie zawsze była górą cnota i prawdziwa zasługa.

Klonowicz patrzał na to wszystko, bolał w duszy, a zamknąwszy się w swojej izdebce, wylewał na papier krew swego serca, zaprawioną żółcią, wytykając narodowi błędy, które zdrowe jego ciało toczyć poczynały. A co napisał, to starannie przed światem ukrywał, bo czuł w gorącej piersi swojej, że jeszcze wszystkiego nie wyspiewał.

Złamany nieszczęśliwem pożyciem domowem,

rozczarowany już w pierwszych, ognistych marzeniach, niezrozumiany od tej, którą wybrał za towarzyszkę życia, odwrócił biedny poeta twarz od tego, co w jego ojczyźnie pięknem było, i patrzał tylko na zbrodnie i zdrożności. Chłostał wszystko satyrą, obryzgiwał żółcią, ale czynił to z wielkiej miłości jaką miał ku ziemi ojczystej, bo on chciał, aby ta wyśniona kochanka jego była bez skaz i plamy. Ale ludzie krótko widzący nie pojęli go!

Mimo to znali i czcili go wszyscy jako człowieka nieposzlakowanej sławy i wysokich zdolności. Nie wiele czasu upłynęło, a Klonowicz zasiadł na ławie rajców. Wypełniając obowiązki nowego urzędu, nie spuścił z oka wielkich celów swoich, dla których żył całą duszą i całem sercem.

Jednak powodzenie to u świata nie ukoiło żądnej duszy poety. Jeszcze raz zerwał się bard narodowy do wyższych lotów, zapragnął strojnej lutni, aby wielką pieśń ziomkom wyśpiewać, pieśń słodką i wdzięczną. Ale na ławie radzieckiej trudno było o treść do takiej pieśni, tam mógł tylko napełnić swój »*Worek Judaszów*« *).

Więc jak ongi, w dniach snów i marzeń złocistych, chciał i dzisiaj poeta zniżyć się do ludu,

---

*) Tytuł satyrycznego dzieła Klonowicza.

wejść w jego życie i tam szukać natchnienia do pieśni, nawiązać struny rozstrojonej lutni....

Klonowicz kupił szkutę i począł sypać na nią zboże. Mieszczanie trącali jeden drugiego mówiąc: Otoż próbuje Sebastjan handelku, pojedzie do Gdańska, a ztamtąd przywiezie hatłas, tabint, cynamon i drogi bursztyn. Założy sklep i będzie panem całą gębą. Sebastjanowa nie popatrzy się na nas, bo będzie chodzić od srebra i złota.

Tak mówili między sobą mieszczanie, zazdroszcząc Sebastjanowi handlu, a jego żonie szat bogatych. Liczyli naprzód jego zyski, i kłócili się między sobą, na której ulicy Sebastjan, gdy wróci, nowy dom budować będzie. A mieszczanki układały w duchu, co to za piękne towary ich sąsiad z Gdańska przywiezie.

A Klonowicz stał na brzegu Bystrzycy, rozmarzonem okiem patrzył na modre jej fale i tęsknił za tą chwilą, kiedy te fale w dalekie uniosą go strony. W jego pamięci odżyły opowiadania starego Bartosza, flisa z Sulmierzyc, opowiadania zasłyszane w pierwszym poranku młodości, kiedy to wszystko takie ładne, takie złote! A stary Bartosz opowiadał mu wiele o kwiecistych brzegach Wisły, o *tęsknocie* flisów na wodzie i o ich radości, gdy wracają do *miłej Polski*, z nową magierką na głowie, i w nowej karazji, i tak się postawią:

...Ojcu i macierzy starej
Wesoło, szatno i szumno bez miary...

Wszystko to chciał widzieć poeta na własne oczy, chciał odżyć między ludem, którego umiał w najskrytszem jego marzeniu podsłuchać i jego piękności schwycić. A kochał on go w owym czasie, gdy wszyscy poeci od niego twarz odwrócili...

Wreszcie odbiła szkuta od brzegu, wieże Lublina zniknęły w swej pomroce a za kilka dni rozkosznej żeglugi zawołał poeta pełną piersią, że

...Miła Polska na żyznym zagonie,
Usiadła jak u Boga na łonie!...

Brzegi, góry, miasta mknęły przed okiem poety, który zachwycał się skarbami swego kraju. I jak niegdyś ruską ziemię wzdłuż przechodził i jej oblicze malował, tak płynął dzisiaj ku północy, zapisując każde wrażenie, każdy ostrów, każde słowo, które z ust flisów do niego doleciało.

Mieszczanie oczekiwali drogich towarów, żona marzyła o bogatych szatach, a poeta zbierał skarby dla narodu!...

Wreszcie rozbiegła się wieść po Lublinie: Klonowicz wraca. Krystyna stanęła w oknie, jej serce biło, twarz płonęła. Marzyła o bogatym gościńcu.

Ale zamiast bławatów i bisioru przywiózł Klonowicz plik papierów — przywiózł *Flisa* *).

Nastąpiła burza domowa. Krystyna płakała z rozpaczy, i wyrzekała znowu, że nie poszła za Szypka, który żonę swoją stroi w tabint i jadamaszek! A jadamaszek byłby jej tak do twarzy! Jej aksamitne oczy takby pięknie odbijały od tabintu!...

Ale nie długo płynęły łzy pięknej Krystyny. Nazajutrz bowiem przyszli mieszczanie do jej domu, i oświadczyli Sebastjanowi, że go miasto wybiera na burmistrza, jako najgodniejszego tego zaszczytnego urzędu.

Szczęście i spokój zawita w dom poety — Krystyna będzie chodzić w jedwabiu, w kościele usiędzie pierwsza w ławce przed wielkim ołtarzem, a starsza panna poda jej świecę z białego wosku!...

I w samej rzeczy nastąpiła cisza w domu Klonowicza. Żona jego stroiła się, sprawiała uczty i zabawy. O mężu wtedy tylko sobie wspomniała, gdy jej potrzeba było pieniędzy na życie rozpustnicze. Szczęście i dostatek był na pozór w domu burmistrza lubelskiego. Sąsiedzi zazdrościli mu tego szczęścia, czekali chwili, kiedy Klonowicz nowy dom z kamienia stawiać będzie, jak to wszyscy dotąd czynili burmistrzowie. Bo urząd taki jest wielce intratny,

*) Tytuł poematu Klonowicza.

można i koszulę zedrzeć, bo któż oprze się burmistrzowi?

Tak między sobą mówili mieszczanie lubelscy, a biedny poeta, zamknięty w małej izdebce, dokąd go obelżywe słowa żony dosięgnąć nie mogły, przepłakał i przemarzył nocy, patrząc na wady swego społeczeństwa. Urząd jego dał mu sposobność jeszcze głębiej w serca ludzkie zaglądnąć. Na trybunałach koronnych przypatrzył się zepsuciu szlachty ówczesnej, która dumna swoich z przywilejów, pogardzała niższemi, nie widziała ludu, a ojczyznę pojmowała jako wielki skarbiec prerogatyw szlacheckich. Tej ojczyzny broniła, za nią krew i życie dawała, ale wyżej się wznieść nie mogła. Wielkie serce poety oburzyło się na tyle zdrożności, wylało żółć z siebie, która miała wygryźć i wypalić te choroby jego wieku, bo on chciał *Polski miłej*, co na żyznym zagonie, usiadła jak u Boga na łonie. A tę Polskę kochał mieszczanin!

Znowu upłynęło kilka lat cichej, krwawej pracy. Co Klonowicz pisał, nad czem po całych nocach pracował, o tem nikt w mieście nie wiedział. Tylko kapłan z nowego klasztoru, idąc o północy z świętym wijatykiem do chorego, ujrzał blade światełko w narożnym domu przy ulicy zamkowej, a gdy koło okna przechodził, widział siedzącego nad

książkami mieszczanina, który może właśnie w tej chwili skarżył się Bogu, że mu

....Niebo gwałt czyni, językiem włada,
I piórem mojem, zkąd mnie myśl napada,
Pisać te rzeczy, które noc pokrywa?...

Oj lepiej by było poeto, odeprzeć ten »gwałt nieba« i nie pisać rzeczy które noc pokrywa!...

. . . .

Na pełnym zegarze była właśnie ośmnasta godzina. Klonowicz siedział w swojej izdebce, a dobywszy ze skrzyni spory plik papierów, położył je przed sobą. Z ojcowską radością przypatrywał się tym niemym świadkom swoich boleści i roskoszy, serce jego biło głośno, lica się rumieniły. Przewracał karty, odczytywał, uśmiechał się i łzy ocierał, wreszcie wstał i począł się po izdebce przechadzać. Szron przedwczesny oblókł mu włosy, piękna, wyniosła jego postać nagięła się ku ziemi, silne, ogniste uczucia poradliły jego czoło. Usta otoczył rys smutku i zadumy, oko przygasło, pierś zapadła.

Długi czas chodził po izdebce. Wreszcie stanął przy oknie i spojrzał na ulicę, snać kogoś oczekiwał. Ale na ulicy było ciemno i głucho, niebo szare, omglone, tylko z ulicy królewskiej sterczały ponad domy dwie czarne wieże nowego klasztoru, jak dwa ogromne pomniki grobowe. Klonowicz uczuł dreszcz w całem ciele i przypomniał sobie, że przed

kilkunastu laty taki sam strach na widok tych wież go ogarnął. Jak wtedy, tak i teraz przeżegnał się, oddając się w opiekę Marji, patronki korony polskiej....

W tem otworzyły się drzwi izdebki. Klonowicz pobiegł, aby upragnionego gościa przywitać, ale ujrzawszy go, zatrzymał się. Był to jakiś nieznajomy, w długiej ciemnej szacie, bladej, wyschłej twarzy.

— *Laudetur*, zawołał nieznajomy, widząc zadziwienie burmistrza.

Klonowicz przystawił mu stołek i zapytał go o powód tak późnych odwiedzin.

Nieznajomy opowiedział mu długą historję o jakichś sierotach, których jest opiekunem, prosząc dla nich łaski burmistrza. W końcu wspomniał nawiasem o dziełach jego, których był gorliwym zwolennikiem, a mianowicie wychwalał małą broszurkę, napisaną przeciw Zakonowi stowarzyszenia Jezusowego, szlachcica polskiego. Klonowicz spojrzał ostro w oczy nieznajomemu, ale tam ujrzał największą szczerość i otwartość. Przyznał się więc do swego dzieła, i dziwnie, właśnie w tej chwili stanęły mu przed oczami dwie, czarne wieże nowego klasztoru.

Nieznajomy spojrzał na stół, a wskazując na papiery, rzekł:

— Zapewne nowa muza...

— A tak... pisałem, gwoli zabawy...

Nieznajomy uśmiechnął sią z ironją, mówiąc:

— Piękna mi to zabawa, przez co człowiek mienie i duszę utracić może!

Klonowicz wypatrzył się na mówiącego. Złe przeczucie ogarnęło jego duszę.

— Jakto? zapytał.

— *Victoria Deorum* i *Worek Judaszów!*

Osłupiał biedny poeta. Były to tytuły satyrycznych dzieł jego, które właśnie do Krakowa miał posłać. Zkąd mógł nieznajomy o nich wiedzieć?

— *Acerne*, zawołał uroczystym głosem nieznajomy, wielki nasz wieszczu! Pocóż ci mówić o rzeczach które noc pokrywa?

— Mówię prawdę!

— Chrystus przyszedł, aby dać świadectwo prawdzie, a gdy się Piłat zapytał: Cóż jest prawda? czemu nikt nie odpowiedział?.. Chcesz poprawić ludzi wyżej od ciebie położonych, rzucasz im w oczy pełną garścią tej prawdy twojej... sądzisz, że ci ujdzie na sucho?... Wyszydzasz herby szlacheckie, chcesz aby jedynym herbem była cnota i zasługa... Ty drobny prochu!... ty nikczemny robaczku! ty chcesz świat poprawić?... On cię przywali swoim ogromem, a ty ani jękniesz! Świat pójdzie, jak szedł bez twojej prawdy, a ty zginiesz, nędznie zginiesz! Mówisz o zakonach... o nędzny śmiertelny człowiecze! harda duszo! tobie w prochu leżeć i oczy zakryć!... Rzu-

casz błotem i plwasz, a może... może z kijem żebraczym przyjdziesz do ich fórty zakonnej?...

Klonowicz siedział naprzeciw nieznajomego i płonącem okiem wpatrywał się w jego twarz.

— Jeszcze czas — mówił dalej nieznajomy, i sięgnął jedną ręką po rękopis, a drugą wskazał na płonący ogień w kominku.

— Iżali ty nie w lwiej skórze *) przyszedłeś do mnie, człowiecze, zawołał Klonowicz, odpychając ręką nieznajomego. *Appage Satanas!*

Gwałtowny giest, który w tej chwili Klonowicz uczynił, przestraszył nieznajomego. Położywszy rękę na piersi, westchnął, i wyszedł.

Długo stał Klonowicz przy oknie, serce biło mu w piersiach gwałtownie, słowa nieznajomego odsłoniły mu ciernie i głogi, przez które miał iść aż do grobu!... A ciemna, czarna postać sunęła się zwolna ulicą zamkową, jak czarny, złowieszczy cień upiora....

Odezwał się dzwonek na wieży nowego klasztoru, w infirmacji jezuickiej ktoś konał. Klonowicz ukląkł, wzniósł ręce do nieba, a z gorącej piersi poety wypłynęła wrząca modlitwa do Boga.

---

*) *O Worku Judaszów* mówi Klonowicz, że był zszyty z różnych skór zwierzęcych. Jest to u niego alegorja różnych zbrodni. O worku z lwiej skóry bał się pisać poeta.

Teraz dopiero nadszedł jego gość oczekiwany. Był to krewny jego, Sebastjan Kajek, który jadąc do Krakowa, miał właśnie jego rękopisma wziąć dla drukarza Sternackiego.

Klonowicz obwinął je, przeżegnał i włożył w zanadrze przyjacielowi. W tęsknem jakiemś przeczuciu rzekł do niego, aby mu kiedy napisał nagrobek *). Po jego wyjściu rzucił się na kolana, długo, długo modlił się, ocierając łzy, a gdy wstał, miał twarz pełną natchnienia, i zdawało się, że jakaś jasna, światła aureola otoczyła skronie poety-męczennika!

---

*) W samej rzeczy Kajek napisał mu nagrobek. Znajduje się u fary w Lublinie, na czarnej marmurowej tabliczce koło chóru.

VII.

> Wdzięczna żeglarzom ziemia po przeciwnych,
> Przejazdkach morskich i po trwogach dziwnych,
> Wdzięczny port bliski i pochodnia nocna,
> Długo błądzącym na morzu pomocna —
> Słodki w południe podróżnikowi cień,
> Gdy się upali w drodze w gorący dzień —
> I kiedy zimną krynicę nadbieży
> Albo się w chłodzie na trawie przeleży....
>
> *S. Klonowicz.*

Ciężkie burze przemknęły po-nad Polską. Zamojski już od trzech lat leżał w grobie, a nie było nikogo coby śmiało głos swój podniósł. Rokosz Zebrzydowskiego poniósł ostatnią klęskę, a naród opłakiwał bratnie trupy spiewając żałośnie: *Pod Guzowem, zmięszała się krew z ołowiem...*

Akademja krakowska bawiła się w uczone dysputy. Dawna, jasna pochodnia jej nauk przygasła, a zamiast światła było dymno i duszno...

Był to dzień piękny, jesienny. Z bram akademji wysypała się młodzież. Krzycząc i hałasując szła za bramę florjańską, aby tamże być obecną nie

zwykłemu widowisku. Gawiedź uliczna powiększała tłumy idących, i prócz kilku przewodźców, idących w pośrodku w płaszczu i birecie, nikt nie wiedział, co też to będzie.

Wreszcie zatrzymano się na małem, zielonem wzgórzu. Uzbierano kilka polan i podłożono ogień. Najstarszy wiekiem stanął w pośrodku a dobywszy jakąś księgę z pod płaszcza, wzniósł ją do góry i rzekł:

— *Quid proemii verbis tam dignis?*

— *Carnifex et ignis!* *) odpowiedziało kilku.

I karty książki zajęły się płomieniem.

Powstał krzyk i hałas. Jedni krzyczeli to, drudzy owo, a gawiedź uliczna cieszyła się, że miała widowisko. Przeklinano i książkę i tego, co ją pisał, śmiano się i hałasowano, jakto zwykle w takim razie bywa. Nikt nie pytał czy słusznie, czy nie słusznie, dosyć było, aby ktoś jakie słowo powiedział, a tysiące je powtarzały.

Z dala od tłumu stał mieszczanin i ciekawie przypatrywał się temu szczególnemu widowisku. Miał rumiane, pełne policzki, kapotę szafirową, przepasaną czerwonym pasem. Obok niego, z widocznem uszanowaniem stał młodszy mężczyzna, także w ubiorze mieszczańskim.

---

*) Ówczesne zdanie Klonowicza nieprzyjaciół o dziełach jego.

— Cóż to się znaczy Szymonie? zapytał starszy.

— Nie wiem panie wójcie, odpowiedział młodszy, ale czegoś strach mnie bierze. Zapewnie książka jakiego czarnoksiężnika.

I przeżegnali się obaj mieszczanie, a nabrawszy animuszu czy ciekawości, zbliżyli się do tłumu, aby się przecież czegoś dowiedzieć. Opowiedział im ktoś, że to książka polskiego poety, co się *Acernus* nazywa, który w tej książce powstaje na panów i zakony. Usłyszawszy to mieszczanin pobladł, a podziękowawszy nieznajomemu, wziął Szymona za rękę i rzekł:

— Spieszmy, spieszmy Szymonie do Sulmierzyc, bo trzeba mi dać na mszą świętą.

Był to Marcin Sierotka.

Młodszy mieszczanin nie mógł odgadnąć, co wójta tak nagle zmienić mogło. Zdrów i wesół umiał zawsze coś śmiesznego powiedzieć, pożartować a nawet i zaspiewać, a dzisiaj nie można było i słowa od niego wydobyć.

I tak minęło kilka dni podróży, a Szymon modlił się w duchu za wójta Sulmierzyc, którego nagle czart opętał i niemotą uczynił. Wzdychał tylko i głową kręcił.

Wreszcie ujrzeli lipy Sulmierzyckie. Pod lipami spoczywał jakiś biedny podróżny, a oparłszy głowę

na ręku, patrzył na krzyż kościółka Sulmierzyckiego. Wójt spojrzał na podróżnego, a sądząc z jego biednej odzieży, że to żebrak, wyjął grosz i dał go mu z temi słowy:

— Módlcie się za duszę Sebastjana.

Wędrowny schylił głowę, otarł oczy, a wpatrując się w rumianą twarz wójta, zapytał:

— Czy mieliście w rodzie Sebastjana?

— Nie, ale chowałem się razem z Sebastjanem, który dziś w świat poszedł i duszę utracił.

Zajęty jeszcze tem, co widział w Krakowie, nie widział Sierotka, jak twarz wędrownego się zmieniła, jak duże dwie łzy po jego licach się stoczyły.

— A zkąd Bóg prowadzi, zapytał po chwili Sierotka.

— Zdaleka — z Lublina.

— Toż może wiecie co o Klonowiczu?

— Znałem go — był burmistrzem.... Dzisiaj podupadł.

— Ach mój Boże, krzyknął Sierotka, toż chodźcie ze mną, mam dom obszerny — i w gębę będzie co włożyć. Musicie mi wiele o nim powiedzieć.

Podróżny podziękował za gościnność mieszczaninowi, obiecał przyjść do niego, skoro sobie tylko wypocznie. Daleką bowiem odbył podróż.

— Pytajcie się do wójta, rzekł odchodząc Sierotka.

Podróżny usiadł znowu pod lipami i zakrył oczy. Zapadła pierś jego podniosła się wielkiem westchnieniem, a zdrój łez puścił się mu z oczu. Był to Sebastjan Klonowicz.

I któżby go dzisiaj w jego mieście rodzinnem był poznał? Piękny, smukłej postaci młodzieniec, stał się starcem zgrzybiałym, z zamożnego mieszczanina stał się żebrakiem. Czarne, połysne kędziory zdobiły niegdyś skroń jego, dzisiaj nagą świecił czaszką, a resztki siwych, pomierzwionych włosów spadały na brudną odzież jak uschłe, mrozem zwarzone zielsko. Usta posiniały z bólu, ręce wyschły z trudu i pracy. Nawet towarzysz jego lat dziecinnych nie poznał go — serce jego nie odgadło w nim dawnego przyjaciela!...

Usiadł na murawie, do ziół wonnych przyłożył spalone skronie.... Niegdyś budziły te zioła w piersi jego cudne, rajskie marzenia, upajały go do snów złocistych.... dzisiaj wydały mu się jak kadzidło przy trupie, a blask bani kościelnej palił się jak lampa na pogrzebie... tylko »*requiem*« nikt mu nie spiewał! Nie dla niego odpoczynek na włoce rodzinnej, bo aby tu spocząć, nie trzeba było nią gardzić, ale na niej uczciwie pracować!... Tutaj, gdzie po raz pierwszy świat boży ujrzał, przywlókł dzisiaj styrane kości, miał pukać do miłosierdzia tych, którzy mu niegdyś zazdrościli... Nie, on nie mógł tu

spocząć, bo tu leżałby przy prochach ojców swoich, a on miał umrzeć sierotą! Miał kielich goryczy wysączyć aż do dna! Tutaj sprawionoby mu pogrzeb okazały ze względu na pamięć ojca jego, a on miał wstąpić do grobu nędzarzem, nie mając do trumny wezgłowia, prócz kilku cierni, kilku kamieni, któremi nań rzucono!...

Takie uczucia miotały w wyschłem sercu jego, wstał, osuszył łzę i puścił się drogą ku miastu.

W samym rynku miasteczka bielał się dom podłużny. Dwa kominy, dach z gontu i obszerne podcienie były oznaką zamożności gospodarza. Przed domem leżał na słońcu wielki pies kudłaty, snać było co w domu stróżować. Z po-za dachu wyglądały drzewa owocowe, a między niemi sterczały brogi pszenicy. Przechodzący koło tego domu mieszczanin z uszanowaniem zdejmował czapkę, bo w oknie, lub na podcieniu rozpierał się zwykle wójt miasta, zacny i powszechnie kochany Marcin Sierotka. Wysiadywał po całych dniach na ławie malowanej, bo gospodarstwo zdał na synów, a w domu wiodło się mu dobrze. Wesoły, rumianego oblicza, dobrej tuszy, uśmiechał się do przechodzących, rozmawiał z nimi to o tem to owem, często pożartował a gdy tego potrzeba było, dał dobrą radę, odwołując się zawsze do swego opiekuna, starego Klonowicza, który zawsze tak samo radził.

Dzisiaj przyszedłszy z dalekiej drogi, bo chodził do Krakowa na sekretną intencją do ciała św. Stanisława męczennika, aby przy jego trumnie podziękować Bogu, że mu się tak dobrze dzieje, chociaż po wypełnieniu wotum swego miał tak czyste i spokojne sumienie, żeby mógł bez spowiedzi wziąć do ust komunją świętą, czuł jednak w duszy jakiś smutek, którego od siebie nie mógł odżegnać. Nie mógł zapomnąć tego, co w Krakowie obaczył, a nawet jałmużna, dana żebrakowi przed miastem, nie mogła mu wrócić dawnej swobody. Siadł w prawdzie na podcieniu na ławie malowanej, dziesięć ładnych krówek wyszło z jego stajni i z przymileniem lizały mu ręce; ulubiony jego łoszak harcował po rynku miasta, aż serce rosło — ale pan Marcin nie widział wcale chudoby swojej, nie uśmiechnął się do nikogo, a nawet przed nikim czapki nie uchylił.

Przed oczami wójta stał biedny Sebastjan, który może w tej chwili gdzieś do cudzych rękę wyciąga! A któż to da jaki grosz takiemu człowiekowi, którego książki palą, który snać duszę swą złemu duchowi zapisał!...

Pan Marcin wzdrygnął się i przeżegnał, a właśnie w tej chwili zbliżał się do niego podróżny, który mu miał o Sebastjanie wiele rzeczy opowiadać. Podał mu rękę i prosił go, aby usiadł przy nim na

ławie. Przypomniał sobie starego Klonowicza, który go uczył, aby biednym nie pogardzać.

Podróżny opowiadał mu o Sebastjanie, jak król mu rękę podał, jak był burmistrzem, jak pływał Wisłą do Gdańska, jak potem przyszło na niego nieszczęście, i od razu zubożał. Żona go porzuciła, przyjaciele zaparli się, a w całym Lublinie niema dziś kąta dla siebie.

Zafrasował się wielce tem opowiadaniem wójt Sulmierzycki. Począł wyrzekać, że Sebastjan wzgardził włoką ojczystą, że będąc młodym, nosił głowę do góry i zdawało się mu, że ma więcej rozumu niźli całe miasteczko. Nawet nie przyszedł ojcu powiek przymknąć, a gdy on sam do Krakowa za nim poszedł, bajał mu Sebastjan rzeczy, które tylko warjatowi do głowy przyjść mogą. Cały kraj nazywał swoją ojcowizną, to też dzisiaj w tej ojcowiźnie niema kąta, gdzieby mógł wytchnąć jak robotnik po długiej pracy. Dalej mówił mieszczanin, że Sebastjan musiał być złym człowiekiem, jeźli tak źle dzieje się mu na świecie.

— Mówili ludzie, że był poczciwym, ozwał się wędrowny.

— Poczciwy? a zaczby jego książki palili?

Uśmiech bolesny przemknął po bladej twarzy poety, w oczach zabłysły dwie łzy. Odwrócił się, aby ich mieszczanin nie widział.

— Od tego dnia, gdym to widział, mówił dalej pan Marcin, tłucze się we mnie serce, jakbym się bał czego.

I znowu szeroko i długo opowiadał, jak to wielkim występkiem jest, jeźli kto się na takie rzeczy odważy, jak Sebastjan, bo jużciż musiał serce i duszę zapisać szatanowi, a do tego przyprowadziła go pycha, bo zdawało się mu, że jest mędrszy od innych. Dalej ubolewał nad towarzyszem swojej młodości, który zapewnie teraz od czci i wiary a może nawet od świętych sakramentów jest odsądzony, i wyznał szczerze, żeby się nawet lękał, dać mu jakąkolwiek pomoc, albo do niego się przyznać.

Klonowicz nie mógł dłużej słuchać. Wstał i chciał wójta pożegnać, ale tenże zatrzymał go, mówiąc, że mu kazał ukroić kawał chleba na drogę.

— Weźcie ten chleb, mówił wójt, to chleb z roli Sebastjana. Kazał ją wprawdzie dać ubóstwu, ale ja myślę sobie, może kiedy powróci, a będzie potrzebował. Otóż zająłem kilka włok w moje grunta i co rok składam do skarbonki dzierzawne. Teraz, gdy biedny, dałbym mu te pieniądze, ale jakże to teraz do takiego przystąpić i przyznać się do niego?

— Bóg zapłać, rzekł wędrowny biorąc chleb do ręki i całując go. Dwie gorzkie łzy zostały na nim.

— Czemuście nie wypełnili rozkazu jego, rzekł po chwili do wójta, bo to z czasem ta wasza skarbonka może się stać *Workiem Judaszowym*, i piec was jak owe srebrniki...

— Uchowaj Boże! krzyknął mieszczanin i pobladł, bo w tej chwili przyszło mu do głowy, czy też biednego Sebastjana nie skrzywdził, używając przez lat czterdzieści z jego gruntu. »Worek Judaszowy« odezwało się mu gdzieś w głębi duszy, tak straszno, tak okropnie!... Zdawało się mu, że to słowo gdzieś już słyszał...

Biedny podróżny kwapił się w dalszą drogę Prosił jeszcze wójta, aby mu okazał ojcowiznę Sebastjana, bo kiedy się o tym człowieku wiele nagadało, to przecież warto obaczyć ten grunt opuszczony. I wójt też zapragnął coś obaczyć tę pustkę. Puścili się obaj ku staremu jasionowi, który z dala widać było z po-za domów miejskich.

Kilka włók żyznego pola leżało odłogiem. Na wzgórku był jakiś kopiec, porosły łopuchem i pokrzywą.

— Tu stał dom Klonowiczów, rzekł wójt wskazując na kopiec, a tu widać jeszcze gruzy komina, pod którym, będzie temu lat pięćdziesiąt, siedzieliśmy z Sebastjanem i słuchali starego Bartosza, co był szyprem i tyle dziwów o Wiśle nam opowiadał.

Rzekłszy to, skoczył w bok, bo z pod gruzu wyczołgała się do nich jakaś gadzina.

— Ustąpmy się ztąd, zawołał podróżny, bo tu dla nas już miejsca niema.

Wójt uczuł dreszcz w całem ciele.

Tymczasem zbliżyło się słońce ku zachodowi. Złote jego promienie oblały smutne pustkowie, łopuch i badyle zabłysły barwą szkarłatną i chwiały się na wietrze jak sztandary stojącego rycerstwa. W dali zaświtała biała smuga wody, a po-nad nią unosił się lekki obłoczek, jak anioł z złotą przepaską....

— Tu dla mnie miejsca niema, dumał w duchu poeta, mieszczanie wyrzuciliby mnie jak Joba na śmiecisko, niktby mi kubka zimnej wody nie podał!... O słońce! ty gwiazdo mojej młodości, żegnaj mi! Tak samo świeciłoś nademną, gdym w sny bogaty biegał po tej dolinie, gdym na tej łące pił zdroje twego światła — o słońce! dzisiaj ciemno w mej duszy, czuję, że noc grobowa nadchodzi, a cóż mi grób mój rozjaśni?...

Sierotka zbladł ze strachu, bo biedny wędrowny jakoś się zmienił. Postać jego wyprostowała się, nagle odmłodniał, a w twarzy jego... w twarzy było coś... coś znajomego.... Ale nim jeszcze mógł przyjść do siebie, uczuł uścisk ręki... uścisk zimny, grobowy, obejrzał się, a podróżnego już przy nim nie było. W dali tylko, w cieniu jesionu widział blady cień, jak cień upiora.

Już samym zmierzchem wrócił Sierotka do domu. Kilku mieszczan przyszło, aby się z wójtem przywitać, ale wójt przeprosił gości, bo był mocno podróżą zmęczony.

Wreszcie położył się spać. Dziwne jakieś mary latały mu przed oczami. Zdawało się mu, że widzi Sebastjana gdzieś na barłogu leżącego, a gdy mu chciał z skarbonką dać pieniądze jego, czuł że go skarbonka piecze jak rozpalone żelazo. I stanął przed nim Judasz z brodą płomienistą i trzymał worek z skóry tygrysiej... Sierotka przeżegnał się, odmówił Wierzę Boga... ale widmo nie znikało z przed oczu. Twarz biednego wędrowca wyszczerzała się do niego z ciemnych kątów izby, a coraz więcej stawała się podobną do twarzy Sebastjana.. Zdawało się mu, że ktoś z drugiego świata przyszedł do niego w postaci żebraka, aby się upomnąć o cudzy grosz...

Sierotka otarł pot z czoła i zapalił światło. Spojrzał przez okno, a tam przez szyby widział urągającego się Judasza, potrząsającego workiem z trzydziestą syklami...

Nazajutrz rano wyspowiadał się Sierotka, a przyjąwszy świętą komunją, zaprzągł do małego wózka i na długo, na długo z domu wyjechał.

Złowieszczy demon poety ciągnął go za sobą.

VIII.

Za cię, za cię, mój Chryste kupiono tę rolą
Dla tych, którzy z Ojczyzny zaśli w tę niewolą,
Żeby dusze zabiegłe, które są pod niebem,
Ucieszyły kości swe tym wolnym pogrzebem!...

S. Klonowicz.

Jesienna mgła osiadła w ulicach Lublina. Ciemno i wietrzno było, przed ratuszem wywołał stróż godzinę północną.

Grobową ulicą od Podzamcza czerniała się kupka ludzi. Nieśli coś ciężkiego. Wyszedłszy na rynek królewski, dążyli wprost ku wieżom klasztoru jezuickiego. Wieże wyglądały dziś jakoś straszno, gruba mgła odjęła im krzyże i kopułę. Zdawało się, że gdzieś toną w czarnych chmurach. Żadnej gwiazdki nie było na niebie.

— Otwórz! zawołano do fórty klasztornej, którędy był wchód do tak zwanej infirmerji.

Snać oddźwierny oczekiwał tak późnych gości, bo zaraz zaskrzypiał klucz w zamku, skoble opadły z jękiem, a grupa ludzi w milczeniu weszła do kla-

sztoru. Znowu zaskrzypiał klucz, jękły skoble i cicho, głucho było.

Nazajutrz gruchnęła wieść po całym Lublinie, że w infirmerji u XX. Jezuitów, dogorywa Sebastjan Klonowicz... Miłosierni ludzie znaleźli go na ulicy, pod murem i wzięli, aby mu w infirmerji wyżebrać ciepły kącik do skonania. Był w ostatniej nędzy, obdarty, wygłodzony chorobą.

Teraz dopiero przypomniano sobie Klonowicza. Jaki taki biegł do fórty klasztornej, i zaglądał ciekawie przez kraty, aby wróciwszy miał o czem znajomym opowiadać. Była to sama gawiedź miejska, dla której rzeczą obojętną, czy idzie za pogrzebem, czy za parą ślubną, czy za złoczyńcem, którego mają obwiesić. Byle się tylko na co patrzeć, byle tylko coś słyszeć! Rozsądniejsi jednak pozamykali się w domach, lub poszli spokojnie do swoich warsztatów, aby im kto nie powiedział, że się przyznają do człowieka, którego od czci i wiary odsądzono.

Tymczasem w samym klasztorze był ruch nie zwykły. Ojcowie biegali tu i owdzie, to za ziołami, to za brewiarzem, aby choremu zapaloną krew ochłodzić, albo nad konającym odczytać psalmy. Kilkoro ludzi weszło przezornie do kościoła, a niewypytując się wcale o nocne zdarzenie, uklękli i wewnątrz modlili się do Boga, którego sądy są niedosięgnione!...

W samym progu, przy kropielnicy klęczał mieszczanin o siwych włosach. Siwa kapota, którą miał na sobie, i pas czerwony okazywały, że był obcym w Lublinie, i że od Szlązka przybył. Modlił się gorąco, klęcząc przy progu jako ów celnik, bo zdało się mu, że nie jest godzien bliżej przystąpić.

Długo, długo modlił się, ocierał pot z czoła, wreszcie stanął, a nabrawszy odwagi zbliżył się do fórty klasztornej.

Przy fórcie stała kupka ludzi, opowiadając sobie niesłychane rzeczy.

— Ale widziałam go na własne oczy, mówiła baba szpitalna poprawiając łachmany, widziałam, gdy go nieśli. Siedziałam pod kruchtą kościelną... Zdrowaś Marja, łaskiś pełna...

— To być przecież nie może, zawołał kowal z Podzamcza, wszak ma żonę.

— Żonę? rzekła babka, jaką żonę? Krystyna już od trzech lat z nim się rozwiodła....

— Musiał być pijakiem, zakonkludował kowal.

— Nie obrażajcie Boga! krzyknęła baba... A słowo stało się ciałem... Miałam proces z żydem o mój ogródek — hej mój Boże! gdyby on był dzisiaj jeszcze sędzią, nie chodziłabym po żebrach! Żyda, co go chciał przekupić, jeszcze do lamusu wsadził!... Święta Marjo, Matko Boża...

— Otóż to ztąd, cała jego bieda! ozwał się

staruszek w wytartym falendyszu. Był za nadto poczciwym i kwita. Bywało, pamiętam, jak strofował pisarzów, co halerz brali, a rajcę Krajkowskiego mało za drzwi nie wyrzucił, gdy do niego z tem przyszedł, aby pozostałe pieniądze po św. pamięci Janie Ceglaku między siebie rozdzielić, a sieroty osadzić w szpitalu.

— Prawda, prawda, był to bardzo poczciwy człowiek, zawołało kilku z biedniejszych, niech mu Bóg da lekkie skonanie!

— A cóż jego żona?

— Nie znacie jej? Sebastjanowa z Podzamcza, córka tego koralnika, co mieszkał na słomianym rynku? Ma dwa domy, stroi się w bławaty, a o nim i słyszeć nie chce!

— Strach! co za zgroza na bożym świecie! zawołał kowal. Tak mu się niegdyś dobrze działo, a dzisiaj na gołej słomie musi leżeć... jak dziad szpitalny! Przyniósłbym mu stary tołub z futrem!

— Ej, poszedłbyś do roboty kowalu, ozwał się mieszczanin w cynamonowym żupanie, nie wiesz, co to za bezbożny był czowiek! Gdyby cię kto usłyszał, myślałby, że z nim masz spółkę...

Kowal z Podzamcza zbladł ze strachu, obejrzał się na około, i czwałem pobiegł do domu. I rozpierzchła się gromadka ciekawych, tylko szpitalna baba usiadła przy fórcie, mówiąc Ojcze nasz, a sta-

ruszek w wytartym falendyszu wcisnął jej do ręki kilka groszy, aby prosiła Boga o lekkie dla Acerna skonanie...

Nie daleko tych, co tak rozmawiali, stał mieszczanin w siwej kapocie. Był to wójt Sulmierzycki. Twarz jego pobladła, znikł z niej dawny spokój. Usta miał od gorączki spieczone, dola Sebastjana ciężyła mu ołowiem na sercu. We dnie i w nocy nie miał spokoju — przybył do Lublina, ale nigdzie nie mógł odszukać towarzysza swojej młodości, bo nikt o nim nie wiedział. Tak prędko wszyscy o nim zapomnieli!... Dopiero dzisiaj, gdy go złożono w infirmerji, przypomnieli sobie jedni Acerna, drudzy poczciwego burmistrza!

Sierotka stał i słuchał, co mieszczanie między sobą mówili, a chociaż serce jego z bólu pękało, nie miał jednak odwagi przyznać się do człowieka, nad którym tak widocznie ciężyła przecież ręka karząca Boga!.

Zbliżyło się kilku szlachty.

— *Acern* w szpitalu! zawołał jeden podsłuchawszy rozmowę stojących.

— Na barłogu słomy! rzekł z cicha Sierotka, ocierając łzy z oczu, i spojrzał do koła, czy go nie wielu słyszało.

— A drugich chciał uczyć jak żyć i umierać! mówiła szlachta.

— Plebejusz na szlachtę wymyślał!... burmistrz lubelski chciał całej Polsce burmistrzować!

— Napisał, że *ten* szlachcic, co dobrze żyje, a ten dobrze żyje, kto dobrze umiera! a sam na ulicy by skonał, gdyby nie ojcowie miłosierni...

— A tyle ich się naszarpał! Chleb za kamień!

I odeszła szlachta, złorzecząc wieszczowi, który się targnął na jej klejnot herbowny, który w szlachectwie szukał cnoty i zasługi, a karcił pychę i gnuśność...

Nadeszło kilku mieszczan.

— Mówią, że go znaleziono na ulicy w łachmanach, rzekł jeden z nich.

— Hej mój mocny Boże! Był sędzią spraw żydowskich! Ta to sam grosz do kieszeni się garnie, tylko drzeć łyko! Krajkowski dwa domy wybudował!

— Tu mu brakowało, mówił drugi pokazując palcem po czole. Zamiast mieszek otworzyć, otwierał każdemu serce, a zamiast zamknąć gębę, gdy się coś obaczy, krzyczał i perorował, jak Piotr Złotousty! *).

— Otóż teraz w łachmanach umiera!

— Brząkał, brząkał po harfie, i cóż mu dzisiaj z tego?..

— Kona jak dziad szpitalny!

Tak i podobnie mówili między sobą mieszcza-

*) Skarga.

nie, spiesząc do dziennej pracy. A przy pracy czas to złoto, szkoda każdej chwili, która upłynie bez korzyści, szkoda łzy, bo za nią nikt nie zapłaci!

Biedny Acernie! Dzisiaj obcym jesteś dla wszystkich! Nie jesteś ani sędzią ani burmistrzem, a czem jesteś dla narodu, tego dzisiaj nikt nie pojmie! Samotnie skonasz jak nędzarz ostatni, a ci, których chłosta twoja dosięgła, z uśmiechem patrzeć będą na twe łoże śmiertelne, mówiąc do siebie: Żyłli dobrze ten człowiek, gdy mu na barłogu szpitalnym umierać przypadło?...

Dłużej nie mógł wytrzymać Sierotka. Zapłakał głośno nad towarzyszem młodych dni swoich, otworzył fórtę i wszedł do klasztoru.

W małej, wilgotnej celi na wiązce słomy leżał blady staruszek. Nie lata ale boleść i cierpienia ubieliły włos jego, wyssały mu krew z ciała.

Koło chorego siedział dziad szpitalny i szeptał pacierze.

— Sebastjanie! krzyknął Sierotka i padł na kamienną posadzkę.

— To ty Marcinie? słabym głosem zawołał chory, o Bóg ci zapłać! Przyszedłeś w dobrą porę. Ujmiesz mi jednej boleści, która mnie piecze jak ogień.

Rzekłszy to wyjął z zanadrza kawałek suchego chleba.

— Weź ten chleb Marcinie, jam go nie godzien. To chleb z mojej włoki ojczystej... jam nim wzgardził... wolałem żywić się jałmużną!

Łzy puściły się mu z oczu, zamilkł na chwilę.

— Jakbym go widział, mówił jakby do siebie, ten mały domek ojczysty!... W cieniu tego jesionu siadywałem wraz z tobą i patrzałem na słońce zachodzące... Zdawało się mnie, że tam daleko, szeroko... zkąd to słońce wychodziło, są ludzie, których Bóg kocha, że muszę pójść do tych ludzi i kochać ich jak Bóg przykazał... I kochałem ich a czułem roskosz, że ich kocham!... Za duszno mi było w tym domku małym, za chłodno pod cieniem tego jesionu — porzuciłem włokę ojczystą, szukając szerszej ojczyzny! A gdy w tej ojczyźnie wiele złego ujrzałem, zawołałem jej: biada! biada wyrodnym dzieciom twoim... a jej dzieci rzucili na mnie kamieniem...

Słowa się mu urwały, suchy kaszel rozległ się po celi.

— Sebastjanie! mówił ze łzami Sierotka, myśmy myśleli żeś bogaczem, że masz zaszczyty i honory....

— A jam żebrakiem przyszedł do was... tyś mnie nie poznał!... Dałeś mi jałmużnę, ot ten kęs chleba... a on mnie piekł jak rozpalony kamień... jam

nim wzgardził. Żyłem i pracowałem dla kraju, a gdy mi głód dojmować począł, w całej Polsce nie było dla mnie ani kęsa chleba, ani jednej ręki dobroczynnej, któraby Acernowi kubek wody podała!..

— A jam nie wiedział, żeś ty tak biedny, i jadłem chleb z twojej włoki ojczystej! Sebastjanie, odpuść mi ten grzech śmiertelny... i proś Boga aby mnie także odpuścił!...

Tu ukląkł Sierotka przy łóżku, a zakrywszy twarz rękami, począł głośno płakać.

— Poczciwa duszo, mówił z anielskim uśmiechem poeta, twoje sumienie dręczy cię, żeś za mało dobrego na świecie uczynił, a cóżbyś rzekł na to, gdybyś ujrzał i pojął wszystkie te zbrodnie i zdrożności, na które ja patrzałem?... Rozum byś utracił!...

— Oby mi Bóg przebaczył...

— Bóg przebacza Marcinie, tylko ludzie nie przebaczają, gdy ich raz rozgniewasz... Ot patrz na mnie. Byłem zamożny i szatny, nie źle mi się wiodło; a gdy ludziom począłem ich błędy wytykać, rozebrano mnie z moich szat i dostatków, wzięto mi cześć i sławę, i nie przebaczą mi, póki w grobie nie legnę!... Ludzi nigdy nie gniewaj, bo ich gniew póty ścigać cię będzie, póki cię sprawiedliwość Boga za grobem od ich zemsty nie ocali. I wtedy jeszcze na ziemi pastwić się będą nad twe-

mi zwłokami... lecz ty patrząc z nieba kochaj ich, bo nie oni, ale tyś zwyciężył!...

Słodki uśmiech okrasił twarz poety, wzniósł oczy ku niebu, bo ztamtąd spływała dlań szata biała i palma wybranych....

Na korytarzu ozwał się dzwonek. Do celi wszedł spowiednik. Sierotka i dziad powstali, aby wyjść z celi, ale spowiednik zatrzymał ich, mówiąc, że będą świadkami wyznania konającego.

. . . .

Cisza była w całym klasztorze, i cisza była w celi konającego.. Kilku ciekawych zbliżyło się do drzwi celi. Tam słychać było tylko modły kapłana... Po chwili poczęła się rozmowa między spowiednikiem a konającym, rozmowa coraz żywsza... urywana... słychać było płacz i ciężkie westchnienie, długo... długo... wreszcie uciszyło się... spowiednik głośno wyrzekł słowa rozgrzeszenia; ozwał się dzwonek.. płacz Sierotki i pacierz dziada...

. . . .

Kilka godzin potem jęczały dzwony klasztoru jezuickiego. Ubodzy ludzie odmawiali za duszę Sebastjana Zdrowaś Marja, a inni szydząc mówili: W szpitalu umarł!

Po ulicach miasta chodził błędnie jakiś mieszczanin w siwej kapocie. Trzymał w ręku kawa-

łek suchego chleba i wołał do każdego: Nie gniewaj ludzi, bo Bóg przebaczy, a ludzie nie przebaczą!..

Biedny Sierotko! tyś tylko widział konającego Acerna, i już ci zmysłów nie stało, a on cierpiał całe życie!...

Na pogrzebie odczytał Ojciec Jezuita zgromadzonym ostatnie zeznanie konającego, wielbiąc miłosierdzie Boga, który dał przejrzeć grzesznikowi, iż w ostatniej chwili swojej uczuł żal i skruchę, odwołując wszelkie oszczerstwa, które był rzucił w pismach swoich na Zakon zgomadzenia Jezusowego...

I imieniem umarłego prosił wszystkich, aby mu również przebaczyli.

Czy przebaczyli mu?...

IX.

A jak się fenix przez popiół odmładza,
Tak się człowiek przez ziemię i pruchno odradza.

S. Klonowicz.

Sierotka wrócił do Sulmierzyc, ale rozumu nigdy nie odzyskał. Dobre jego serce nie mogło pojąć aby tyle cierpieć można na świecie.

Mieszczanie Sulmierzyccy radzili długo nad nieszczęściem swego wójta, i zgodzono się wreszcie, że na pozostałym gruncie po Klonowiczu cięży gniew Boży. Wszyscy omijali z daleka te pola, chwast i zielsko porosło na nich. Nikt nie chciał ani źdźbła trawy z nich uszczknąć. Nawet ubodzy lękali się tego gruntu.

Roku 1663 Odolanowska starościna, pani Rozdrażewska, darowała ten grunt kościołowi, co w rok później król Jan Kazimierz potwierdził.

Sierotka podupadł i umarł w nędzy. Otarł się tylko o postać wieszcza, a złowieszczy demon pochwycił ich obu. Do końca życia mawiał do każdego :

— Nie gniewaj ludzi, bo Bóg przebaczy, a oni nigdy nie przebaczą...

I mówił prawdę.

Trzech wieków potrzeba było, aby Acernowi mógł świat przebaczyć! Dzisiaj dopiero powito mu wieńce i poczęto oglądać się za jego grobem. Ale na tym grobie były trzy wieki, trzy piramidy Faraonów i zakryły go przed oczami szukających! Niema grobu Acerna *), w rodzinnem jego miasteczku, w Sulmierzycach, stawiają poecie pomnik.

Czemuż tak późno mu przebaczamy?...

O wcześniej przebaczajcie spółcześni, gdy was wieszcz karci za błędy wasze. Nie złorzeczcie mu, gdy miasto krwi, wytoczy wam żółć z swego serca.

To serce was kochało!

---

*) Żeromski napisał mu epitaphium:

Nasonis est patria Sulmo, Sulmiria Acerni,
Ille poeta fuit, Naso poeta fuit:
Exul in Euxinis est Naso mortuus oris,
Vix hunc non eadem fata secuta virum.

Koniec.

OMYŁKI DRUKU,

Stron. 153. N o t a — *zamiast*: Zamojski — *czytaj*: Zborowski.
Stron. 128. wiersz 4 *zamiast*: sławnych — *czytaj*: dawnych.
Stron. 171. wiersz 9 *zamiast*: illae — *czytaj*: illa